

ALEKSANDER DUMAS



# NERON

ROMANS HISTORYCZNY



BIESIADA LITERACKA.

NERON

ALEKSANDER DUMAS



# NERON

ROMANS HISTORYCZNY



BIESIADA LITERACKA.

~~~~~  
Druk Synów St. Niemiry, Warszawa, plac Warecki 4.



173532

K-226/86

## CZEŚĆ PIERWSZA.

### I

Dnia 7 maja, który Grecy nazywają *targelion*, roku 57 od narodzenia Chrystusa, a 810 od założenia Rzymu, młoda dziewica, od lat piętnastu do szesnastu, wysoka, piękna i zgrabna, jak uganiająca się za jeleniem Dyana, wybiegła z Koryntu przez bramę zachodnią i skierowała się ku nadmorskiej równinie. Zbliżywszy się do małej smugi, ocienionej z jednej strony gajem oliwnym, z drugiej zaś ograniczonej wijącym się wśród drzew pomarańczonych i różowego lauru strumieniem, zatrzymała się i zajęła zbieraniem kwiatów. Tu ją wabiły wykwitłe w cieniu drzewa Minerwy fiołki, tam zarastające brzegi strumienia, lub unoszące się na jego powierzchni, narcyzy i grzybieńce; te ostatnie odniosły przewagę, bo podskakując ze zwinnością wiewiórki, pobiegła ku strumieniowi.

Zbliżywszy się ku nadbrzeżu, stanęła; od wzruszenia z szybkiego biegu, rozplynęły się po ramionach jej długie warkocze; uklękła nad wodą, spojrzała w jej nurty i uśmiechnęła się, widząc się tak piękną. Wistocie była to najpiękniejsza z dziewic Koryntu: oczy czarne i pałające, nos jõeski, usta koralowe; ciało, mające

twardość marmuru i giętkość trzciny, zdawało się posągiem Fidyasza, ożywionym przez Prometeusza; tylko jej stopy, widocznie zbyt małe do całej postawy, jedyną zdawały się wadą, jeżeli tak nazwać można podobną niedoskonałość w młodej dziewczynie; słowem tak była zachwycająca, że jakkolwiek jest kobietą użyczająca jej w tej właśnie chwili zwierciadła łez swoich Nimfa Pyrena, nie mogła się jednak powściągnąć od odbicia jej obrazu w całej czystości i wdzięku.

Po chwili niemego zastanowienia, młoda dziewica na trzy części podzieliła swe włosy, spłotła dwa warkocze na obu skroniach, połączyła je nad głową uwiłym w tej chwili wieniec z lauru różowego i kwiatów pomarańczowych, i zostawując w tyle głowy rozplywające się pukle, nachyliła się ku wodzie dla ugaszenia pragnienia.

Rzeczywistość i obraz zbliżyły się ku sobie niezmiernie, jakby dwie siostry, Nimfa i Najada, które słodki pocałunek jednoczył: zetknęły się już usta w wilgotnej kąpieli, wzdrygnęła się woda, a lekki zefir, wionąc w powietrzu jakby tchnieniem rozkoszy, zasypał wodne kryształki śniegiem wonnej róży i ruchomemi nurtami szybko uniósł do morza.

Dziewica podniosła się, a skierowawszy oczy ku odnodze, stanęła jak wryta; wytworna galera o dwóch rzędach wiosła, o złożonych bokach i żaglach purpurowych, płynęła ku brzegom, pędzona wiatrem od Delos; chociaż jeszcze o ćwierć mili oddalona od lądu, już słychać było głosy majtków, śpiewających hymn do Neptuna. Dziewica poznała tryb frygijski, poświęcony hymnom religijnym; ale zamiast nieokrzesanych dźwię-

ków kalidońskich lub cefalońskich żeglarzy, uderzające jej ucho tony, chociaż jeszcze rozproszone oddaleniem i wiatrem, były umiejętnie i zgodne, jak śpiewy kapłanek Apolina. Uniesiona tą melodyą, młoda Koryntyanka ułamała kilka gałązek pomarańczowych i laurowych, z zamiarem uwicia wienca i złożenia go w świątyni Flory, której miesiąc maj był poświęcony: potem krokiem powolnym, ciekawym i bojaźliwym zarazem, postąpiła ku morzu, splatając wonne gałązki.

Tymczasem zbliżyła się biremma \*) i już nietylko mogła dziewica słyszeć dokładnie melodyę, ale nawet widzieć twarze śpiewaków: jeden koryfeusz śpiewał inwokacyę do Neptuna, którą za każdym zwrotem powtarzały chóry w tak słodkim i subtelnym rytmie, że całość harmonii zdawała się naśladować regularne poruszenia majtków, zginających się ku wiosłom i wiosła spadających do morza. Główną śpiewającą melodyę, który zdawał się panem statku, stał u sztaby i towarzyszył sobie na cytrze o trzech strunach, podobnej do tej, którą snycerze dają w ręce Euterpie, Muzie harmonii; u nóg jego leżał niewolnik, okryty długą, azyatycką szatą, której krój zdawał się obu płciom zarówno właściwym, tak, iż młoda dziewica nie poznała, czyli to był mężczyzna czy kobieta, a melodyjni wioslarze stali przy swoich ławach i takt wybijali rękami, dziękując Neptunowi za wiatr przychylny, co ich darzył tym wypoczynkiem.

Widok ten, który na dwa wieki przedtem, ścigałyby zaledwie uwagę dziecka, szukającego konch

\*) Statek o dwóch rzędach wiosła.

w piasku nadmorskim, obudził w najwyższym stopniu zadziwienie młodej dziewczyny. Korynt nie był już tem, czem za czasów Sylli: współzawodnikiem i bratem Aten; konsul Mummiusz, zdobywszy go szturmem roku 608 od założenia Rzymu, wyciął w pień wszystkich obywateli, zaprzedał w niewolę kobiety i dzieci, spalił domy, rozwalił mury, posłał do Rzymu posagi, a obrazy, z których jeden chciał kupić Atalusz za milion sestercyj, poszły pod nogi rzymskich żołnierzy, których Polibiusz widział grających w kości na tem arcydziele Aristidesa, z Teb. Odbudowany w osmdziesiąt lat potem przez Juliusza Cezara, który podniósł jego mury, osadził w nich rzymską kolonię, powrócił do życia, jeszcze nie odzyskał bynajmniej dawnej swojej świetności. Obecnie prokonsul rzymski, chcąc mu przywrócić cokolwiek dawnego znaczenia, ogłosił, na dziesiąty maja i dni następne, igrzyska nemejskie, istmickie i florejskie, na których miał uwieńczyć najsilniejszego atletę, najrzęczniejszego woźnicę i najumiejętniejszego śpiewaka. Skutkiem tego od dni kilku tłumy cudzoziemców ze wszystkich krajów zbiegały się do stolicy Aktei, nęczone już to ciekawością, już też żądzą zdobycia nagród, co nadawało na czas niejaki miastu, jeszcze słabemu od krwi i bogactw straconych, świetność i zgiełk jego dni upłynionych; jedni przybywali na wozach, inni na koniach, inni znowu na stawkach, które najmowali lub budowali umyślnie; żaden jednak z tych ostatnich nie zawinął do portu na tak przepysznym okręcie jakim były przybijający w tej chwili do brzegów, o które niegdyś spór toczyli Apollo z Neptunem.

Gdy wyciągnięto na piasek biremmę, majtkowie przystawili do pokładu stopnie z drzewa cytrynowego, wysadzanego srebrem i miedzią, i zstąpił po nich śpiewak, cytrę zarzuciwszy na plecy, wsparty na niewolniku, któregośmy leżącego u nóg jego widzieli. Pierwszy z nich był pięknym młodzieńcem od dwudziestu siedmiu do dwudziestu ośmiu lat; miał włosy jasne, oczy niebieskie, brodę złotawą; odziany był w tunikę purpurową niebieską, zasnutą złotymi gwiazdami chlamydę, na szyi zaś miał szarfę, od której węża długie końce spływały do pasa. Drugi zdawał się młodszym o lat dziesięć: było to dziecko, zaledwie zbliżające się do wieku młodzieńczego, mające chód powolny, minę cierpiącą i smutną; ale świeżość jego lica zawstydziłaby cerę kobiety, skóra różana i przezroczysta mogłaby walczyć o pierwszeństwo z miękkością najrozkoszniejszych dziewic ateńskich, a ręka biała i pulchna zdawała się raczej stworzoną do wrzeciona lub igły, niż do miecza lub włóczni, owych znamion mężczyzny i wojownika. Odziany był w białą szatę do kolan, obrzucaną palmami złotemi; włosy w gęstych splotach spadały mu na odkryte ramiona, a na piersiach wisiało na złotym łańcuchu małe zwierciadelko, osadzone perłami.

W chwili gdy ten ostatni dotknąć miał ziemi, towarzysz jego zatrzymał go nagle; młodzieniec wzdrygnął się.

— Czego chcesz, panie? — rzekł głosem łagodnym i bojaźliwym.

— Nogą lewą chciałeś stanąć na brzegu i tym nierozważnym postępkim mogłeś narazić owoce wszyst-

kich mych wyrachowań, dla których przybywam tu w dniu błogiej wróżby.

— Masz słuszność, panie — rzekł młodzieniec, potem wszedł na brzeg nogą prawą, a towarzyszył jego uczynił to samo.

— Cudzoziemcze — rzekła młoda dziewczica do starszego z dwóch przybylców słysząc, iż przemawiał w jońskim języku — ziemia Grecyi, którąbądź dotkniesz ją nogą, przychylną jest każdemu, co na niej staje w przyjaznych usposobieniach; jest to kraina miłości, poezyi i walki; ma ona wieńce dla kochanków, poetów i wojowników. Ktokolwiek jesteś, przyjmij ten, nim pozyskasz inny, po który zapewne przybywasz.

Młody człowiek ujął żywo i włożył na swą głowę wieniec, który mu podawała Koryntyanka.

— Bogowie są nam przychylni! — zawołał. — Drzewo pomarańczowe, to jabłoń Hesperidów, które złote owoce dały zwycięstwo Hippomenowi, wstrzymując bieg Atalanty, a ten laur różowy, to drzewo ulubione przez Apolina. — Jak się nazywasz, proroczko szczęścia?

— Nazywam się Aktea — odpowie rumieniąc się dziewczica.

— Aktea! — zawołał starszy z przybylców. — Słyszysz, Sporusie? Nowa wróżba: Akte, znaczy *brzeg*. Tak więc ziemia Koryntu czekała na mnie z swym wieniecem.

— Cóż w tem dziwnego? Czyż nie jesteś ulubieńcem bogów, Lucyuszu? — odpowie dziecię.

— Jeśli się nie mylę — zapytała bojaźliwie dzie-

wica — przybywasz dla ubiegania się o jedną z nagród, obicanych zwycięzcom przez prokonsula rzymskiego?

— Łączysz talent odgadywania z darem piękności — rzekł Lucyusz.

— I masz pewnie krewnych w Koryncie?

— Cała moja rodzina jest w Rzymie.

— Może przyjaciela?

— Jedynym moim przyjacielem jest ten, którego widzisz, i jak ja jest obcym w Koryncie.

— Może więc jakich znajomych?

— Żadnych.

— Dom nasz jest obszerny, a mój ojciec gościny — rzekła dalej dziewczica. — Czy Lucyusz raczy nas obdarzyć pierwszeństwem? Zaniesiemy modły do Kastora i Poluksa, aby mu byli przychylni...

— Czy nie jesteś czasem ich siostrą Heleną, młoda dziewico? — przerwał Lucyusz uśmiechając się. — Mówią, że lubiła ona kąpać się w źródle, które musi być stąd niedaleko. To źródło miało dar przedłużania życia i uwieczniania piękności. Wenus objawiła tę tajemnicę Parysowi, a ten musiał powierzyć ją tobie. Jeżeli to prawda, prowadź mię do tego błogiego źródła, piękna Akteo: odkąd bowiem cię ujrzałem, chciałbym żyć wiecznie, aby widzieć cię zawsze.

— Niestety! nie jestem boginią — odpowiedziała Aktea — a źródło Heleny nie ma tych cudownych przymiotów; zresztą, nie mylisz się względem jego położenia, gdyż oto tu, o kilka kroków, spada do morza ze szczytu skały.

— Ten więc gmach, który wznosi się przy niem, jest świątynią Neptuna?

— Tak jest. A ta ulica, ocieniona sosnami, wiedzie do stadium. Powiadają, że dawniej stał posąg przed każdym drzewem; ale zabrał je Mummiusz i na zawsze opuściły moją ojczyznę dla twojej. Czy chcesz pójść tą ulicą, Lucyuszu? Wiedzie ona do domu mego ojca.

— Co myślisz o tem zaproszeniu, Sporusie? — zapytał młody człowiek towarzysza, zmieniając język i mówiąc po łacinie.

— Myślę, że Fortuna nie dała ci powodu wątpienia o jej dla ciebie stałości.

— Dobrze, zawiermy jej i ten raz jeszcze, nigdy bowiem nie przedstawiała mi się pod tak pociągającą i czarowną postacią.

Zmieniając znowu mowę i odzywając się w języku jońskim, którym mówił z największą czystością, rzekł do Aktei:

— Prowadź nas, młoda dziewico, jesteśmy gotowi ci towarzyszyć. Sporusie, zaleć Libikusowi, aby czuwał baczenie nad Febe.

Aktea udała się naprzód, a niewolnik, wypełniając rozkaz swojego pana, wrócił na okręt.

Zbliżywszy się do stadium, Aktea zatrzymała się.

— Patrz — rzekła do Lucyusza — oto gymnasium. Jest w pogotowiu i świeżym przysypane piaskiem, pojutrze bowiem dzień igrzysk, które rozpoczynają zapasy. Na prawo, z drugiej strony strumienia, u końca tej sosnowej ulicy, wznosi się hippodrom; drugi dzień, jak ci wiadomo, zostanie poświęcony wozowym wyści-

gom. Nakoniec w połowie drogi do tego pagórka, w kierunku cytadeli, widzisz teatr, w którym najbiegłęjszy śpiewak ma otrzymać palmę zwycięstwa. O którą z tych trzech nagród zamyśla ubiegać się Lucyusz?

— O wszystkie trzy, Akteo.

— Jesteś zarozumiąły, młodzieńcze.

— Liczba trzy podoba się bogom — rzekł Sporus, dopędzając towarzysza, poczem goście, pod przewodnictwem pięknej swej gospodyni, udali się w dalszą drogę.

Zbliżając się do miasta, Lucyusz zatrzymał się.

— Co znaczy ten wodotrysk — zapytał — i te płaskorzeźby uszkodzone? Zdają się one należeć do najpiękniejszych czasów Grecyi?

— Jest to wodotrysk Pyreny — objaśniła Aktea — w tem właśnie miejscu jej córkę zabiła Dyana, a widząc boleść matki, zamieniła ją w źródło nad ciałem dziecka, które oplakiwała. Co do płaskorzeźby, jest ona dziełem Lizippa, ucznia Fidyasza.

— Patrz, Sporusie — zawołał z zapalem młodzieńiec z lirą — patrz, jakie uczucie! jaki wyraz! Jest to potyczka Ulissesa z kochankami Penelopy, nieprawdaż? Czy widzisz, jak ten człowiek raniony dobrze umiera? Pocisk ugodził go niżej serca; dwa cale wyżej, a nie byłoby konania. O! biegłym był mistrzem ten snycerz i znał dobrze swą sztukę. Rozkażę przenieść ten marmur do Rzymu lub Neapolu; chcę go mieć w mojem atrium. Jeszczem nigdy nie widział człowieka, umierającego z taką prawdą boleści.



— Jest to jeden z ostatków naszej dawnej świętności — rzecz Aktea — miasto pyszni się niemi i jak matka, co utraciła najpiękniejsze swe dzieci, tem silniej przywiązana jest do tych, które jej pozostały. Wątpię, czyś tak bogatym Lucyuszu, abys mógł zakupić te szczątki.

— Zakupić! — odpowie Lucyusz z wyrazem niewysłowionej pogardy. — Nie potrzebuję kupować, gdy mogę wziąć. Jeżeli zapragnę tego marmuru, mieć go będę, chociażby cały Korynt był temu przeciwny.

Sporus ścisnął pana swego za rękę.

— Jeżeli tylko piękna Aktea — dodał Lucyusz postrzegając się — nie zapragnie, aby ten marmur w jej Ojezynie pozostał.

— Równie nie pojmuję twojej władzy jak i mojej w tym względzie, Lucyuszu! zawsze jednak dziękuję ci za to, coś powiedział. Zostaw nam nasze szczątki, Rzymianinie i nie dokonywaj dzieła twoich ojców. Oni przybyli jako zwycięzcy — ty jako przyjaciel; co z ich strony było barbarzyństwem, z twojej byłoby świętokradztwem.

— Uspokój się, młoda dziewczeco — rzekł Lucyusz — zaczynam bowiem postrzegać, że Korynt posiada stokroć szacowniejsze rzeczy nad płaskorzeźbę Lizippa, która jest zawsze tylko marmurem. Gdy Parys przybył do Lacedemony, nie uwiózł stamtąd ani posagu Minerwy, ani Dyany, ale Helenę, najpiękniejszą Spartanę.

Aktea spuściła oczy pod ognistym spojrzeniem Lucyusza i idąc czas niejaki w milezeniu, weszła na koniec do miasta. Dwaj Rzymianie postępowali za nią.

Korynt odzyskał ruch i żywość dawnych dni swoich. Ogłoszenie igrzysk, które miały być obchodzone, zwabiły mnogą ludność nie tylko ze wszystkich części Grecyi, ale nawet z Sycylii, Egiptu i Azji. Każdy dom miał gościa i przybyły nasi wielkiej doznaliby trudności w znalezieniu przytułku, gdyby Merkury, bożek podróży, nie wysłał na ich spotkanie gościnniej dziewczycy. Zawsze pod jej przewodnictwem, przebyli główny targ miasta, gdzie wystawione były w pomieszeniu papyrus i len Egiptu, kość słoniowa Libii, kobierce Kartaginy, daktyle Fenicyi, purpura Tyru, skóry Cyreny, kadzidło i mirra Syrii, niewolnicy Frygii, konie Selimentu, miecze Celtyberów i koral Gallów. Idąc dalej, weszli na plac, na którym wznosił się niegdyś posąg Minerwy, arcytwór Fidyusza, potem skierowali się ku jednej z ulic, rozchodzących się z tej przestrzeni i o kilka kroków zatrzymali się przed starcem, stojącym na progu swego domu.

— Mój ojciec — rzecz Aktea — oto Zeus przyśła ci gościa; spotkałam go w chwili, gdy wysiadał ze statku i ofiarowałam mu twoją gościnność.

— Witam cię z uprzejmością, złotobrody młodzieńcze — odpowie Amikles.

To rzekłszy, otworzył jedną ręką drzwi swego domu, a drugą podał Lucyuszowi.

## II

Nazajutrz młody Rzymianin, Aktea i jej ojciec, zgromadzeni w *triclinium*, około stołu zastawionego,

zabierali się do wybrania losem króla biesiady. Starzec i młoda dziewica chcieli bez losu zaszczyt ten uczynić cudzoziemcowi; ale gość ich, już to przez przesąd, już przez szacunek dla zwyczaju, nie przyjął ofiarowanej sobie korony. Przyniesiono więc kości i podano kubek starcowi, który wyrzucił los Herkulesa. Rzut Aktei, wydał los Wozu. Nakoniec ta ostatnia podała kubek Rzymianinowi, który wziął go z widoczną niespokojnością, wstrząsał długo, ze drżeniem wysypał kości na stół i wydał okrzyk radości, widząc wynik rzutu: był to los Wenery, wszystkie inne przeważający.

— Patrz, Sporusie — zawołał w języku łacińskim — patrz, jak stanowczo są za nami bogowie. Jowisz nie zapomina, że jest ojcem mojego plemienia... Los Herkulesa, Wozu i Wenery. Mógłżeby nastąpić wypadek szczęśliwszej wróżby dla tego, co przybywa walczyć o pierwszeństwo w zapasach, gonitwach i śpiewie, a ten ostatni czyliż mi nie zapowiada podwójnego tryumfu?

— Tyś się w dniu szczęśliwym urodził — odpowiedział niewolnik — i słońce dotknęło cię wprzód, nim sam ziemi dotknąłeś. I tym razem, jak zawsze, zwyciężysz wszystkich współzawodników.

— Niestety! były czasy — rzecze starzec językiem, którym mówił cudzoziemiec — iż Grecya przedstawilaby przeciwnikow, godnych walczenia z tobą o zwycięztwo; ale już minęła dla nas epoka, w której Milon Krotonczyk sześć razy został uwieczony na igrzyskach pityjskich, a Ateńczyk Aleybiades siedm wozów posłał na igrzyska olimpijskie i zdobył cztery

nagrody. Grecya już postradała swą sztukę i siłę, a Rzym od czasów Cyncerona wysyła do nas wszystkie swe dzieci i wszystkie nam palmy wydziera. Niech więc Jowisz, którego się mienisz potomkiem, wspiera ciebie, młodzieńcze! Po chlubie bowiem odniesienia zwycięztwa przez jednego z moich współziomków, za największą poczytałbym przyjemność, gdyby los posłużył mojemu gościowi. Tymczasem moja córka przyniesie ci wieniec z kwiatów, zanim będziesz miał prawo skronie twoje ozdobić laurowym.

Aktea wyszła i za chwilę powróciła, niosąc wieniec z mirtu i szafranu dla Lucyusza, z bluszczu dla swego ojca, a z róż i lilij dla siebie; oprócz tych, niewolnik przyniósł większe girlandy, które biesiadnicy włożyli na szyje. Poczem Aktea usiadła na łożu ze strony prawej, Lucyusz położył się na miejscu konsularnem, a starzec, stojąc między córką i gościem, od był libację z wina, odmówił modlitwę do bogów, poczem położył się także, mówiąc do młodego Rzymianina:

— Widzisz, mój synu, żeśmy zjednoczeni podług przepisanych warunków, ponieważ liczba biesiadników, jeżeli mamy wierzyć jednemu z naszych poetów, najmniej wyrównywać powinna liczbę Gracyi, a najwięcej Muz. Niewolnicy, podajcie pierwsze dania.

Przyniesiono tacę zastawioną; słudzy stanęli gotowi na każde skinienie. Sporus położył się u nóg swego pana, ofiarując mu długie swe włosy do ocierania rąk i *scissor* \*) rozpoczął swe dzieło.

\*) Krajacz.

Neron.



Na początku drugiego dania, gdy już pierwszy apetyt biesiadników został zaspokojony, starzec zwrócił oczy na swego gościa i wpatrując się z dobrotliwym wyrazem starości w piękną twarz Lucjusza, której włosy blond i broda złotawa szczególnie nadawały cechę, zapytał:

— Czy przybywasz z Rzymu?

— Tak jest, mój ojcze — odpowie młodzieniec.

— Prosto ze stolicy?

— Wsiadłem na okręt w porcie Ostyi.

— Czy zawsze czuwają bogowie nad boskim ceza-rem i jego matką?

— Zawsze.

— Czy cesarz przygotowuje jaką wojenną wyprawę?

— W tej chwili uległe mu są wszystkie ludy. Cezar, pan świata, obdarzył nas pokojem, podczas którego zakwitły sztuki; zamknął świątynię Janusa, po-czem wziął lirę, dla złożenia bogom dziękczynień.

— I czyliż się nie obawia, aby inni panowali, gdy on zajęty śpiewaniem?

— Co! — rzekł Lucjusz porywcz, marszcząc brwi — myślą więc w Grecyi, że cesarz jest dzieckiem?

— Nie, ale się obawiają, by nie zapóźno został mężem.

— Wszakże przywdział szatę męską na pogrze-bie Brytannika?

— Brytannikus oddawna został na śmierć skaza-ny przez Agrypinę.

— Tak jest, ale cesarz go zabił. Ja ci to mó-wię, ja... Nieprawdaż, Sporusie?

Dziecię podniosło głowę i uśmiechnęło się.

— Zamordował brata! — zawołała Aktea.

— Oddał synowi to, co matka dla niego samego przygotowała. Jeżeli nie wiesz sama, dziewczyno, spytaj ojca, który zdaje się tych rzeczy świadomym, a on ci powie, że Messalina posłała była żołnierza, aby zabił Nerona w kolebce; że już miał żołnierz ude-rzyć, gdy dwa węże wypadły z łoża dziecięcia i ode-gnały centuryona... Nie, nie, uspokój się, mój ojcze, Neron nie jest ani tak niedołęźnym jak Klaudyusz, ani szalonym jak Kaligula, ani nikczemnym jak Tybe-ryusz, ani histryonem jak August.

— Mój synu — rzekł starzec przełęczony — czyś się zastanowił nad tem, że słowa twoje są bluźnier-stwem przeciw bogom?

— Zabawni bogowie, przez Herkula! — zawołał Lucjusz — zabawny to bóg Oktawiusz, który obawiał się ciepła, zimna, piorunów, który przybył z Apolonii i ukazał się starym legiom cesarza, kulejąc jak Wulkan; zabawny bóg, którego ręka była tak słabą, iż nie mo-gła dźwignąć ciężaru pióra, który przeżył wiek, nie śmiać ani razu okazać się panem i umarł pytając, czy dobrze grał swoją rolę! Zabawny bóg Tyberyusz, ze swym Olimpem w Kaprei, na którym siedział ukryty, jak morski zbójca na okręcie, uwięzionym kotwicą, mając po prawicy Trazyllesa, przewodnika duszy, a po lewicy Charyklesa, dozorcę ciała; który posiadając świat i mogąc, jak orzeł, rozpostrzeć nad nim swe skrzy-dła, ukrył się w dziurze skały, jak sowa! Zabawny to bóg ów Kaligula, któremu napój głowę zawrócił, a który mniemał się wielkim, jak Kserkses, ponieważ

postawił most z Puzzoli do Bai, i potężnym jak Jowisz, ponieważ naśladował huk grzmotu, nakazując toczyć wóz spiżowy po moście miedzianym; który mienił się narzeczonym księżycą, a którego Chereasz i Sabinus dwudziestu razami miecza posłali zawrzeć małżeństwo to w niebie! Zabawny to bóg ów Klaudyusz! którego znaleziono za obiciem, gdy go szukano dla tronu; który będąc niewolnikiem i igraszką czterech żon swoich, podpisał akt małżeństwa jednej z nich, Messaliny z Syliuszem, swym wyzwolencem; zabawny bóg, któremu drgały kolana a wargi za każdym słowem powlekały się pianą, któremu plątał się język i głowa trzęsła się mimowolnie; zabawny bóg, który przebył cały żywot w pogardzie, nie umiejąc stać się postrachem, a który umarł, najadłszy się grzybów, uzbieranych przez Halotusa, obranych przez Agrypinę i przyrządzonych przez Lokustę! Ach! raz jeszcze, jakże zabawni bogowie i jak szlachetnie muszą wyglądać w Olimpie, obok Herkulesa, pana maczugi, Kastora woźnicy i Apolina, boga liry!

Długie milczenie nastąpiło po tych nierozważnych i świętokradzkich wyrazach. Amikles i Aktea z zdziwieniem przypatrywali się swemu gościowi, gdy wszedł niewolnik i oznajmił przybycie posłańca od Knejusa Lentula. Starzec zapytał, czy posłaniec ten przybywał do niego, czy też do gościa, którego miał w domu. Niewolnik o tem nie wiedział i liktor został wprowadzony.

Przybywał on do cudzoziemca. Prokonsul dowiedział się, że okręt zawinął do portu, że pan jego miał zamiar ubiegania się o nagrodę, rozkazywał mu

przeto stawić się w pałacu prokonsularnym, dla zapisanego swego nazwiska i oświadczenia, w którym z trzech igrzysk zamierzał uczestniczyć. Amikles i Aktea powstali dla przyjęcia rozkazów prokonsula; Lucyusz wysłuchał ich leżąc.

Gdy liktor skończył, Lucyusz dobył tabliczek z kości słoniowej, naprowadzonych woskiem, napisał na jednej z nich stylem kilka wierszy, wycisnął pieczęć swoim pierścieniem i oddał odpowiedź swą liktorowi, rozkazując zanieść ją do prokonsula. Wahał się liktor zdziwiony; Lucyusz dał znak rozkazujący; żołnierz ukłonił się i wyszedł. Poczem Lucyusz klasnął w ręce na niewolnika, podał mu swą czarę, która wnet napełniła się winem, wychylił z niej połowę za pomysłność gospodarza i jego córki i oddał resztę Sporusowi.

— Młodzieńcze — rzekł starzec, przerywając milczenie — mówisz, żeś Rzymianinem, a jednak zaledwie mogę temu uwierzyć. Jeżeliś żył w grodzie cesarów, powinienbyś mieć większe uszanowanie dla reprezentantów władcy Rzymu i świata: prokonsul jest tu panem tak samowładnym i tak szanowanym, jak sam Klaudyusz Neron w Rzymie.

— Czyś zapomniał, że bogowie zrównali mię z cesarami, obierając krolem biesiady? Czy kiedykolwiek widziano, aby król schodził z tronu na rozkazy prokonsula?

— Czyliżeś odmówił posłuszeństwa prokonsulowi? — spytała się Aktea z przestachem.

— Nie, ale napisałem do Lentula, że jeżeli chce

wiedzieć, jak się nazywam i w jakim celu przybyłem do Koryntu, winien przyjść sam, aby się o to zapytać.

— I sądzisz, że on przyjdzie? — spytał starzec.

— Bezwątpienia — odpowiedział Lucyusz.

— Tu, do mego domu?

— Słuchaj — rzecze Lucyusz.

— Cóż takiego?

— To on stuka do drzwi: poznaję brzęk różeg liktorów. Każ otworzyć, mój ojcze i zostaw nas samych.

Starzec i jego córka powstali zdziwieni i sami udali się ku drzwiom; Lucyusz pozostał leżący.

Nie mylił się wistocie: był to sam Lentulus. Czoło jego, potem zroszone, okazywało, jak skwapliwie biegł na wezwanie cudzoziemca: spytał głosem szybkim i niepokojnym, gdzie był szlachetny Lucyusz i jak tylko wskazano mu miejsce, zrzucił togę i wszedł do triclinium; drzwi się za nim zamknęły, a liktorowie uszykowali się natychmiast za niemi.

Nikt nie wiedział, co zaszło podczas tego widzenia się, bo po kwadransie oddalił się prokonsul, a Lucyusz przyszedł pod peristil, gdzie Amikles używał przechadzki z Akteą; twarz jego była spokojna i uśmiechnięta.

— Mój ojcze — rzekł — wieczór tak jest pogodny, czy nie zechcesz towarzyszyć gościowi twemu do cytadeli, skąd ma być widok wspaniały? Chciałbym się nadto przekonać, czy wypełniono rozkazy cezara, który dowiedziawszy się, że mają być obchodzone w Koryncie igrzyska, odesłał starożytny posąg Wenery

pragnąc, aby sprzyjała Rzymianom, przybywającym dla ubiegania się o nagrody.

— Niestety! mój synu — odpowiedział Amikles — zbyt już jestem stary, abym mógł służyć w górach za przewodnika, ale oto Aktea, która wyrównywa Nimfie lekkością; niech ona ci towarzyszy.

— Dziękuję ci ojcze, nie prosiłem cię o tę łaskę z obawy, aby jej Wenus nie pozazdrościła i nie chciała mścić się nade mną za piękność twojej córki. Ale ty mi ją ofiarujesz, więc nabieram odwagi.

Aktea uśmiechnęła się zapłoniona i posłuszna skinnieniu ojca, udawszy się najprzód do swej komnaty, wróciła po chwili, obwinęta zastoną z całą skromnością rzymskiej matrony.

— Czy siostra moja ślub jaki zawarła — rzekł Lucyusz — albo byłażby kapłanką Minerwy, Dyany lub Westy?

— Nie, mój synu — odpowiedział starzec, biorąc Rzymianina za rękę i odprowadzając na stronę — ale wiem o tem, że Korynt jest miastem kobiet, hołdujących miłości. Przez pamięć na to, że ich pośrednictwo ocaliło niegdyś gród ten od najazdu Kserksesa, kazaliśmy je malować, jak Ateńczycy wizerunki swych wodzów po bitwie maratońskiej; odtąd tak się obawiamy, aby nam na nich nie brakło, że zakupujemy je w Bizancyum, na wyspach Archipelagu, a nawet w Sycylii... Odznaczają się one odkrytą twarzą i łonem. Uspokój się, Aktea nie jest kapłanką Minerwy, Dyany ani Westy; ale nie chce być poczytaną za czezcicielkę Wenery.

Wznosząc głos potem, dodał:

— Idźcie, moje dzieci, a ty, córko, z wierzchołka

wzgórza wskaż naszemu gościowi wszystkie nasze stare pamiątki.

Lucyusz i Aktea udali się w drogę. Po kilku chwilach przebyli bramę północną i weszli na ścieżkę, wiodącą do cytadeli. Dwa razy zatrzymywała się Aktea: raz dla ukazania Lucyuszowi grobu dzieci Medeji; drugi dla ukazania miejsca, w którym Bellerofon otrzymał z rąk Minerwy konia Pegaza. Nakoniec zbliżyli się do cytadeli. U wnijscia przytykającej do niej świątyni, Lucyusz poznawszy posąg Wenery, świetną okryty zbroją, mający po prawej stronie posąg Miłości, a po lewej Słońca, pierwszego z bóstw, które czczono w Koryncie, upadł na twarz i modlił się.

Po dopełnieniu tego pobożnego obowiązku, młoda para udała się ścieżką, przerywaną gaj święty i wiodącą na wierzchołek pagórka.

Wieczór był pogodny, niebo czyste, a morze spokojne. Koryntyanka szła przodem, podobna do Wenery, wiodącej Eneasza drogą do Kartaginy. Lucyusz, idąc za nią, napawał się wonnościami, jakie wydawały sploty jej gęstych warkoczy. Ona co chwila obracała się, a że wyszedłszy z miasta, spuściła na ramiona zasłonę, Rzymianin pożerał płonącemi oczyma tę śliczną głowę, którą chód przyspieszony nową okraszył barwą. W miarę, jak wchodzili na górę, widnokrąg coraz bardziej się rozszerzał. Przybywszy nakoniec na szczyt pagórka, Aktea stanęła pod morwą i oparłszy się o nią dla odetchnienia, rzekła do Lucyusza:

— Jesteśmy na miejscu. Co mówisz o tym widoku? Czyż on nie dorównywa okolicom Neapolu?

Rzymianin milcząc zbliżył się do niej, oparł się

ręką na gałęzi drzewa i zamiast przypatrywać się widokowi, wlepił w Akteę wzrok tak pałający miłością, że dziewica, czując występujące na twarz swą rumieńce, śpiesznie mówić zaczęła, dla ukrycia swojego zmieszania:

— Patrz na wschód. Chociaż już mrok zapada, widać cytadelę ateńską, podobną do punktu białego i pagórek Sunium, odbijający się na wodnej fali, jak ostrze włóczni. Bliżej, wśród morza Saronickiego, widzisz wyspę, mającą kształt końskiej podkowy: to Salamina, pod którą walczył Eschiles i gdzie Kserkses został pobity. Ku południowi, w kierunku Koryntu, o dwieście stadyów od nas, możesz widzieć, Nemeę i las, gdzie Herkules zabił lwa, którego skórę nosił zawsze, jako godło zwycięstwa. Nieco dalej, u stóp tego łańcucha gór, ograniczającego widnokrąg, leży Epidaurus, ulubiony Eskulapowi, a za nim Argos, ojczyzna króla królów. Na zachód, w złotej fali słońca zachodzącego, u krańca bogatych równin Sycyony, za tą modrą linią morskiej przestrzeni, czy widzisz Samos i Itakę? A teraz odwróć się od Koryntu i patrz na północ: oto na prawo Cyteron, gdzie oślepiony był Edyp; na lewo Leuktry, gdzie Epaminondas pobił Lacedemonczyków; a przed nami Platea, gdzie Persowie zwyciężeni zostali przez Arystidesa i Pauzanasza. Potem, w środku tego łańcucha gór, przebiegającego od Attyki do Etolii, Helikon, okryty sosnami, mirtami i laurami, i Parnas, z dwoma śnieżnymi szczytami, między którymi płynie źródło Kastalii, udarowane przez Muzy własnością napawania duchem poetycznym tych, którzy piją zeń wodę.

— Tak jest — rzecze Lucyusz — kraina twoja jest ziemią wielkich pamiątek. Nieszczęściem, nie wszystkie jej dzieci przechowują je ze czcią podobną twojej, młoda dziewico; ale pociesz się, jeżeli Grecya nie jest już potężną, jest wszakże zawsze piękną, a piękno władniejszem jest od siły.

Aktea wzniosła rękę do zasłony, ale zatrzymał ją Lucyusz.

Koryntyanka zadrżała, lecz nie miała odwagi oprzeć się śmiałości młodzieńca: coś nakształt gęstego obłoku zasłoniło jej oczy, a czując zginające się pod sobą kolana, oparła się o pień morwy.

Była wówczas ta rozkoszna godzina, która nie jest dniem ani nocą; zmrok, całą część wschodnią widnokregu powlekający, okrywał Archipelag i Attykę. Tymczasem ze strony przeciwnej, morze Jońskie, toczące ogniste fale i niebo, pełne złotych obłoków zdawało się były tylko przedzielone jaskrawem, jak puklerz w ogniu rozczerwieniony, słońcem, które już zaczynało gasić w wodach część niższą swej tarczy. Jeszcze jakby z ula dolatywał gwar miejski; wszystkie jednak głosy doliny i góry konały jeden po drugim; czasem tylko rozległ się w stronie Cyteronu śpiew przenikliwy pasterza, albo podnosił się od morza Saronickiego i odnogi krzyk rybaka, wyciągającego na brzeg swą łódkę. Owady nocne zaczynały w trawie brzęczeć, a fosforyczne chrząszczyki, rozsypane tysiącami w ciepłym powietrzu wieczornem, jaśniały, jak iskry niewidocznego ogniska. Wszystko wskazywało, że natura, strudzona dzienną pracą, usypiała powoli i że całe życie umilknie za chwilę, szanując jej rozkoszny spoczynek.

Młoda para głębokie zachowywała milczenie pod wpływem tego uroczego wrażenia, gdy nagle ze strony portu Lechejskiego zabrzmiał ryk tak przerażający, że Aktea wzdygnęła się z przestachu. Rzymianin odwrócił głowę z żywością i skierował oczy ku swej biremmie, która zarysowywała się w zatoce nakształt konchy złocistej. Młoda dziewica, przejęta uczuciem mimowolnej bojaźni, pomknęła szybko ku drodze do miasta. Ale zatrzymał ją Lucyusz. Uległa mileząc i jakby zwyciężona wyższą potęgą, wsparła się znowu o drzewo, albo raczej o rękę, którą Lucyusz opasał jej kibić, a zwiesiwszy w tył głowę, wpatrywała się w niebo wpół otwartymi oczyma. Lucyusz pożerał ją w tej postawie palającym spojrzeniem, a chociaż czuła, jak ją obejmował jego wzrok palący, nie miała siły wydrzeć się z pod władzy tego uroku. Powtórny ryk, bliższy i nierównie straszniejszy, przerwał słodką ciszę i obudził Akteę z rozmarzenia.

— Uciekajmy, Lucyuszu! — zawołała z przestachem — uciekajmy! Jakieś dzikie zwierzę błąka się w górach... Przejdźmy tylko ten gaj święty, a staniemy w świątyni Wenery albo w cytadeli. Pójdź Lucyuszu, pójdź.

Lucyusz uśmiechnął się.

— Czy będąc przy mnie, może się czego obawiać Aktea? — zapytał. — Co do mnie czuję, że dla niej nie wahałbym się uderzyć na wszystkie potwory, które zwyciężył Tezeusz, Herkules i Kadmus.

— Lecz czy wiesz, co znaczą te ryki? — rzecze drżąca dziewica.

— Wiem — odparł Lucyzus uśmiechając się — to ryk tygrysa.

— Jowiszu! — zawoła Aktea, rzucając się w objęcia Rzymianina — Jowiszu, ratuj nas!

Znów ryk, jeszcze bliższy i groźniejszy od pierwszych, zabrzmiał w przestrzeni. Lucyzus odpowiedział nań krzykiem prawie podobnym. W tejże chwili z gaju świętego wyskoczyła tygrysica i zatrzymała się, wspinając na tylnych łapach, jakby rozglądając się i szukając czegoś. Lucyzus gwizdnął przenikliwie. Zwierzę rzuciło się, przesadzając krzewy mirtu i różowego lauru i skierowało się ku niemu z oznakami radości. Nagle Rzymianin uczył na swem ręku cały ciężar młodej Koryntki: omdlała z przestachu.

Gdy Aktea powróciła do przytomności, znalazła się w objęciach Lucyusza, a tygrysica, leżąc u nóg jego, wspierała pieszczołtliwie na kolanach pana straszłą swą głowę, której ślepia płonęły, jak rozżarzone węgle. Na ten widok młoda dziewica ukryła twarz na piersi młodzieńca, już to z przestachu, już też ze wstydu, sięgając ręką ku swej rozwiązanej przepasce, która o kilka kroków leżała na ziemi. Lucyzus spostrzegł to ostatnie usiłowanie skromności dziewczęcej i odpinając opasujący szyję tygryscy naszyjnik z czystego złota, przy którym wisiało jeszcze ogniwo zerwanego łańcucha, przepasał nim gibką kibić Aktei. Podjawszy potem przepaskę ze wstążki, którą był rozwiązał ukradkiem, utwierdził jeden jej koniec u szyi zwierza, a drugi wplótł między drżące palce dziewczyny. Następnie milcząc udali się ku miastu. Aktea jedną ręką wspierała się na ramieniu Lucyusza, a dru-

gą prowadziła uległą tygrysicę, która przed chwilą takiej nabawiła ją trwogi.

U wnijsia do miasta, spotkali nubijskiego niewolnika, któremu poruczoną była straż nad Febe. Biegł on za nią przez pola i zgubił z oczu w chwili, gdy zwierzę, wpadłszy na ślad swego pana, biegło ku cytadeli. Postrzegłszy Lucyusza, ukląkł i spuścił głowę, oczekując kary, na którą przez swój niedozór zasłużył; ale Lucyzus zbyt był szczęśliwym w tej chwili, by się mógł okazać okrutnym: zresztą Aktea patrzyła nań tak błagalnie.

— Powstań Libikusie — rzekł do niewolnika — na ten raz ci przebaczam; ale nadal czuwaj lepiej nad Febe. Tyś się stał przyczyną, że ta piękna Nimfa śmiertelnej doznała trwogi. Oddaj, moja Aryadno, tygrysicę stróżowi. Ja parę tych wspaniałych zwierząt zaprzęę do wozu z kości słoniowej i złota, i każe ci wozic wśród ludu, który cię będzie czcił, jak boginię... Dosyć, Febe, dosyć. Idź sobie...

Ale tygrysica nie chciała odejść: stanęła przed Lucyuszem, wspięła się i opierając dwie przednie łapy na jego ramionach, lizała go swym ostrym językiem, mruczając pieszczołtliwie.

— Dobrze, dobrze — rzekł Lucyzus z cicha — tyś szlachetne zwierzę, i jak tylko wrócimy do Rzymu, dam ci do pożarcia piękną chrześcijankę z dwojgiem jej dzieci. Idź, Febe, idź!

Tygrysica była posłuszną, jak gdyby pojmowała tę krwawą obietnicę i udała się za Libikusem; ale szła z wyraźną niechęcią i zwracała nieustannie głowę ku swemu panu; gdy ten jednak zniknął za bramę miasta



z bładą i drżąca Aktea, pospieszyła bez oporu do klatki złoconej, którą zamieszkiwała na okęcie.

Lucyusz znalazł niewolnika kubikularnego w przy-sionku swego gospodarza: czekał on na niego, aby mu wskazać sypialnię. Młody Rzymianin ścisnął rękę Aktei i udał się za niewolnikiem, który niósł przed nim lampę. Co do pięknej Koryntyanki, ta według zwyczaju, poszła ucałować czoło ojca, który widząc ją tak bładą i wzruszoną, spytał, co tego było przyczyną.

Opowiedziała mu Aktea, jak przeraziła ją Febe i jak to okropne zwierzę posłusznem było każdemu skinieniu Lucyusza.

Starzec zamyslił się i z obawą rozważał, kto jest ten człowiek, co igra z tygrysami, rozkazuje prokonsulom i bluźni bogom?

Aktea zbliżyła zimne i blade usta do czoła ojca, ale zaledwie ośmieliła się dotknąć niemi białych włosów starca; udała się potem do sypialni, wciąż jeszcze rozmarzona, nie będąc pewną, czy to, co zaszło, było snem, czy rzeczywistością. Naraz dotknęła obręczy złotej, która zastąpiła jej dziewczę przepaskę, a zbliżwszy ją do lampy, wyczytała wyryte na niej wyrazy, tak dobrze odpowiadające jej myślom;

„Należę do Lucyusza“.

### III

Przez noc całą palono ofiary. Świątynie przystrojono jak na największą uroczystość. Po ukończeniu

świętych obrzędów, chociaż była dopiero pierwsza godzina z północy, już tłum rzucił się ku gimnazyum, tak spragniony był igrzysk, przypominających piękne dni starej Grecyi.

Amikles był jednym z ośmiu wybranych sędziów i w tym charakterze miał zachowane dla siebie miejsce naprzeciw siedzenia prokonsula rzymskiego. Nie spieszyl się jednak; przyszedł wtenczas dopiero, gdy już dano znak do rozpoczęcia uroczystości. U wnijścia znalazł Sporusa, który przychodził do swego pana, a któremu straż wzbraniała przystępu. Jego biała cera, ręce delikatne i wogóle wdzięk oraz subtelność jego postaci, podały go w podejrzenie, iż był przebraną kobietą, a starożytne prawo, wskrzeszone obecnie, skazywało na zepchnięcie ze skały każdą kobietę, któraby się ośmieliła zakraść do gimnazyum, gdzie się odbywają zapasy nagich atletów. Starzec jednak zaręczył za Sporusa i dziecię mogło się z panem swoim połączyć.

Gimnazyum podobne było do ula, cała przestrzeń gmachu napełniona była widzami. Murem głów zdawały się zamknięte womitorja; sam szczyt zabudowania zalegał rząd cały widzów, którzy wzajemnie siebie wspierali, nie mając innej podpory, prócz stojących co dziesięć stóp słupów złoconych, na których rozwieszono *velarium*. A jednak dolatywał jeszcze szmer głuchy wielu niedopuszczonych, tłoczących się u drzwi tego ogromnego gmachu, w którym znikła nietylko ludność Koryntu, ale nadto urzędowi przedstawiciele wszystkich prowincyj Imperyum, przybyli na te igrzyska. Co do kobiet, ukazywały się one zdala u drzwi i na murach miasta, oczekując na ogłoszenie imienia zwycięzców.

Za zjawieniem się Amiklesa, liczba sędziów była już dopełnioną. Prokonsul tedy powstał i ogłosił w imieniu cezara Nerona, władcy Rzymu i pana świata, że igrzyska wnet się rozpoczną. Huczne okrzyki i oklaski odpowiedziały na te wyrazy i wszystkie oczy skierowały się ku portykowi, w którym oczekiwali zapaśnicy. Siedmiu młodych ludzi wyszło i postąpiło ku trybunie prokonsula. Dwaj tylko zapaśnicy byli z Koryntu, z pięciu zaś innych, był jeden Tebańczyk, jeden Syrakuzanin, jeden Sybaryta i dwóch Rzymian.

Dwaj Koryntyjanie byli bliźniętami; postąpili na przód, spłotłszy się z sobą rękami, odziani w jednaki tuniki i tak do siebie podobni z postawy i twarzy, że cały cyrk klasnął w ręce na widok tych dwóch Menechmów. Tebańczyk był młodym pasterzem; gdy razu pewnego pasł swe trzody przy górze Cyteron i postrzegł schodzącego z niej niedźwiedzia, rzucił się nań bez żadnej broni, rozpoczął śmiało zapasy z tym groźnym przeciwnikiem i udusił go w uściskach swych rąk żylastych. Na pamiątkę tego zwycięstwa, wystąpił okryty skórą zduszonego zwierza, którego głowa służyła mu za hełm, a jej białe zęby opasywały ogorzałą twarz zapaśnika. Syrakuzanin złożył niemniej nadzwyczajne dowody swej siły. Gdy dnia pewnego współziomkowie jego składali Jowiszowi ofiary, byk, źle ugodzony przez ofiarnika, rzucił się w tłum ludu, cały przystrojony w kwiaty i różnobarwne wstążeczki; już wielu ludzi stratował, gdy pochwycił go za rogi Syrakuzanin, obalił na bok i zatrzymał pod sobą, jak zwyciężonego atlete, dopóki żołnierz jeden miecza nie utopił mu w piersiach. Młody Sybaryta długi czas

nie znał swej siły; również przypadkiem ujawniła się ona. Leżąc raz z przyjaciółmi na jednym z łóż purpurowych, otaczających stół, zastawiony wspaniale, usłyszał nagle krzyki: wóz, uniesiony przez dwa konie ogniste, już miał się roztrzaskać u blizkiego rogu ulicy, a w tym wozie była jego kochanka. Na ten widok, rzuca się przez okno, chwyta wóz z tyłu za koło; nagle zatrzymują się konie, wspinają się, jeden z nich pada na ziemię, a młodzieniec porywa w swe objęcia kochankę zemdloną, lecz ocaloną bez szwanku. Co do dwóch Rzymian, jeden z nich był atletą z profesji, słynnym już z mnogich zwycięstw, a drugi znany nam Lucyusz.

Sędziowie włożyli siedm kostek do urny. Dwie z nich oznaczone były literą A, dwie literą B, dwie literą C, ostatnia zaś literą D. Miał więc los utworzyć trzy pary i oznaczyć siódmego atlete do walczenia ze zwycięzcami. Prokonsul sam zmieszał kostki, potem zbliżyli się walczący, każdy z nich wziął jedną i złożył ją w ręce naczelnika igrzysk. Przypadek zrządził, że obaj Koryntyjanie otrzymali A, Tebańczyk i Syrakuzanin B, Sybaryta i atleta C, a Lucyusz D.

Atleci nie wiedząc jeszcze, w jakim porządku los ich do walki przeznaczył, rozebrali się, oprócz jednego Lucyusza, który mając wejść w szranki ostatni, pozostał w swym płaszczu. Prokonsul wezwał dwa A. Wnet dwaj bracia rzucili się z portyku i znaleźli się naprzeciw siebie; obaj wydali okrzyk zadziwienia, któremu odpowiedział szmer całego zgromadzenia. Czas niejaki stali w niepewnej i nieruchomej postawie; ale trwało to krótko i zaraz rzucili się w objęcia. Cały

Neron.

amfiteatr wybuchnął jednomyślnym oklaskiem i przy odgłosie tego hołdu dla miłości braterskiej, dwaj piękni młodzieńcy, podobni do Kastora i Polluksa, opuścili szranki, z aktorów stając się prostymi widzami.

Znaleźli się więc pierwszymi ci, co mieli wystąpić w drugiej kolei. Tebańczyk i Syrakuzanin ukazali się w szrankach, zmierzyli się wzrokiem i rzucili się na siebie. Czas niejaki dwa ciała splecione podobne były do pnia niekształtnego, który potoczył się nagle na ziemię, jakby pociskiem gromu wyrwany z korzenia. Przez kilka sekund nie można było rozróżnić wśród wznoszącej się kurzawy, tak dalece jednakie z obu stron pasowały się siły i tak szybko każdy z atletów to był na spodzie, to znowu wydobywał się na wierzch; nakoniec Tebańczyk zdołał utrzymać kolano na pierśsiach Syrakuzanina, a opasując mu szyję obu rękami, jakby żelaznym pierścieniem, ścisnął ją z taką mocą, że tamten zmuszony został podnieść rękę na znak, iż się zwyciężonym uznaje. Jednomyślne oklaski, dowodzące z jakim zapalem Grecy przypatrywali się temu widowisku, powitały to rozwiązanie pierwszej potyczki: przy ich brzmieniach, zwycięzca zasiadł pod lożą prokonsula, a upokorzony jego przeciwnik wrócił pod portyk, skąd wyszła natychmiast ostatnia para zapasników, utworzona z atlety i Sybaryty.

Gdy zrzucili swą odzież i niewolnicy nacierali ich ciała oliwą, nader ciekawy przedstawiali widok ci dwaj ludzie tak sprzecznej z sobą natury, przedstawiający dwa najpiękniejsze starożytności typy — Herkulesa i Antynousa. Atletę z krótkimi włosami, o członkach ciemnych i muskularnych; Sybaryta z długimi puklami,

z ciałem białym i zaokrąglonym. Grecy, wieley miłośnicy piękności fizycznej, religijni niemal czciciele kształtów, mistrze w każdej doskonałości, nie mogli powstrzymać szmeru podziwienia, na który obaj zapasnicy głowy podnieśli. Skrzyżowały się, jak dwie błyskawice, ich pełne dumy spojrzenia; nie czekając ostatecznego dokonania przygotowań, wyrwali się z rąk niewolników i postąpili ku sobie.

Zbliżywszy się o trzy lub cztery kroki, z wielką zaczęli się sobie przypatrywać uwaga, a każdy poznał zapewne w swym przeciwniku godnego siebie współzawodnika, bo oczy jednego przybrały wyraz nieufności, a drugiego chytrności. Wreszcie nagłym rzutem ujęli się za ręce, oparli się czołem o czoło, i podobni do dwóch pasujących się byków, doświadczeni naprzód sił swoich zobopólnem usiłowaniem zagnęli się do cofania. Ale obaj pozostali nieruchomi na miejscu, podobni do dwóch posągów, których życie objawiało się tylko przez stopniowe natężenie mięśni. Po minucie bezskutecznych zabiegów, obaj odskoczyli w tył, wstrząsając głowy potem oblane i oddychając ciężko, jak dwaj wybijający się na powierzchnię wody nurkowie.

Krótką była ta chwila przerwy; zapasnicy rzucili się znowu na siebie, a tym razem splekli się w połowie ciała rękami; lecz czy to z braku doświadczenia w tego rodzaju zapasach, czy też z ufności w swe siły, Sybaryta dał nad sobą przewagę przeciwnikowi, pozwalając mu ująć się pod ręce; atleta dźwignął go wnet z ziemi i uniosł w powietrze. Tracąc jednak równowagę pod naciskiem ciężaru, zmuszony był uczynić trzy kroki w tył chwiejąc się.

Sybaryta zdołał wtedy dotknąć ziemi nogami, a wyęzając wszystkie swe siły, zachwiał atletę i obalił pod siebie; lecz zanim to spostrzeżono, już atleta podniósł się z błyskawiczną szybkością, a Sybaryta powstał ostatni.

Nie było ani zwycięzcy ani zwyciężonego; dwaj więc przeciwnicy rozpoczęli walkę z nową zapalczywością wśród głębokiego milczenia. Zdawało się, że trzydzieści tysięcy widzów przemieniło się w posagi; wszyscy siedzieli nieruchomie, z zapartym oddechem w piersi. Czasem tylko, gdy los dawał przewagę jednemu z zapaśników, rozlegał się szmer głuchy. Nakoniec po raz drugi walezący stracili równowagę i legli na placu; ale tym razem pozostał na wierzchu atleta. Słabą to jednak dałoby mu tylko przewagę, gdyby z siłą swą nie połączył był wszystkich tajników swej sztuki. Za ich to pomocą utrzymał Sybarytę w położeniu, z którego sam tak się rychło podźwignął. Jak waż, który dusi i miażdży swą ofiarę wprzód, nim ją pożre, wplotł swe nogi i ręce między członki przeciwnika i zdołał powstrzymać wszystkie ich poruszenia; poczem, cisnąc go czołem o czoło, zmusił do dotknięcia ziemi tyłem głowy, co, zdaniem sędziów, było pieczęcią zwycięstwa. Dały się słyszeć wielkie krzyki i huczne oklaski; znaczna ich część jednak przypadła Sybarycie, jakkolwiek zwyciężonemu. Przegrana jego bowiem tak blizką była zwycięstwa, że nikomu na myśl nie przyszło, aby go miała poniżyć. Jakoż oddalił się pod portyk zwolna, z pewnością i bez zapłonienia; stracił tylko wieniec, ale nie stracił honoru.

Zostali dwaj zwycięzcy i Lucyusz, który waleczyć miał z obydwoima. Wszystkie oczy skierowały się ku młodemu Rzymianinowi. Z wielkiem skupieniem przyglądał się on zapasom, wsparty o kolumnę i obwinęty swym płaszczem. Wtenczas to zauważono jego miękie i zniewieściałe oblicze, jego długie włosy jasne i brodę złotawą, która mu zaledwie pokrywała spód twarzy. Każdy uśmiechnął się patrząc na tego słabego zapaśnika, który tak nierozważnie mierzył się chciał z silnym Tebańczykiem i zręcznym atletą. Lucyusz odgadł to powszechne lekceważenie ze szmeru całą obiegającego publiczność, a nie zwracając żadnej na nie uwagi, postąpił kilka kroków i odrzucił płaszcz. Spostrzeżono wtenczas silną szyję, unoszącą tę apolińską głowę, potężne barki i skórę, której białosc zawstydziłaby najpiękniejszą czerkieską dziewicę, skórę upstrzoną jednak w ciemne plamy, podobne do tych, jakie okrywają płowe futro pantery. Tebańczyk spojrział nie dbale na nowego spóźzawodnika; ale atleta, widocznie zdziwiony, cofnął się o kilka kroków. W tej chwili ukazał się Sporus i wylał na plecy swojego pana flaszkę wonnej oliwy, którą rozprowadził po jego ciele za pomocą kawałka purpury.

Tebańczyk miał waleczyć pierwszy; postąpił więc ku Lucyuszowi, wyrażając swą niecierpliwość, że jego przygotowania trwały tak długo; ale Lucyusz wyciągnął rękę z miną rozkazującą, dając znak, iż jeszcze nie jest gotów, a prokonsul rzekł głośno:

— Zatrzymaj się.

Już jednak młody Rzymianin był namaszczonej oliwą i zostawało mu tylko wytarzać się w piasku,

jak to było zwyczajem; ale on natomiast przykleknął na jedno kolano, a Sporus wypróżnił mu na plecy worek piasku, uzbieranego na brzegach Chrysochoasu, wśród którego jaśniały tu i owdzie blaszki złota. Po dokonaniu tego ostatniego przygotowania, Lucysz podniósł się i rozwarł obie ręce na znak, że już gotów.

Tebańczyk postąpił śmiało, a Lucysz spokojnie czekał na niego; lecz zaledwie twarde ręce przeciwnika dotknęły jego ramion, oczy jego straszny zapłonęły ogniem i wydał krzyk podobny do ryku. Jednocześnie przypadł na jedno kolano a ujmując silnymi rękami pasterz między żebra i biodra, związał niejako swe dłonie na grzbiecie przeciwnika; przycisnąwszy potem do swych piersi brzuch jego, powstał nagle trzymając ów kolos w swych rękach. Zwrót ten był tak szybki i tak zręcznie wykonany, że Tebańczyk, nie mając czasu ani siły zdobyć się na obronę, uczuł się uniesionym nad ziemię, przenosząc głowę głowę współzapaśnika i bijąc w powietrzu rękami, które nie znajdowały nic do ujęcia.

Ujrzeni wówczas Grecy wznowioną walkę Herkulesa z Anteuszem: Tebańczyk wsparł obie ręce na ramionach Lucysza i cisnąc je całą siłą swych ramion, usiłował zerwać łańcuch straszliwy, który go dusił; ale bezskuteczne były jego usiłowania. Napróżno opasał także biodra przeciwnika dwoma nogami, jakby węzem podwójnym: tym razem Laokoon zwyciężył płaza; im bardziej wzmagały się usiłowania Tebańczyka, tem silniej Lucysz ścisnął więzy, któremi go skrepował i nieruchomy, z głową wspartą o piersi nieprzyjaciela, jakby przysłuchując się jego stłumionemu od-

dechowi, pozostał w tej postawie, aż wreszcie na Tebańczyku zaczęły występować oznaki konania. Zrazu pot śmiertelny spływał mu z czoła na oblicze, zmywając kurz je powlekający; potem twarz okryła się purpurową barwą, zachrapały piersi, nogi odpasały się od ciała przeciwnika, odpadły w tył ręce i głowa; nakoniec potok krwi wytrysnął gwałtownie z ust i nosa. Wówczas Lucysz rozwolnił ręce i zemdlony Tebańczyk u nóg jego upadł bezwładnie.

Żaden okrzyk radości, żaden poklask nie powitał tego zwycięstwa; tłum, zdumiony, pozostał milejącym i nieruchomym. Nie wszakże nie było do zarzucenia: wszystko się odbyło podług zapaśniczych prawideł; żaden zdradliwy cios nie został zadany, Lucysz szlachetnie zwyciężył przeciwnika. Chociaż jednak zajęcie widzów nie objawiało się przez okrzyki, niemniej atoli wszyscy byli do najwyższego stopnia rozciekawieni. Gdy więc niewolnicy wynieśli zemdlonego zapaśnika, wszystkie spojrzenia skierowały się ku atlecie, którego zręczność i siła, w poprzedniej rozwinięte potyczce, groźnego Lucyszowi zapowiadały przeciwnika. Ale dziwnie zawiedzionem zostało powszechne oczekiwanie, bo w chwili, gdy Lucysz do drugiej sposobił się walki, postąpił ku niemu atleta z postawą pełną uszanowania i zginając kolano, podniósł rękę na znak, że się uznaje zwyciężonym. Zdawało się, że Lucysz przyjmował ten hołd i postępek bez żadnego zadziwienia; zamiast bowiem podania ręki atlecie, podniesienia go z ziemi, rzucił wokoło siebie spojrzenie, jakby pytał ów tłum zdziwiony, czy znajdzie się wśród niego kto tak zuchwale, iżby mu śmiało zaprzeczyć zwycięstwa. Ale nikt

nie uczynił poruszenia, nikt słowa nie wyrzekł, więc wśród najgłębszego milczenia Lucyusz postąpił ku trybunie prokonsula, który podał mu wieniec. W tej chwili kilka dało się słyszeć oklasków, nietrudną jednak rzeczą było odgadnąć, że te oznaki uznania dawali majtkowie okrętu, na którym przyjechał Lucyusz.

A jednak ogarniające tłum uczucie nie miało nie nieprzyjaznego dla młodego Rzymianina: raczej jakby przesadna trwoga ogarnęła wszystkich. Ta siła nadludzka obok takiej młodości, przypominała cuda bohaterских wieków. Imiona Tezeusza, Piryousa, były we wszystkich ustach, a chociaż nikt nie udzielił swej myśli drugiemu, każdy gotów był uwierzyć w obecność półboga.

Ten hołd publiczny, to przecuciowe uznanie dziwnej wyższości, to jakby uniżenie się niewolnika przed panem, otoczyło młodego Rzymianina niezmiernym prawie urokiem. Gdy więc wychodził z cyrku, wspierając się z jednej strony na ramieniu Amiklesa, a z drugiej ręką opasując szyję Sporusa, cała ta ciżba szła za nim aż do domu, skupiona, ciekawa, ale razem tak bojaźliwa i milcząca, że cały orszak zdawał się raczej być pogrzebowym, niż tryumfalnym pochodem.

U bram miasta, młode dziewczęta i kobiety, które nie mogły uczestniczyć w widowisku, oczekiwały na zwycięzcę, trzymając w pogotowiu gałązki laurowe. Lucyusz szukał oczyma Aktei między jej towarzyszkami; ale już to ze wstydu, już z obawy, nie ukazała się tutaj. Podwoił więc kroku, sądząc, że młoda Koryntyanka oczekiwała na progu drzwi, które otworzyła dla niego dnia poprzedzającego. Przebiegł plac, który

w jej towarzystwie przebywał, zagłębił się w ulicę, w której mu ona przewodniczyła; ale żaden wieniec, żadne kwiaty nie zdobiły drzwi gościnnych. Lucyusz przeskoczył próg i wbiegł do *vestibulum*, zostawując starca daleko od siebie; próżne było *vestibulum*, lecz przeze drzwi prowadzące na taras, postrzegł młodą dziewicę na kolanach przed posągiem Dyany, bladą i nieruchomą, jak marmur, który obejmowała. Zbliżył się do niej na palcach i ozdobił jej głowę wieniec zdobytym. Aktea z okrzykiem radości zwróciła się ku Lucyuszowi, którego oczy, rozjaśnione i dumne, oznajmiały wyraźniej jeszcze niż wieniec przyniesiony, że młody Rzymianin wydarł Grecyi pierwszą z palm, po które przybył.

#### IV

Od samego rana nazajutrz, cały Korynt zdawał się obleczonym w szaty świąteczne. Gonitwy wozowe, chociaż nie należały do najstarszych, były jednak najuroczystsze; odbywały się one w obecności wizerunków boskich; posągi święte, zebrane na noc w znajdującej się u bramy Lechejskiej świątyni Jowisza, to jest w stronie wschodniej miasta, przebywały miały gród w całej długości, udając się do cyrku, wznoszącego się na przeciwnej pochyłości przy porcie Orissa.

O dziesiątej godzinie porannej, to jest o czwartej dnia podług podziału rzymskiego, orszak wyruszył w drogę. Prokonsul Lentulus jechał pierwszy na wozie w stroju uroczystym; za nim gromada młodych

ludzi od lat czterestu do piętnastu, ze stanu rycerskiego, na koniach przepysznych, przykrytych czaprami ze szkarłatu i złota; potem aktorowie igrzysk, a na ich czele, jako zwycięzca dnia poprzedniego, Lucyusz, w tunice zielonej, na wozie z kości słoniowej i złota, kierujący lejcami purpurowemi wspaniałą czwórkę białych rumaków. Głowę jego, na której daremnie upatrywano zdobytego wienca w igrzyskach zapaśniczych, opasywało promieniste koło, na wzór tego, jakim malarze zdobią czoło słońca; dla dopełnienia zaś podobieństwa z tym bogiem, brodę przysypaną miał proszkiem złotym. Za nim, na wozie śpiżowym, zaprzężonym czterema końmi czarnymi, jechał młody Grek z Tesalii, dumny i piękny, jak Achilles. Z dwóch ostatnich jeden był Atenczyk, mieniący się potomkiem Alcybiadesa, drugi, ogorzwały od słońca Syryjczyk. Pierwszy, odziany niebieską tuniką, rozpuszczone miał na wiatr długie pukle czarnych włosów, namaszczonej wonnościami; drugi nosił pewien rodzaj białej szaty, perskim pasem przewiązanej w połowie, i jak syn Izmaela, głowę opasaną miał białym, jak śniegi szczytów góry Synai, zawojem.

Szły potem, poprzedzając bogów posągi, gromady arfistów i flecistów, przestrojone za Satyrów i Sylenów, a z nimi połączeni byli niżsi kapłani dwunastu wielkich bogów, niosący naczynia i skrzynie pełne wonności, wraz ze złotem i srebrnymi kadzielnicami, z których unosiły się najdroższe aromaty; nakoniec w zamkniętych lektykach postępowały, już leżące, już stojące, boskie wizerunki, ciągnięte przez wspaniałe rumaki pod strażą jeźdźców ze stanu rycerskiego i pa-

trycyuszów. Orszak ten, mający przebyć całą szerokość miasta, szedł między dwoma rzędami domów strojnych w obrazy, posągi, lub powleczonej kobiercami. Lucyusz, zbliżywszy się do drzwi Amiklesa, obrócił się, chcąc ujrzeć Akteę, i pod wzniesionym rogiem osłaniającego front domu purpurowego kobierca, postrzegł zapłonioną i nieśmiałą dziewicę z wieniec na głowie, z rąk jego otrzymanym dnia wczorajszego. Aktea szybko spuściła kobierzec, ale usłyszała przez zasłone głos młodego Rzymianina, który mówił:

— Wyjdz na me spotkanie, gdy będę powracał, piękna Nimfo moja, a twój wieniec oliwny zamienię na złoty.

W połowie dnia, orszak stanął u wniścia do cyrku. Był to ogromny budynek, o dwóch tysiącach kroków długości i na ośmset szerokości. Mur wysoki na sześć stóp przedzielał go w całej długości, wyjąwszy obu końców, u których zostawiony były przejścia na cztery wozy. Cały ten gmach zdobyły ołtarze, świątynie i podstawy, na których na tę tylko uroczystość miały być ustawione posągi bogów. Jeden róg cyrku zajmowały tak zwane *carceres* albo stajnie, drugi ławy amfiteatru, a z każdej strony muru stały w trójkąt trzy parkany, które trzeba było siedm kroć okrążyć, aby odbyć bieg przepisany.

Woźnice, jak to już widzieliśmy, przywdziali kolory rozmaitych stronictw, które wówczas dzieliły Rzym; a że wielkie zakłady zostały zawiązane zawczasu, zakładnicy wystąpili w barwach tych *agilatorów*, którzy dobrą postawą, gatunkiem koni albo zwycięstwami, już odniesionymi, największą wzniecali ufność. Wszyst-

kie więc prawie siedzenia cyrku zajęte były przez widzów, którzy ze zwykłym do tego rodzaju igrzysk zapalem, łączyli nadto interes własny z udziału w poczynionych zakładach. Nawet kobiety dzieliły się na partye i odróżniały się kolorami pasków, odpowiedniami barwom czterech współzawodników. Gdy więc usłyszano zbliżanie się orszaku, wzburzenie podobne do deszczu, wywołanego przez prąd elektryczny, przebiegło całe to morze ludzkie, którego głowy zdawały się falami ożywionemi, a jak tylko drzwi zostały otwarte, niewielki przedział, dotąd niezajęty, przepelnił się wnet nowymi widzami. Lecz zaledwie czwarta część ciekawych miejsca znalazła; tłumy zaś, odegnane przez gwardyę prokonsularną, rzuciły się na wszystkie wyniosłe miejsca, na wierzchołki drzew, szczyty wałów i dachy domów, najwięcej do gmachu zbliżonych.

Gdy już wszyscy usiedli, drzwi główne otwarto i ukazanie się Lentula gwar huczny oczekiwania zamieniło na głębokie milczenie ciekawości. Już to z zaufania w zręczność Lucjusza, który dnia poprzedniego zwyciężył, już przez pochlebstwo dla boskiego cezara, Klaudyusza Nerona, który dnia poprzedniego w Rzymie stronictwo zielone i własnem zaszczycał je uczestnictwem, prokonsul, zamiast szaty purpurowej, miał na sobie tunikę tego koloru. Okrążył on zwolna cyrk, wiodąc za sobą wizerunki bogów, którym przygrywała muzyka do czasu, aż zostały złożone w *pulvinariach* lub ustawione na gotowych podstawach. Potem Lentulus dał znak, rzucając na środek cyrku pęk wełny białej. Wnet herold, siedzący oklep na koniu bez wędzida i przebrany za Merkurego, wbiegł w szranki, w pędzie

konia porwał wełnę jednym ze skrzydeł kaduceusa i wstrząsając nią jakby sztandarem, obiegił galopem szranki wewnętrzne; gdy się zaś zbliżył do karcersów, rzucił wełnę przez mur, za którym oczekiwały zaprzęgi. Na ten znak, otworzyły się drzwi karcersów i ukazali się czterej współzawodnicy.

Imiona ich zostały wrzucone do koszyka, los bowiem miał oznaczyć porządek ustawienia współzawodników, aby umieszczeni najdalej od środka toru, mogli tylko uskarżać się na przypadek, że im większe od od innych koła do przebiegania przypadły w udziale. Kolej wyciąganych imion oznaczyć miała stanowisko każdego zapaśnika.

Prokonsul zmieszał imiona, spisane na zwitkach papyrusu i wyciągał jedno po drugim. Pierwszym był Syryjczyk w białym zawoju, który też zaraz stanął przy murze tak, aby oś jego wozu była równoległą z linią, kredą przeciągniętą po piasku. Drugim był Ateńczyk w niebieskiej tunice; ten stanął przy pierwszym współzawodniku. Los uczynił trzecim Tesalijczyka w złotem ubraniu. Ostatnim był Lucyusz, któremu los najniekorzystniejsze wskazał położenie, jakby urażony za pozyskaną w dniu wczorajszym palmę zwycięską. Dwaj ostatni ustawili się jednocześnie przy swoich przeciwnikach, poczem młodzi niewolnicy weszli między wozy, wpletli w grzywy koni wstęgi kolorów odpowiednich barwom odzieży ich panów, i podsycając zapal zwierząt szlachetnych, powiewali przed ich oczyma chorągiewkami barwy jaskrawej; inni zaś wyciągnawszy łańcuch, uwiązany u dwóch ogniw, ustawili wozy w linii doskonałej równości.



Nastąpiła chwila zgiekliwego oczekiwania; podwoiły się dawne, robiono zakłady nowe, gwar gorączkowych rozmów po wszystkich rozlegał się stronach. Nagle zabrzmiały trąby, wszystko w jednej chwili umilkło, widzowie stojący usiedli i to morze, niedawno tak rozkołysane i burzliwe, spłaszczyc się powierzchnię, przybierając postać łąki pochyłej, ubarwionej w tysiączne kolory. Na ostatni dźwięk trąb, spadł łańcuch i cztery wozy ruszyły z całą szybkością swych koni.

Dwa koła zostały przebieżone, a podczas tych obiegów przeciwnicy z niewielką różnicą zachowali swe stanowiska. Już jednak przymioty koni zaczynały się odznaczać w oczach widzów, znających się na rzeczy. Syryjczyk z trudnością hamował swe rumaki o silnych głowach i członkach wysmukłych, nawykłe do błędnych gonitw w pustyni, których dzikość wytrzymałością i sztuką potrafił ukrócić i nagiąć pod jarzmo; widocznym było, że gdyby tylko całą zostawił im swobodę, uniosłyby go z chyżością wichru równikowego, który nieraz prześcigały w piasezystych dolinach, rozciągających się od gór Judy do brzegów jeziora Asfaltidy. Ateńczyk swoje miał z Tracyi; lecz mięki i dumny jak bohater, którego się mienił potomkiem, ich wychowanie zostawił niewolnikom i czuć się dawało, że zaprzęg jego wiedziony ręką i głosem nieznanym, źle go wesprze w stanowej potrzebie. Tesalijczyk, przeciwnie, zdawał się duszą swych biegunów z Eulidy, które wykarmił własną ręką i ćwiczył stokroć w tych miejscach, gdzie Achilles ujeżdżał swoje, między Peusem i Enipem. Co do Lucyusza, ten bez wątpie-

nia wynalazł ową rasę koni Selennutów, o których mówi Wirgiliusz, że ich klacze zostały zapłodnione przez wiatr, gdyż, chociaż miał obieg najobszerniejszy, bez żadnych wysiłków, bez naglenia lub hamowania, zostawując im tylko wolność użycia galopu, który zdawał się ich chodem zwyczajnym, nie tylko utrzymał swe stanowisko, ale nadto wiele zyskał w położeniu.

W trzecim obiegu, mniemana lub rzeczywista przewaga zaczęła się wyraźniej odznaczać: Ateńczyk zyskał na Tesalijczyku, który był najdalej ze wszystkich współzawodników, długość dwóch włóczni; Syryjczyk, hamując z całą mocą swe arabskie bieguny, dozwolił się prześcignąć pewny, że odzyska opuszczoną przewagę; nakoniec, Lucyusz, spokojny i cichy jak bóg, którego się zdawał posągiem, przypatrywał się jakby obcym dla siebie wypadkom, tak dalece twarz jego była spokojna i uśmiechnięta, a postawa i ruchy zastosowane najściślej do prawideł wytworności mimicznej.

W czwartym obiegu, przypadek odwrócił powszechną uwagę od trzech zapaśników i skierował ją wyłącznie na Lucyusza. Biec jego, wyrobiony ze skóry nosorożca nabijanej złotem, wysłiznął mu się z ręki i upadł; wnet Rzymianin spokojnie zatrzymał swą czwórkę, skoczył z wozu, podjął biec, który aż dotąd zdawał się niepotrzebnym narzędziem, a wracając na wóz, ujrzał się najmniej o kroków trzydzieści wyprzedzonym przez przeciwników. Jakkolwiek krótką była ta przerwa, jednak śmiertelnym zdawała się być ciosem dla nadziei stronictwa zielonego, ale obawa znikła rychło, gdyż Lucyusz nachyliwszy się ku koniom,

bez użycia bicia, gwiznął tylko szczególnym sposobem, a rumaki wnet popędziły, jakby miały skrzydła Pegaza i przed ukończeniem czwartego obiegu, Lucyusz, wśród oklasków i krzyków, odzyskał dawne stanowisko.

W piątym obiegu, Ateńczyk nie władał już swymi końmi, które wóz unosiły z szybkością; daleko od siebie zostawił wszystkich współzawodników; ale ta mniemana przewaga nie omyliła nikogo, ani nawet jego samego. Jakoż obracał się co chwila z niespokojnością i usiłując w każdym względzie z położenia swojego korzystać, zamiast hamowania koni już utrudzonych, podzegał je jeszcze biczem o trzech paskach, zachęcając po imieniu każdego: spodziewał się bowiem, że zanim się całkowicie ich siły wyczerpią, tak wielką ubiedz potrafi przestrzeń, że już go nie zdołają opóźnieni spółzawodnicy prześcignąć. Tak zresztą pojmował brak swojej władzy nad zaprzęgiem, że chociażby mógł zbliżyć się do krawędzi i przez to najkorzystniejsze zająć stanowisko, nie usiłował tego uczynić z obawy, aby nie roztrzaskać wozu o parkan i pozostał w miejscu, które mu los na początku naznaczył.

Dwa tylko zostały jeszcze obiegi i widać było z poruszeń widzów i zapaśników, że się już do rozwiązania zbliżano. Zakładnicy niebiescy, zwolnicy Ateńczyka, okazywali żywe niezadowolenie z jego chwilowego zwycięstwa i krzyczeli nań, aby hamował swe konie; lecz te, biorąc słyszana wrzawę za podżeganie, wzmagaly jeszcze szybkość i złane potem, ujaśniały zupełne już prawie wyczerpanie sił.

W tej chwili Syryjczyk rozpuścił lejce swoich biegunów, które też szybko wysunęły się naprzód. Tesalijczyka zadziwiła ich chyżość, lecz przemówiwszy pieszczotliwie do wiernych swych towarzyszy, puścił się sam także jakby uniesiony wichrem. Co do Lucyusza, ten poprzestał na gwiznięciu, którem już pierwszej zachęcał swe rumaki, a chociaż te jeszcze nie zdawały się wszystkich sił swoich wyteńczyć, łatwo utrzymał swe stanowisko.

Tymczasem Ateńczyk spostrzegł jak burza nadbiegających z dwóch stron swoich współzawodników i natychmiast zrozumiał, że będzie zgubionym, jeżeli przestrzeń jednego wozu zostawi między krawędzią a sobą: przytarł więc w czas jeszcze do muru, aby przeszkodzić zajęciu tego stanowiska Syryjczykowi. Wówczas ten zwrócił swe konie na prawo, usiłując przejść między Ateńczykiem i Tesalijczykiem; ale przestrzeń była zbyt wązka. Rozpoznawszy szybkim rzutem oka, że wóz Tesalijczyka był lekki i mniej silny niż jego, skierował się ku niemu na ukos, a przypuszczając koło do koła, zgruchotał nim oś i wywrócił wóz z woźnicą na piasek.

Manewr ten, chociaż szybko powzięty i wykonany, jednak na chwilę opóźnił bieg Syryjczyka; odzyskał on wszakże szybko stratę i Ateńczyk spostrzegł, że razem z nim rozpoczynają szósty obieg współzawodnicy, których miał tak długo za sobą. Przed końcem tego obiegu, został przez nich dopędzonym i prześcigniętym. Ostatnia walka tedy toczyła się tylko między woźnicą białym i zielonym, to jest między Arabem i Rzymianinem.

Wówczas to prawdziwie wspaniały rozwinął się widok. Bieg tych ośmiu koni był tak szybki, że zdawało się, iż razem były zaprężone do jednego wozu: powlekał je wirujący obłok utworzony z pyłu, wzbijanego przez ich kopyta z piasezystego toru, a wśród tej chmury rozlegał się turkot kół wozów, podobny do groźnych pomruków huraganu. Cały cyrk stał na nogach, zakładnicy miotali na arenę zasłony i płaszcze zielone i białe; ci nawet, co byli za Tesalijczykiem i synem Aten, zapominając poniesionej przegranej, pobudzali dwóch zapaśników przez oklaski i krzyki. Zdawało się nakonieć, że Syryjczyk odnosi przewagę, gdyż konie jego prześcignęły głową rumaki przeciwnika. Ale Lucyusz, jakby tylko na ten znak oczekiwał, jednym pociągiem bicia nakreślił krwawą linię na grzbietach swej czwórki. Zarżały szlachetne zwierzęta z bólu i zadziwienia; potem, ostatniem wysileniem, puszczając się jak orły, jak strzały, jak gromy, prześcignęły zwyciężonego Syryjczyka i zostawując go o pięćdziesiąt kroków za sobą, stanęły u celu, przebywszy wyścig wymagany, to jest obiegłszy siedm razy tor.

Rozległy się szalone okrzyki. Ten młody Rzymianin, którego nikt nie znał, zwycięzca w zapasach wczorajszych, zwycięzca w gonitwach dzisiejszych, to Tezeusz, to Kastor, to Apollo może... W każdym jednak razie jest niewątpliwie ulubieńcem bogów. Tymczasem Lucyusz, jakby nawykły do tryumfów podobnych, z lekkością wskakuje z wozu na krawędź, wchodzi na kilka stopni, wiodących do piedestału i na nim ukazuje się widzom. Herold ogłasza jego imię

i zwycięstwo, a prokonsul Lentulus schodzi z trybuny, podaje mu palmę idumeneńską, wieńczy skronie jego koroną z liści złotych i srebrnych, przeplatanych purpurowymi wstęgami. Co do nagrody w złotej monecie i w naczyniu miedzianem, Lucyusz oddał ją prokonsulowi, aby w jego imieniu rozdana była ubogim.

Wnet potem skinął na Sporusa, który przybiegł trzymając w rękę gołębicę, wziętą z klatki Aktei.

Lucyusz przywiązał u szyi ptaka Wenery wstążkę purpurową, do której przytwierdzone były dwa liście złote korony i puścił tego posłanika zwycięstwa, który szybkim lotem skierował się ku domowi Amiklesa.

## V

Dwa zwycięstwa Lucyusza i towarzyszące im dziwne okoliczności wywarły głębokie wrażenie na umysłach widzów. Grecya była niegdyś krainą ulubioną przez bogów. Apollo, wygnany z nieba, został pasterzem i pasał trzody Admeta, króla Tesalii. Wenus, urodzona z piany morza i wieziona przez Trytony ku najbliższemu brzegowi, wylądowała w bliskości Helos, a mając wybór miejsc dla swej czei, przeniosła Guidę, Pafos Idalię i Cyterę, nad wszystkie krainy świata. Nakonieć Arkadyjczykowie, wydzierając Kretejczykom zaszczyt uważania za współziomka króla bogów, na miejsce urodzenia przeznaczili mu górę Liktos, a choćby i fałszywem było to ostatnie twierdzenie, rzecz przynajmniej pewna, że gdy mu wybierać przyszło dziedzinę, postawił tron swój na szczycie Olimpu.

Owóż, te pamiątki wieków bajecznych odświeżył Lucyusz w poetycznej wyobraźni ludu, któremu Rzymianie wydarli przyszłość, ale nie mogli ogołocić go z przeszłości: wszyscy więc współzawodnicy do nagrody śpiewu cofnęli się, pomni na złą dolę tych, którzy z nim śmieli walczyć o palmę zapasów i gonitw. Przypomniano sobie los Marsyasza, który wyzwiał do walki Apolina i Lucyusz pozostał sam z pięciu już wpisanych na listę współzawodników: mimo to jednak postanowił prokonsul, że igrzyska mają się odbyć w oznaczonym dniu i godzinie.

Przedmiot obrany przez Lucyusza żywo obchodził Koryntyjan: był to poemat o Medeji, przypisywany samemu cesarowi Neronowi. Wiadomo, że ta czarodziejka, przyprowadzona do Koryntu przez Jazona, który ją uwiódł, i opuszczona w tem mieście, złożyła dwóch swoich synów na stopniach ołtarzy, powierzając ich straży bogów, sama zaś otruła swoją rywalkę tuniką, podobną do szaty Nessosa. Ale Koryntyjanie, przerażeni zbrodnią matki, wydarli dzieci z świątyni i ukamienowali. Nie poszło bezkarnie to świętokradztwo, bo bogowie pomścili swój znieważony majestat, zsyłając chorobę zaraźliwą na wszystkie dzieci Koryntyjan. Gdy już jednak więcej piętnastu wieków upłynęło od tej epoki, potomkowie morderców przeczyli zbrodni swoich ojców. Ale uroczystość, ustanowiona corocznie w dniu morderstwa dwóch ofiar, zwyczaj ubierania dzieci w czarne szaty i golenia im głów aż do lat pięciu, na znak pokuty, były oczywistym dowodem, że straszliwa prawda wygórowała nad wszelkie jej za-

przeczenia; rzecz więc łatwa do pojęcia, jak przedmiot podobny podzegać musiał ciekawość zgromadzenia.

Gdy wszyscy, pragnący usłyszeć poemat, nie mogli się pomieścić w teatrze, który będąc nie-równie mniejszym od stadium i hippodromu, wystarczał zaledwie na dwadzieścia tysięcy osób, rozdano najszlachetniejszym Koryntyjanom i najznakomitszym cudzoziemcom małe tabliczki z kości słoniowej ze znakami, odpowiadającymi liczbom, wyrytym na siedzeniach. Służba, ustawiona we wszystkich punktach, miała obowiązek czuwać, aby nikt nie przywłaszczył sobie miejsca niewłaściwego, więc wszystko odbyło się w jak największym porządku.

Dla złagodzenia skwaru słońca majowego, teatr był ostonięty ogromnem *velarium*; była to z tkaniny jedwabnej niebieska zasłona, posypana gwiazdami złotymi, a w jej środku promieniste koło opasywało wizerunek Nerona w tryumfalnych szatach, na wozie, ciągnionym przez cztery rumaki. Chociaż zasłona ta cień rzucała na wnętrze teatru, tak silny był upał, że młodzież trzymała w rękach duże wachlarze z piór pawich, chłodząc niemi damy, raczej leżące niż siedzące na purpurowych poduszkach i perskich kobiercach, rozesłanych przez niewolników na miejscach im przeznaczonych. Pomiędzy niemi była Aktea, która nie śmiąc nosić jawnie wienca przez zwycięzcę sobie ofiarowanego, miała utrefione włosy, a między niemi nieznanie wplecione były dwa liście złote, przyniesione jej przez gołębicę. Zamiast orszaku dwornych młodzieńców, uwiłajających się około każdej z kobiet obecnych, całem jej towarzystwem był ojciec, którego twarz poważna, lecz

zarazem uśmiechnięta pogodnie, dowodziła, jak sprzyjał tryumfom swojego gościa i jakiej doznawał z nich dumy. On to, ufny w pomyślność Lucjusza, nakłonił córkę do udania się na widowisko, pewny, że i tym razem będą świadkami zwycięstwa.

Godzina rozpoczęcia widowiska zbliżała się i każdy najżywszej doznawał ciekawości, gdy nagle zabrzmiał huk, podobny do uderzenia piorunu i deszcz spadający na widzów, orzeźwił atmosferę wonną wilgocią. Wszyscy klasnęli w ręce, bo ten grzmot, sprawiony przez dwóch ludzi, którzy za sceną toczyli kamienie w miedzianem naczyniu, był wynalazkiem Klaudyusza Puletwa i zwiastował rozpoczęcie widowiska; co do deszczu, była to rosa z wonnej infuzji szafranu Cylicy, sztucznie wytryskująca ze zdobiących teatr posągów. Po chwili spadła zasłona i ukazał się Lucjusz z lirą w ręku; po lewej jego stronie stał histryon Parys, mający wykonywać gesta, odpowiednie wyrazom śpiewu, a po prawej chór, przed którym stał choregiusz, flecista i mimikus.

Z pierwszych tonów młodego Rzymianina poznano, że był biegłym i wprawnym śpiewakiem, gdyż nie rozpoczynając odrazu swego przedmiotu, poprzedził go pewnym rodzajem gammy, obejmującej dwie oktawy i kwintę, to jest największą rozciągłość głosu ludzkiego, jaką słyszano od czasów Tymoteusza; po wykonaniu tego preludium, z łatwością i wdziękiem przeszedł do właściwej rzeczy.

Były to, jakeśmy już powiedzieli, przygody Medei, kobiety wdzięków zachwycających, czarnoksiężnicy wtajemniczanej we wszelkie arkana magii. Jako mistrz

wytrawny w tworzeniu dzieł scenicznych, cesarz Klaudyusz Neron rozpoczął również od chwili, gdy Jazon, na swym pięknym okręcie *Argo*, przybija do brzegów Kolehidy i spostrzega Medeę, córkę króla Ajeta, zbierającą kwiaty na brzegu. Na ten wstęp wzdrygnęła się Aktea: tak właśnie ona ujrzała Lucjusza; zbierała kwiaty, gdy złocista biremma przybiła do brzegów Koryntu, a w zapytaniach Jazona i odpowiedziach Medei, poznała wyrazy, które przed kilku dniami zamieniła sama z młodym Rzymianinem.

W tej chwili, jakby dla uczuć tak słodkich potrzeba było wyłącznej harmonii, Sporus, korzystając z przerwy w chórze, zbliżył się z lirą w ręku, nastrojoną na tryb joński, to jest o jedenastu strunach. Był to instrument podobny do tego, na jakim Tymoteusz, wobec Lacedemończyków, wydawał dźwięki, poczytane przez eforów za zniewieściele tak niebezpiecznie, że orzekli, iż śpiewak obraził majestat starożytnej muzyki i miał zamiar zepsucia młodych Spartańczyków; prawda, że Lacedemończycy wydali ten wyrok zaraz po bitwie Aegos Potamos, która ich uczyniła panami Aten.

Cztery wieki upłynęły od tego czasu; Sparta upadła, Ateny zostały miastem Rzymu, Grecya zniżyła się do rzędu prowincyi. Spełniła się przepowiednia Eurypidesa i zamiast zrywania z liry czterech strun szkodliwych dla moralności przez wykonawcę wyroków publicznych, widzowie przyklaskiwali Lucjuszowi z zapalem blizkim szaleństwa. Co do Aktei, ta słuchała bez technienia i głosu, sądziła bowiem, że jej własne przygody opiewał kochanek.

W samej rzeczy, jak Jazon, Lucjusz dwie już

zdobył nagrody, a początek powodzenia wskazywał, że równie jak Jazon, zdobędzie i trzecią; lecz dla malowania zwycięstwa nie tej potrzeba liry, na której opiewał miłość. Odtąd więc, jak Jazon, spotkawszy Medeę w świątyni Hekaty, otrzymał od swej pięknej kochanki pomoc jej czarodziejskiej sztuki i trzy talizmany, mające go wesprzeć w pokonaniu straszliwych przeszkód, niedopuszczających zdobycia runa, Lucyusz wziął lirę lidyjską, o dźwiękach już poważnych, już przenikliwych i na niej opiewał jego zwycięstwo. Wtenczas to całym ciałem wzdrygnęła się Aktea, nie może bowiem w swej myśli oddzielić Jazona od Lucyusza: idzie za bohaterem, namaszczone sokami czarodziejskimi, które go bronią od ran, do pierwszej zagrody, gdzie występują przeciw niemu dwa byki kolosalnych rozmiarów, mające nogi i rogi miedziane, a ogniem zionące paszcze. Lecz ledwie dotknął ich czarodziejskim biczem, one spokojnie pozwalają się zaprzędz do dyamentowego pługa i bohaterski rolnik orze cztery morgi poświęcone Marsowi. Stamtąd idzie do drugiej zagrody, gdzie mu zawsze towarzyszy Aktea. Zaledwie wszedł do niej, gdy wąż olbrzymi wznosi swą głowę nad las drzew oliwnych i różowego lauru, który mu służy za schronienie i sycząc, zbliża się ku bohaterowi. Straszliwa rozpoczyna się walka. Ale Jazon nie może być ranionym — wąż kruszy swe zęby w bezskutecznych ukąszeniach, wysiła się na próżno ściskaniem go swemi kręgami, gdy przeciwnie, każdy cios miecza Jazona głębokie zadaje mu rany. Rychło potwór się cofa, a Jazon naciera; płaz wsuwa się w ciasną i ciemną jaskinię — Jazon czolgając się

również, ściga go w tej kryjówce i powraca wkrótce, trzymając w ręku łeb przeciwnika. Udaje się wówczas na pole, które przed chwilą zorał i w głębokich bruzdach ziemi, narogiem pługa wrytych, zasiewa zęby poczwary. Wnet z czarodziejskich zagonów wyrasta wojownicze plemię mścicieli, którzy się na niego rzucają. Ale Jazon ciska między nich kamyk, który mu dała Medea i ludzie ci zwracają oręż na siebie, waleczą i mordują się, on tymczasem wchodzi do trzeciej zagrody, wśród której wznosi się drzewo, mające pień srebrny, liście szmaragdowe, owoce rubinowe i gałęzie, na których wisi złote runo barana Fryksusa. Tu przebywa ostatni lecz najstraszliwszy i najniebezpieczniejszy z wrogów których dotąd pokonał Jazon: jest to smok olbrzymi, o skrzydłach niezmiernych, okryty łuską dyamentową, która go czyni tak hartownym na rany, jak jest ten, co wchodzi w jego dziedzinę. Jazon przeciw temu ostatniemu nieprzyjacielowi odmiennie używa broni: kładzie na ziemię czarę złotą, pełną mleka, z niej potwór wypija napój odurzający, który go w sen głęboki pogrąża i zuchwały syn Ezona porywa złote runo.

Teraz Lucyusz bierze znowu lirę jońską, bo na zwycięzcę oczekuje Medea. Jazon musi użyć całej potęgi miłości, aby skłonić kochankę do opuszczenia Ojczyzny, ojca i udania się z nim na wodną pielgrzymkę. Długa i bolesna toczy się walka, ale miłość zwycięża. Drżąca i wpół naga Medea opuszcza uśpionego ojca; zbliżywszy się jednak do drzwi pałacu, raz jeszcze chce ujrzeć tego, któremu dni życia winna. Powraca, drżącym krokiem, z przytłumionym oddechem wchodzi

do komnaty starca, przybliży się do łoża, zgina się nad jego czołem, wyciska pocałunek wiecznego pożegnania na jego białych włosach, wydaje okrzyk łkający, który starzec bierze za głos sennej mary i wraca w objęcia kochanka, oczekującego na nią w porcie. Ten porywa ją zemdloną na ręce i unosi na ów cudowny okręt, zbudowany przez Minerwę na jolchoskich warstatach, przed którego sterem zginają się posłuszne bałwany; gdy Medea przychodzi do siebie, ojezyste wybrzeża już znikają w oddali — opuszcza Azyę dla Europy, ojca dla małżonka, przeszłość dla przyszłości.

Te ustępy poematu odśpiewane zostały z takim ogniem i namiętnością, że wszystkie kobiety nie mogły pohamować najgłębszego wzruszenia; Aktea nade wszystko, jak Medea przejęta pałającą miłością, z przysłoniętą żrenicą, z piersią bez tehu i głosu, w opowieści kochanka widzi obraz własnego życia, którego przeszłość i przyszłość czarodziejska sztuka przedstawiła jej niby w zwierciadle. W chwili więc, gdy Medea zbliża usta do białych włosów Ajeta i z serca przejętego rozpaczą wydaje ostatnie łkanie konającej miłości córki, Aktea zbliża się do Amiklesa i w najsilniejszym wzruszeniu opiera głowę na ramieniu starca. Co do Lucyusza, tryumf jego był najzupełniejszym. W pierwszej przerwie poematu obsypano go gradem oklasków; teraz są to pełne uniesienia okrzyki, konwulsyjne drgania szaleństwa i on sam tylko mógł nakazać milczenie wrzawie obudzonego zapału, rozpoczynając trzecią część swego dramatu.

Znowu odmienia lirę, gdyż teraz będzie opiewał nie dziewiczą i rozkoszną miłość, nie tryumf kochan-

ka i wojownika, ale niewdzięczność mężczyzny i zadość niepohamowaną kobiety; ma przedstawić miłość namiętną, obłąkana, szalona; miłość mściwą, morderczą, a tylko tryb dorycki może odtworzyć tyle ciepła, tyle boleści.

Medea płynie na czarodziejskim okręcie, przybija do Tracyi, zatrzymuje się w Jolchos dla uiszczenia się z długu synowskiego ojcu Jazona, którego odmładza; potem zawija do Koryntu, gdzie ją opuszcza kochanek dla zaślubienia Kreuzy, córki króla Epiru. Wówczas to zdradzoną kochankę opanowuje zazdrość. Napawa szatę pożerającą trucizną i posyła rywalce, która ją przyobleka z ufnością i wnet kona w najstraszniejszych męczarniach w oczach przewrotnego Jazona; aby zaś matka nie zachowała wspomnień kochanki, mściwa Medea zabija dwóch swoich synów i ulatuje na wozie, ciągnionym przez smoki skrzydlate.

W tem miejscu poematu, pochlebiającem dumie Koryntyjan, przez obarczenie samej matki, za przykładem Eurypidesa, zarzutem morderstwa dzieci, oklaski ustąpiły miejsca krzykom niczem niepowściągniętych uniesień, wśród których przebiegał trzask kastanietów, służących do wyrażenia najwyższego stopnia zapału. A po skończeniu popisu, śpiewak nie tylko otrzymał wieniec oliwny, przygotowany przez prokonsula dla zwycięzcy, ale nadto grad kwiatów i girland, które kobiety z głów swoich [zrywały i miotały na scenę.

Mniemano przez chwilę, że Lucyusz padnie pod ciężarem wieńców, jak Terpeja pod sabińskimi puklerzami. Ale on nawet uwagi nie zwracał na ten

niezwykły tryumf, natomiast szukał wszędzie oczyma tej, której znak jeden pochwalny więcej miał dlań znaczenia, niż wrzawliwe zachwyty całego tłumu. Nakoniec postrzegł ją upojoną szczęściem w objęciach starca. Rzucił na nią tak czude spojrzenie, przybrał tak błagającą postawę, że Aktea uniosła rękę do wieńca, odwiązała go od czoła, lecz nie mając sił do rzucenia go kochankowi, upuściła przy swych nogach i łkając, znów padła na piersi ojca.

Nazajutrz, o świcie, złocista biremma unosiła się na falach Korynckiej odnogi, lekka i czarowna jak statek *Argo*; unosiła ona drugą Medeę, niewierną krajowi i ojcu: na przodzie statku, blada, drżąca Aktea, stojąc przy Lucyuszu, przypatrywała się znikającemu w oddali pasmu gór Cyteron, o które opiera się Korynt. Z nieruchomą żrenicą, z wpółotwartymi ustami stała, dopóki tylko widzieć mogła miasto, wieńczące pagórek i cytadelę, panującą nad niem. Gdy zaś miasto rozsypało się w modrym obłoku, gdy cytadela również się rozwiła w majaczące zarysy, które następnie zanurzyły się w morzu, z piersi jej wydarło się westchnienie, wydarł się jęk żalony i dziewczę padło w objęcia Lucyusza.

## VI

Wróciwszy do przytomności, Aktea znalazła się w głównej izbie okrętu. Lucyusz siedział przy łożu, na które ją podczas omdlenia przeniesiono, podtrzymując jej głowę, a w kacie, na purpurowym, złotem prze-

tykanym kobiercu, spała w krąg zwinięta tygryscia. Była już noc; przez otwór sufitu ukazywał się wspinały błękit nieba Jonii, osypany gwiazdami. Tak lekko unosiła biremma, że zdawała się ogromną kolebką, którą usłużne morze wahało, jakby łożem dziecięcia; cała zresztą natura w uśpieniu tak była powabną i uroczą, że świeże wypadki poczytała Aktea za senne marzenie i mniemała, że jeszcze spoczywa pod dziewiczą zasłoną młodych lat swoich. Ale Lucyusz, bacznym na jej każde skinienie, spostrzegłszy, że się obudziła, klasnął w dłonie i wnet ukazała się młoda niewolnica, trzymając w ręku laskę płonącego wosku, którą zapaliła lampę złotą, zawieszoną na stojącym u nóg łożnicy kandelabrze spiżowym.

Aktea patrzyła na nią z zadziwieniem, gdyż niewolnica, którą po raz pierwszy widziała, nie była wszakże jej nieznaną; rysy tej twarzy bardzo świeże przywodziły na pamięć wspomnienia, a jednak nie mogła przypomnieć sobie imienia tego młodego i melancholijnego oblicza. Tyle sprzecznych myśli stłoczyło się w głowie biednego dziecka, że nie mogąc znieść ich ciężaru, zawarła oczy i wsparła znowu głowę o poduszkę. Lucyusz myśląc, że chce spać, skinął na niewolnicę, aby nad nią czuwała i wyszedł z komnaty.

Niewolnica, zostawszy z Akteą, czas niejaki przypatrywała się jej z wyrazem nieokreślonej smętności; potem ułożywszy się na purpurowym kobiercu, na którym chrapała Febe, wsparła głowę na grzbiecie tygryscy, która przebudzona znienacka, otwarła w połowie oko zaiskrzoną i dzikie, ale poznawszy przyjaciółkę, zamiast ukarania jej za taką zuchwałość, dwa



lub trzy razy dotknęła delikatnej jej ręki końcem krwistego języka i wyciągnęła się znowu niedbale, wydając mrużenia podobne do ryku.

W tej chwili rozkoszne brzmienia śpiewu rozległy się w górnej części okrętu; był to ten sam chór, który słyszała Aktea, gdy biremna przybijała do portu Koryntu. Lecz w tej chwili samotność i cisza nocna więcej jeszcze nadawały mu wdzięku i tajemniczości. Wkrótce nowy głos połączył się z innymi. Lucyusz śpiewał modlitwę do Neptuna. Aktea odrazu poznała te jędrne dźwięki, które dnia wczorajszego wprawiły w drżenie najskrytsze struny jej duszy: były to tony tak dźwięczne i melodyjne, jak gdyby Syreny Polimoskiego przyładku witały okręt nowego Ulisesa.

Aktea, cała pod wpływem tej uroczej muzyki, otworzyła znużone powieki i z okiem wlepionem w niebo gwiazdzone, zapomniała rychło swych zgryzot i boleści, oddając się cała rozkosznym marzeniom. Już dawno ostatnie dźwięki liry i ostatnie brzmienia śpiewu rozplynęły się w przestrzeni, jakby uniesione na skrzydłach czarodziejskich, a ona jeszcze ich słuchała słodkimi przejętą odrętwieniem; ocknęła się nakoniec i po raz drugi spotkała się z wejrzeniem młodej dziewczyny. Niewolnica zdawała się również zostawać pod wpływem uroku i Aktea miała czas znów zauważyć, że to smętne oko zwracało na nią promień jasny nie po raz pierwszy. Aktea skinęła ręką, powstała niewolnica: obie czas niejaki pozostały w milczeniu; nakoniec przerwała je Greczynka pytaniem:

— Jak się nazywasz?

— Sabina — odparła niewolnica.

Aktea drgnęła, gdyż jak twarz, tak i głos nie był jej obcym; imię jednak wymienione żadnego w niej nie obudziło wspomnienia.

— Gdzie twoja Ojczyzna?... — zapytała znowu Aktea.

— Opuściłam ją tak młodo, że nie pamiętam jej wcale.

— Do kogoż należysz?

— Wczoraj należałam do Lucyusza, dziś do Aktei.

— Czy dawno jest on twym panem?

— Odkąd siebie poznałam.

— Jesteś więc zapewne przywiązana do niego?

— Jak córka do ojca.

— Zbliź się więc do mnie i mówmy o nim.

Sabina była posłuszną, ale ze wstrętem widocznym. Aktea, przypisując to uczucie bojaźni, wzięła ją dobrotliwie za rękę: ta ręka była zimna, jak marmur; po chwili, posłuszna naleganiom swej pani, raczej upadła niż usiadła przy jej łożu.

— Czyliżem nie widziała cię przedtem? — dopytywała się Aktea.

— Nie sędzę — odrzekła z przymusem niewolnica.

— W stadium, w cyrku, w teatrze?

— Na krok nie opuszczałam biremmy.

— Nie byłaś więc obecną tryumfom Lucyusza?

— Jestem do nich przyzwyczajoną.

Nowe nastąpiło milczenie po tych zapytaniach i odpowiedziach, zamienianych z jednej strony ze wrażliwą ciekawością, z drugiej z wyraźną niechęcią. To

ostatnie uczucie było tak widoczne, że nie mogło ująć uwagi Aktei.

— Słuchaj, Sabino — rzekła Koryntyanka — widzę, jak cię wiele kosztuje strata dawnego pana: powiem zatem Lucyuszowi, że go nie chcesz opuścić.

— Nie czyni tego — zawołała niewolnica za drzewem — gdy Lucyusz rozkazuje, trzeba mu być posłuszną.

— Jego gniew jest więc tak straszny? — spytała Aktea z uśmiechem.

— Okropny! — odparła niewolnica z takim wyrazem trwogi, że mimowolnie zadrżała Aktea.

— A jednak zdają się go kochać ci, co go otaczają: ten młody Sporus...

— Sporus! — powtórzyła głucho niewolnica.

Zamilkła nagle Aktea; wyjaśniły się jej wspomnienia: do Sporusa była podobną Sabina, a to podobieństwo było tak wielkie, że zdziwiła się, iż odrazu tego nie spostrzegła. Ujęła za obie ręce dziewczynę i wpatrując się w nią przenikliwie, zapytała:

— Czy znasz Sporusa?

— To mój brat — wyszemrało dziewczę.

— Gdzież on jest?

— Został w Koryncie.

W tej chwili drzwi się otworzyły: wszedł młody Rzymianin; Aktea zaś, trzymająca jeszcze obie ręce Sabiny, uczuła dreszcz, przebiegający po żyłach swej niewolnicy. Lucyusz obrzucił badawczym, dziwnie przynębiającym wzrokiem obie dziewczyny i po chwili milczenia zapytał:

— Czy moja piękna Aktea nie zechce skorzystać z ukazującej się Jutrzenki i odetchnąć świeżem powietrzem poranku?

W brzmieniu tego głosu, tak spokojnego i łagodnego napozór, było jednak coś demonicznego i jakby szarpiącego. Aktea zauważyła to teraz dopiero i jednocześnie takie uczucie trwogi ją ogarnęło, że zapytanie poczytała za rozkaz i była mu posłuszną w milczeniu. Ale siły nie odpowiedziały jej woli i byłaby upadła, gdyby skwapliwie nie wsparł jej Lucyusz. Uczuła się uniesioną na rękach kochanka z łatwością orła, porywającego gołębicę; cała drżąca, nie pojmując pobudek przestachu, oniemiała, z zawartemi oczyma, dozwoliła nieść się z takim uczuciem, jakby do przepaści wrzuconą być miała.

Na pokładzie statku, pod wpływem jędrnych powiewów morskich, ocknęła się z dziwnego wrażenia. Chociaż oczy miała jeszcze zamknięte, czuła jednak, że już nie znajduje się w objęciach Lucyusza. Jakoż otworzywszy je przekonała się, że leżała w złocistej siatce, jednym końcem przytwierdzonej do masztu, drugim do małej kolumny rzeźbionej. Lucyusz, wsparty o maszt, stał przy niej.

Podeczas nocy, okręt, gnany przychylnym wiatrem, wypłynął z zatoki Korynckiej i okrążywszy przylądek Elis, wszedł między Zacyrt i Cefalonię: słońce zdawało się podnosić z po za tych dwóch wysp, a pierwsze jego promienie oświecały szczyty gór, przedzielających je na dwie części, chociaż krańce zachodu nurzały się jeszcze w cieniu. Aktea, zwracając się do Lucyusza, spytała:

— Czy to jeszcze Grecya?

— Tak jest — odparł Lucyusz — a te wonie, do-  
latujące do nas, jakby ostatnie pożegnanie, wydają  
różne Samy i drzewa pomarańczowe Zacyrty. Niema  
zimy dla tych dwóch siostr rodzonych, rozwijających  
się pod słońcem, jak dwie lilie. Czy piękna Aktea  
chce, abym na tych wyspach kazał dla niej zbudować  
pałace?

— Lucyuszu — rzecze Aktea — przestraszasz mię  
niekiedy temi obietnicami, jakich bóg sam zdołałby za-  
ledwie dotrzymać. Kto jesteś i co przede mną ukry-  
wasz? Czyliżes Jowiszem piorunującym i czy się  
boisz, aby ukazując się w całym blasku, nie strawiły  
mię twoje gromy, jak drugą Semele?

— Mylisz się — odparł Lucyusz z uśmiechem —  
jestem tylko biednym śpiewakiem, któremu stryj swój  
cały zostawił majątek, pod warunkiem, że się nazywać  
będę jego imieniem; cała moja potęga jest w mojej  
miłości, Akteo, ale czuję, że przez nią podołałbym  
dwunastu pracom Herkulesa.

— Kochasz mię więc? — spytała młoda dziewczina.

— Tak jest, moja duszo! — odrzekł Lucyusz.

Rzymianin wymówił te słowa z tak silnym wy-  
razem prawdy, że kochanka jego wzniosła obie ręce  
ku niebu, jakby dziękując mu za swe szczęście. W tej  
bowiem chwili zapomniała o wszystkim; żale i zgry-  
zoty znikły z jej duszy, jak z oczu Ojczyzna, ginąca  
w przestrzeni.

Płynęli tak przez dni sześć, pod niebem błęki-  
tnem i po błękitnem morzu; siódmego u sztaby okrętu  
spostreżegli miasto Lekry, zbudowane przez żołnierzy

Ajaksa. Okrążywszy przylądek Herkulesa, dostali się do  
cieśniny Sycylijskiej, zostawując na lewo Messynę, sta-  
rożytną Zankle o porcie zakrzywionym, jak kosa, a na  
prawo Rhegium, od którego Dyonizyusz zażądał żony,  
a ono mu ofiarowało córkę kata; potem, żeglując pro-  
sto między wrzącą Charybdą i szczekającą Scyllą, raz  
ostatni pożegnali fale jońskie i weszli na morze Ty-  
reńskie. Pięć dni jeszcze żeglowali to siłą żagłów, to  
wioseł, mijając Helkę, przy której ukazywały się jesz-  
cze zwaliska grobu Palinura, Paestum o trzech świą-  
tyniach, Kaprę o dwunastu pałacach. Nakoniec wpły-  
nęli do przepysznej odnogi, w której głębi wznosi się  
Neapolis, ta piękna córa Grecyi, ta niewolnica, wy-  
zwolona przez Rzym, spoczywająca niedbale u stóp  
swego dymiącego Wezuwiusza, mająca po prawej stro-  
nie Herkulanum, Pompeę i Stabbię, które w dwadzie-  
ścia lat potem, zniknąć miały w grobach z lawy; po  
lewej zaś Puteoli z mostem olbrzymim, Baję, której  
tak się obawiał Propercyusz i Baule, mającą wslawić  
się rychło matkobójstwem Nerona.

Gdy Lucyusz zobaczył miasto, kazał wnet zmie-  
nić żagle białe biremy na purpurowe i ozdobić maszt  
gałęzią laurową. Musiał to być znak umówiony za-  
wczasu i zwiastować zwycięstwo; skoro tylko bowiem  
go spostrzeżono, zaraz ruch wielki powstał u brzegów  
i lud rzucił się ku okrętowi olimpijskiemu, który wszedł  
do rejdy przy dźwięku instrumentów, przy śpiewach  
majtków, przy oklaskach tłumu. Wóz, zaprzężony  
czterema końmi białymi, czekał na Lucyusza. Wsiadł  
on do niego, odziany szatą purpurową, przysłoniętą  
niebieską chlamydą w gwiazdy złote, mając na głowie

wieniec olimpijski z liści oliwnych, a w rękę pityjski z laurowych. Wybito potem wyłom w murach miasta i wjechał przezeń tryumfator, jak zwycięzca.

Przez całą drogę spotykały go podobne zaszczyty i uroczystości. W Fondei starzec lat sześćdziesięciu pięciu, którego ród był tak starożytny, jak Rzym, i który po wojnie afrykańskiej, otrzymał awaryę i trzy kapłaństwa, przygotował dlań wspaniałe uroczystości, a nawet wyszedł sam naprzeciw zwycięzcy, aby go na nie zaprosić. Krok ten ze strony człowieka tak znakomitego, wielkie uczynił wrażenie na Lucyusza orszaku, który powiększał się z każdą chwilą. Dziwne albowiem rzeczy opowiadano o tym starcu. Gdy jeden z jego przodków odbywał ofiarę, orzeł rzucił się na zwierzę zabite, porwał jego wnętrzności i uniósł na dąb. Przepowiedziano mu wtenczas, że któryś z jego potomków będzie panem Rzymu, a tym potomkiem, jak mówiono, był właśnie ów dzisiejszy starzec, noszący imię Galba. Razu pewnego przybył on z gro-nem rówieśników swoich powitać Oktawiusza, August zaś, natchniony wtedy jasnowidzeniem, musnął go lekko po twarzy ręką mówiąc:

— I ty także, moje dziecko, doświadczysz słodyczy potęgi.

Liwia tak go kochała, że zostawiła mu umierając pięćdziesiąt milionów sestercyj; lecz ponieważ suma ta była tylko wyszczególnioną w zapisie, zredukował ją Tyberyusz do pięciuset tysięcy i być może, iż nie ograniczyłyby się na tem nienawiść starego cezara, któremu wiadomą była przepowiednia wyroczni, gdyby nie

uspokoił go Trazyllus, jego astrolog, zapewnieniem, że Galba panować będzie w sędziwej starości.

— Niechże więc żyje! — rzekł Tyberyusz — gdyż czas tak odległy mi nie obchodzi.

Jakoż umarł Tyberyusz; Kaligula i Klaudyusz władali Rzymem z kolei; Neron był cezarem. Galba miał lat sześćdziesiąt pięć i nie wskazywało, aby był blizkim władzy najwyższej. Gdy jednak następcy Tyberyusza, bliżsi chwili ziszczenia się wyroczni, mogli mniej być niedbałymi o jej znaczenie, Galba nosił zawsze, nawet gdy spał, sztylet, zawieszony na łańcuchu u szyi i nie wychodził nigdy inaczej, jak mając przy sobie milion sestercyj w złocie na wypadek, gdyby był zmuszony uciekać od liktorów, albo przepuścić zabójców.

Zwycięzca dwa dni przebył u Galby, wśród igrzysk i tryumfów; tam to Aktea była świadkiem ostrożności, jakich dotąd nie przedsiębrał Lucyusz, a których nie umiała sobie wytłumaczyć znaczenia i celu. Żołnierze z jego eskorty czuwali przez noc całą w pokojach, otaczających jego komnatę; widziała też, że jej kochanek, idąc spać, kładł miecz pod poduszkę swego postania. Nie śmiała go wypytywać Aktea; przeczuwając jednak, że mu jakieś grozi niebezpieczeństwo, każdego ranka nagliła go, aby odjechał; nakoniec dnia trzeciego opuścił Fondi i odbywając dalej tryumfalną swą drogę przez miasta, które przebywał wyłomami w murach, zbliżył się nakoniec do góry Albano na czele orszaku podobniejszego do wojska satrapy, niż do świty prostego zwycięzcy. Gdy stanęła na szczycie tej góry, Aktea wydała okrzyk za-

chwytu: u krańca drogi Appijskiej spostrzegła Rzym w całym ogromie i blasku!

Bo też wistocie Rzym ukazał się oczom młodej Greczynki w najwspanialszym widoku. Droga Appijska nazwana była królową dróg, jako najpiękniejsza i najważniejsza ze wszystkich; wychodząc bowiem od morza Tyreńskiego, szła przez Appeniny i Kalabryę i dosięgała aż do morza Adryatyckiego. Na przestrzeni od Albano do Rzymu, służyła dla przechadzek publicznych, a według zwyczaju starożytnych, którzy w śmierci widząc tylko spoczynek, wybierali na swe grobowce miejsca najpowabniejsze i najwięcej uczęszczane, po obu stronach była ozdobiona wspaniałemi grobami, między którymi sływał starożytnością grobowiec Askaniusza, bohaterskiem wspomnieniem Horacyuszów, a cesarskim przepychem Cecylii Metelli.

Owóz w dniu tym, cała ta przepyszna droga zatłoczona była ciekawymi, spieszącymi na spotkanie, Lucjusza. Jedni jechali świetnemi powozami, ciągnięniemi przez hiszpańskie muły w purpurowych zaprzęgach; inni w lektykach, niesionych przez ośmiu niewolników mających na sobie wspaniałe *penulae* i poprzedzanych przez laufrów z podkasanemi szatami; przed tymi biegli jeźdźcy numidyjscy, wznosząc kurzawę i rozpychając tłoczącą się ciżbę,—gdy tamtych wyprzedzały psy moloskie, strojne w naszyjniki nabijane ćwiekami srebrnemi

Jak tylko pierwsi z nadechodzących ujrzeli zwyciężcę, ich okrzyki, przebiegając z ust do ust, zaleciały do murów miasta. Wnet na rozkaz jeźdźcy, pędzącego galopem, tłumy uszykowały się po obu stronach drogi,

która obejmując trzydzieści sześć stóp szerokości, dość miała miejsca dla wozu tryumfalnego, wspaniale zmierzającego ku miastu. O pół mili od bramy, legion jazdy z pięciuset ludzi oczekiwał na orszak i stanął na jego czele. Spostrzegła Aktea, że konie podkute były srebrnemi podkowy, które odpadały co chwila tak, iż lud rzucał się pod nogi rumaków i zbierał je, narażając się na stratowanie.

Wóz zwycięzki wtoczył się nakoniec do miasta wśród szalonych okrzyków pospólstwa. Aktea nie pojmując tego uniesienia, sama dzieliła je mimowolnie. Wszędzie do imienia Lucjusza dodawano tytuł cezara. Wszędzie przejeżdżała pod łukami tryumfalnemi, przez ulice osypane kwiatami i pełne dymu kadzideł. Przy każdym załomie ulic ofiarnicy zabijali ofiary na ołtarzach domowych bogów Ojczyzny. Przebywała najwspanialsze ulice i place; wielki cyrk, któremu odjęto trzy arkady, *Velabrium* i *Forum*; nakoniec wkroczył orszak na drogę Świętą, zaczął przebywać Kapitol i zatrzymał się dopiero przed świątynią Jowisza.

Tu Lucjusz zszedł z wozu i udał się schodami, wiodącym, do świątyni. Flaminowie oczekiwali go u drzwi i towarzyszyli mu do podnóżka posągu boga. Tam złożył trofea swego zwycięstwa na kolanach Jowisza i wziąwszy styl, wyrył na złotej tablicy, którą mu podał wielki kapłan, napis następujący:

*Lucjusz-Domicjusz-Klaudyusz Neron, zwycięzca w zapasach, gonitwach i śpiewie, poświęcił te trzy korony Jowiszowi, najlepszemu i największemu z bogów.*

Wśród okrzyków tryumfu, ze wszech stron podnoszonych, rozległ się krzyk jeden trwogi: Aktea

dowiedziadziała się teraz, że ów rzekomo biedny śpiewak, któremu towarzyszyła jak kochankowi, był cezarem.

## VII

Wśród upojenia tyumfu, cesar nie zapomniał o Aktei. Młoda Greczynka jeszcze nie ochłonęła z zadziwienia i przestachu, gdy zbliżyli się do niej dwaj niewolnicy liburnijscy i wezwali ją z uszanowaniem, w imieniu Nerona, aby się za nimi udała. Usłuchała ich machinalnie Aktea, nie wiedząc, gdzie ją prowadzą, nie myśląc nawet o to się spytać, tak dalece przerażała ją ta myśl okropna, że była kochanką człowieka, którego samo imię dotąd przejmowało ją trwożą.

U wejścia na Kapitol, między Tabularium i świątynią Zgody, spostrzegła wspaniałą lektykę, umieszczoną na barkach sześciu niewolników egipskich, mających na piersiach blachy srebrne w kształcie nowiu, a na nogach i rękach pierścienie z tegoż kruszcu; przy lektyce siedziała Sabina, którą Aktea straciła z oczu wśród wrzawy tryumfu, a którą znajdowała właśnie jakby dla uzupełnienia swych wspomnień. Wsiadła do lektyki, położyła się na jedwabnych poduszkach i udała się ku Palatynowi w towarzystwie Sabiny, która idąc przy lektyce, osłaniała ją wachlarzem z piór pawich, utwierdzonym na trzcinie indyjskiej.

Przez trzysta blisko kroków, lektyka szła tą samą drogą Świętą, którą już Aktea przebywała w świ-

cie cezara; zwracając się potem na prawo, przeszła między świątyniami Feba i Jowisza Statora, wstąpiła na kilka stopni, wiodących do Palatynu i nie dochodząc do wieńczącej górę wspaniałej płaszczyzny, udała się przez pagórek Saburański i Via-Nova; zbliżywszy się nakoniec ku Juturnańskiemu wodotryskowi, zatrzymała się u progu małego domu odosobnionego. Wnet dwaj Liburnijczykowie ustawili z każdej strony lektyki stopnie, okryte purpurowym kobiercem, troszcząc się, aby ta, którą im cesar na panią przeznaczył, nie trudziła się nawet potrzebą wskazywania, z której strony wyjść chciała.

Aktea była zapewne oczekiwana, gdyż za jej zbliżeniem drzwi się otworzyły i wnet zamknęły się jak tylko weszła, chociaż nie widać było, ktoby pełnił obowiązki janitora. Sama jej tylko towarzyszyła Sabina, a myśląc, że po tak długiej i nużącej podróży, pani jej życzyłaby sobie wziąć kąpiel, zaprowadziła ją do *apoditorium*, izby tak nazwanej od słowa greckiego, oznaczającego rozbieranie. Aktea wszakże, cała jeszcze wzruszona i roztargniona tem dziwnem losów zrządzeniem, które ją w orszak pana świata wtrąciły, usiadła na ławie, dokoła salę otaczającej, dając znak Sabinie, aby się wstrzymała na chwilę. Chciała rozważyć położenie swoje, lecz nie zdołała jeszcze zebrać myśli, gdy oto jakby potężna wola pana niewidzialnego, którego los jej narzucił, zmusiła ją do zaniechania rozmyślań, bowiem nagle rozległy się dźwięki słodkiej i czarownej muzyki, tak przedziwnie urządzonej, że cały przestwór izby jednocześnie obejmowała harmonia. Śnać Neron, zauważywszy w ciągu podróży, jaki

wpływ wywierały na młodą Greczynkę dźwięki muzyczne, zawczasu kazał przygotować tę rozrywkę, aby smutek i tęsknotę kochanki rozpraszała.

Nie zawiódł się w przewidywanych skutkach swego urządzania. Zaledwie bowiem Aktea usłyszała te akordy, uniosła głowę, zatrzymały się łzy, płynące po jej twarzy, a ostatnia ich kropla, drgając czas niejaki na długich rzęsach, jakby kropla rosy na słupkach kwiatu, równie jak rosa pod słońca promieniem, zdawała się usychać pod ogniem spojrzenia, które zaćmiewała przed chwilą: jednocześnie barwa żywej purpury zastąpiła bladość lic i ust, wpółotwartych jakby dla uśmiechu lub pocałunku.

Wówczas zbliżyła się Sabina do swej pani, która już się nie opierała, lecz sama dopomagała do rozebrania się tak, iż wszystkie szaty opadły z niej po chwili, zostawując ją nagą, zapłonioną, jak Wenus wstydliwą, odsłaniając wdzięki tak doskonałej, tak dziewiczniej piękności, że sama nawet niewolnica stanęła w zachwyceniu; gdy zaś Aktea, chcąc się udać do drugiej komnaty, oparła rękę na jej nagim ramieniu, uczuła, że niewolnicę dziwne ogarnęło drżenie i zauważyła twarz zawsze bladą Sabiny, okrywającą się rumieńcem, jakby nagle płomieniem dotkniętą została. Na ten widok, zatrzymała się Aktea myśląc, że coś złego wyrządziła swej służebnicy; ale ta, postrzegając się, ujęła z żywością jej rękę i kładąc ją znów na swe ramię, weszła z nią spiesźnie do *tepidarium*.

Była to izba rozległa w czworobok, której środek zajmowała znaczna przestrzeń wody cieplej, podobna do małego jeziora. Młode niewolnice, z głowami

uwiecznionemi trzcina, narcyzami i grzybieniami, igrały na jej powierzchni jak Najady, a gdy postrzegły Akteę, wnet ku niej popchnęły konchę z kości słoniowej, wysadzoną koralem i perłową macieją. Aktea patrzyła na wszystko, co się dokoła niej działo, jak na przewijające się pasmo czarodziejskich obrazów, rozwijających się w sennem marzeniu, poddawała się też ulegle wszystkiemu. Weszła tedy do owej wątlej łodzi i jak Wenus, otoczona swym morskim orszakim, popłynęła ku środkowi wodnej przestrzeni.

Rozkoszna muzyka, którą niedawno podziwiała, dała się słyszeć na nowo; rychło śpiewy Najad połączyły się z jej wdzięcznem brzmieniem. Śpiewały one baśń o Hylasie, czerpiącym wodę na brzegach Troady, i jak Nimfa rzeki Askanios, co wabiła tego ulubieńca Herkulesa poruszeniami i głosem, tak niewolnice wyciągały ręce ku Aktei, zapraszając ją do swego grona. Zwyczajne były młodej Greczynce igraszki wodne; tysiąc razy, z towarzyszkami swemi, wplaw przebywała Korynecką odnogę; rzuciła się więc bez obawy w to morze ciepłe i wonne, gdzie ją niewolnice przyjęły, jak swą królowę.

Wszystkie one były piękne i kształtne i starannie dobrane. Niektóre przywieziono z Kaukazu, inne były z Galii, z Indyi, z Hiszpanii; a jednak wśród całej tej gromady, wybranej przez miłość dla rozkoszy, zdawała się boginią Aktea.

Po jakimś czasie, gdy się, jak Syrena, przesliznęła po powierzchni wody, gdy się zanurzyła w niej, jak Najada i wypuskała w tem udanem jeziorze z gibkością i wdziękiem, zauważyła, że brakło

Sabiny jej orszakowi wodnemu, a szukając jej oczyma, ujrzała niewolnicę, siedzącą z głową okrytą połą od płaszczu. Poufała i wesoła, jak dziecię, Aktea zawołała ją do siebie. Sabina, jakby z wysiłkiem, odrzuciła płaszcz. Wnet wszystkie inne niewolnice, ze śmiechem dziwnego i niepojętego dla Aktei wyrazu, głosem płochym i żartobliwym, wołały razem, aby do nich przybyła. Przez chwilę zdawało się, że Sabina usłucha wezwania. Coś dziwnego działo się w jej duszy: oczy gorzały, twarz płonęła. A jednak łyzy toczyły się z jej powiek i zraszały rozpalone lica. I zamiast uleść temu, czego sama zdawała się pragnąć, pomknęła ku drzwiom, jakby się chciała uchronić od tych czarów rozkosznych.

Lecz nagle wybiegła z wody Aktea i przecięła jej drogę wśród śmiechów całej gromady. Sabina zdała się blizką omdlenia; drgały jej kolana, pot zimny spływał po jej czole; nakoniec zbladła tak widocznie, że Aktea sądząc, iż upadnie, wyciągnęła ręce i wsparła ją na swej piersi; natychmiast jednak odepehnęła ją, wydając krzyk stłumionej boleści. W dziwnym przystępie jakiegoś szału, Sabina dotknęła usty ramienia swej pani i ukąsiła ją z dziwną zawziętością, poczem, snąc przerażona swym postępkim, skwapliwie wybiegła z komnaty.

Na krzyk Aktei niewolnice przybiegły i skupiły się dokoła niej; ale ona, obawiając się, aby Sabina nie została ukarana, ukryła swą boleść i z przymuszonym uśmiechem starła kilka kropel krwi, spływającej po jej piersi nakształt płynnego koralu. Zresztą tak małej wagi był ten wypadek, że prócz zadziwienia,

nie mógł innego obudzić w niej uczucia; udała się więc do izby sąsiedniej, zwanej *caldarium*, gdzie się miała kąpiel parowa dokonać.

Była to mała, okrągła sala, opatrzona dokoła stopniami i wążkami niszami, w których znajdowały się siedzenia; wielkie naczynie z wrzącą wodą zajmowało środek przestrzeni, przepelniając ją gęstą parą, ogrzewaną zewnątrz urządzonego piecem, z którego płomienie obiegały kanały w rozmaitych kierunkach, opasujące *caldarium*, nakształt bluszczu, pnącego się po murze.

Gdy Aktea, nieprzyzwyczajona do tych kąpiel, które w samym tylko Rzymie były znane i używane, weszła do tej izby, tak ją odurzyły owe masy pary, której gęste kłęby przewalały się tu nakształt obłoków, że zdyszana i bez głosu wyciągnęła ręce, usiłując wołać o ratunek; lecz zaledwie mogła stłumione i przerywane łkaniem wydawać jęki; usiłowała rzucić się ku drzwiom, ale zatrzymana przez niewolnice upadła, dając znak, że się dusi. Zaraz jedna z kobiet pociągnęła za łańcuch i otworzyła się tarcza złota, przykrywająca otwór w suficie, wpuszczając do tej atmosfery, już niemożliwej do oddychania, prąd świeżego powietrza, prąd życia.

Aktea czuła, że pierś jej jakby się rozszerzyła, uwolniła z duszącego uścisku, a zarazem, że ją dziwnie jasne osłabienie ogarnia. Pozwoliła się zaprowadzić na stół i usiadła, przyzwyczajając się stopniami do tej zgęszczonej atmosfery, zdającej się w płynny płomień przeistaczać krew w żyłach. Po chwili znów para tak się ogrzała i zgęstniała, że znów musiano uciec się do złotej tarczy. I tym razem prąd



świeżego powietrza sprowadził na kąpiące się grono tak błogie obezwładnienie, że młoda Greczynka zaczęła pojmować namiętne usposobienie Rzymianek do tego rodzaju kąpieli, która zrazu tyle jej sprawiła przykrości. Raz jeszcze zgęstniła się para, lecz już nie otworzono tarczy, gdy zaś Aktea uczuła się znowu bliską omdlenia, zbliżyły się do niej dwie kobiety, a obwinawszy ją płaszczem szkarlatnym z wełnianej tkaniny, wyniosły do izby o zwyczajnej temperaturze.

Tu się odbyła inna czynność, równie dziwna, ale już mniej nieprzyjemna, jak w *caldarium*. Było to masowanie ciała i naciąganie stawów, operacja tak w skutkach rozkoszna, że ją mieszkańcy Wschodu przejęli od Rzymian i aż do naszych dni przechowali. Dwie inne niewolnice, biegłe w tej czynności, nacierały Akteę i naciskały jej ciało dopóty, dopóki jej członki zupełnie nie zmiękły i nie utraciły zwykłej jędrności; potem naciągały stawy jedne po drugich tak silnie, że każdy wydał trzask, lecz bez boleści i niemilego przymusu; biorąc z kolei małe naczynia z rogu nosorożca z oliwą i wonnemi esencjami, namaściły niemi całe ciało i wycierały naprzód cienką wełną, potem najdelikatniejszym egipskim muślinem, nakoniec łabędziemi skórami, samym tylko puchem, bez pierza, okrytymi.

Przez cały ten czas Aktea leżała z przymkniętymi oczyma, pogrążona w rozkosznych uczuciach, bez głosu i myśli, ogarnięta jakąś błogą lecz dziwną sennością, zostawując jej jedynie wrażenia nieznaney dotąd pełni istnienia. Pierś jej nietylko się rozszerzyła, ale nadto z każdym technieniem życie zdało się napły-

wać do niej przez wszystkie pory ciała. Było to tak potężne, tak absolutne wrażenie fizyczne, że pod jego wpływem nietylko zatarły się ślady wspomnień przeszłości, ale nadto znikły cierpienia obecne; niepodobieństwem było w takim usposobieniu wierzyć w nieszczęście i życie przedstawiało się w tej chwili wyobraźni młodej dziewicy jakby pasmo błogich i rozkosznych wzruszeń, snutych bez kształtów wyraźnych wśród jakiejś cudnej a nieokreślonej przestrzeni...

W owem półuśpieniu magnetycznem, podczas tych marzeń bez myśli, Aktea usłyszała skrzypnięcie drzwi izby, w głębi której leżała; lecz ponieważ w jej dziwnym stanie każde poruszenie było utrudnione, nie odwróciła głowy, sądząc zresztą, że wchodziła jedna z niewolnic. Pozostała więc z oczyma przymkniętymi, słysząc, jak ku jej łożu zbliżał się odgłos kroków powolnych i miarowych, z których każdy w niepojętych dźwiękach zdawał się odbijać w jej uszach; z wysiłkiem obróciła głowę, a skierowawszy wzrok w stronę owych kroków, spostrzegła zbliżającą się ku sobie majestatycznej powagi niewiastę w ubiorze rzymskiej matrony, okrytą długą, powłoczystą szatą. Zatrzymała się ona przy łożu i utkwiała w Aktei głębokie, badawcze spojrzenie, podobne do wzroku wieszczbiarza, przed którym nic się utaić nie zdoła. Przypatrywała się tak czas niejaki w milezeniu Greczynce, potem głosem cichym a jednak dźwięcznym i tak przejmującym, iż każde słowo jakby ostrze sztyletu zdawało się w grunt serca Aktei przenikać, rzekła:

— Tyś owa Koryntyanka, która opuściła Ojczyznę i ojca, aby towarzyszyć cesarowi, nieprawdaż?

Całe życie Aktei, szczęście i rozpacz, przeszłość i przyszłość, odsłoniły te cierpkie wyrazy tak, iż jakby w oceanie wspomnień nagle uczuła się zanurzona. Obraz dni szczęśliwych, kiedy zbierała kwiaty u źródła Pireny; rozpacz starego ojca, gdy po dniu igrzysk wołał ją do siebie napróżno; przybycie do Rzymu, gdzie tak nagle odsłoniła się tajemnica, którą aż do tej chwili ukrywał przed nią jej potężny kochanek: wszystko to ukazało się z po za czarodziejskiej zasłony, uniesionej lodowatą dłonią tej nieznanym kobiety. Aktea wydała krzyk i okrywając twarz obiema dłońmi, zawołała ze łkaniem:

— Ach! tak, tak, ja jestem tą nieszczęśliwą!...

Po tej odpowiedzi zapanowało milczenie. Aktea nie śmiała oczu otworzyć, wciąż ją przeszywał i przygnębiał surowy i dumny wzrok owej kobiety. Po chwili nieznajoma wzięła jej rękę, którą sobie twarz osłaniała, Aktea zaś, upatrując w tem dotknięciu, jakkolwiek zimnem i szorstkiem, więcej politowania niż groźby, ośmieliła się podnieść łzą zroszoną powiekę. Nieznajoma nie spuszczała oczu z jej lic wylekłych.

— Słuchaj — rzekła wreszcie nieco łagodniej — przeznaczenie często dziwnymi kroczy drogi i dziwnych do swych celów używa pośredników. Często w ręce dziecka składa szczęście lub niedolę mocarstwa. Kto wie, może ty jesteś nie narzędziem gniewu bogów, lecz posłanką ich łaski...

— Zgrzeszyłam — zawołała Aktea — ale zgrzeszyłam tylko miłością; niema złych uczuć w mem sercu! Teraz, gdy już sama nie mogę być szczęśliwą, chciałabym przynajmniej widzieć wszystkich szczęśli-

wymi!... Lecz jestem sama jedna, bezsilna, słaba. Wskaż, co mam czynić, a czynić będę!

— Przedewszystkiem, czy znasz tego, któremu powierzyłaś swój los?

— Od dziś dopiero wiem, że Lucyusz i Neron są jedną osobą, że mój kochanek jest cezarem. Córka starożytnej Grecyi, zostałam uwiedziona pięknnością, zrzęczością, melodyą. Udałam się za zwycięzcą igrzysk nie wiedząc, że to pan świata!...

— Zatem już wiesz — rzekła powoli i dobitnie nieznajoma — że to Neron; ale czy wiesz, kto jest Neron?

— Nawykłam go uważać za boga — odparła Aktea.

— Ja ci powiem — rzeknie nieznajoma, siadając — kto on jest, trzeba bowiem, aby kochanka знаła człowieka, którego kocha, a niewolnica pana swojego.

— Cóż usłyszę? — szepnęła Aktea.

Nieznajoma tym kształtem rozpoczęła opowieść:

— Lucyusz urodził się zdala od tronu; zbliżył się do niego przez powinowactwo, a zasiadł na nim przez zbrodnię.

— Nie on ją popełnił! — zawoła Aktea.

— On z niej korzystał — odparła zimno nieznajoma. — Zresztą burza, która obaliła drzewo, uszanowała latorośl. Ale syn rychło poszedł za ojcem: Brytanikus legł przy Klaudyuszu, a tym razem mordercą był sam Neron.

— Któż to śmie utrzymywać? — zawołała Aktea — któż może go o tak okropną oskarżać zbrodnię!

Neron.

— Ty wątpisz, dziewczyno? — mówiła dalej nieznojma, nie zmieniając zimnego i surowego tonu. — Jeśli chcesz wiedzieć, jak się ta zbrodnia spełniła, ja ci opowiem.

Dnia pewnego, w izbie stykającej się z tą, w której przebywał dwór Agrypiny, Neron bawił się z młodzieniaszkami, między którymi był Brytannikus; rozkazał mu on udać się do sali biesiadnej i śpiewać wiersze, mniemając, że zatrwoży dziecię i wystawi je na pośmiewisko swych dworzan. Brytannikus był posłusznym: wszedł w białej szacie do *triclinium*, gdzie się wyuzdana odbywała biesiada, blady i smutny stanął między biesiadnikami i głosem wzruszonym, ze łzawą źrenicą, zaśpiewał wiersze, które Ennius, nasz stary poeta, kładzie w usta Astyanaksa:

„O mój ojcie! o domu Pryama! wspaniały pałacu! świątyni kolumno o kapitelach, jaśniejących złotem i kością słoniową!... Jam widział, jak padałaś pod dłoń barbarzyńców! jak się stałaś łupem płomieni!“

Wnet śmiech łzom miejsca ustąpił, rozpusta i wyuzdanie zostały spoliczkowane tym bolesnym wyrzutem, zaczerpniętym z krynicy poetyckiego natchnienia. Odtąd los Brytannika był już rozstrzygniętym.

W więzieniach Rzymu jęczała zbrodniarka, słynna ze swych trucizn i zbrodni nieprzeliczonych. Neron wezwał do siebie trybuna Polliona Juliusza, przełożonego nad więzieniem, wtenczas bowiem on, cesarz, nie śmiał jeszcze mówić sam z tą kobietą. Nazajutrz Pollio Juliusz przyniósł mu truciznę, którą zaprawili czarę Brytannika sami jego nauczyciele; lecz czy to

z obawy, czy z litości, cofnęli się przed zbrodnią mordery: napój nie był śmiertelny. Wówczas Neron — cesarz — zważ dobrze — Neron-bóg, jak go nazwałaś przed chwilą, wezwał trucicieli do swego pałacu, do swej komnaty, przed ołtarz bogów opiekuńczych domowego ogniska i tam, tam kazał sporządzić napój zabójczy. Doświadczono go najprzód na koźle: ten żył jeszcze pięć godzin, a przez ten czas przewarzano i wzmacniano truciznę; potem dano ją dzikowi, który padł natychmiast!... Neron udał się do kąpieli, namaścił wonnościami, wdział szatę białą i zasiadł z uśmiechem na ustach u stołu obiednego w pobliżu Brytannikusa.

— Lecz jeżeli — przerwała Aktea głosem drżącym — Brytannikus był rzeczywiście otruty, jakże się stało, że niewolnik, kosztujący napoje i dania, nie doznał skutków trucizny? Powiadają, że Brytannikus cierpiał na wielką chorobę; może to jeden z jej paroksyzmów...

— Tak właśnie mówi Neron... i w tem się okazuje piekielna chytrałość. Tak jest, wszystkie napoje, wszystkie potrawy, które spożywał Brytannikus, były wprzód kosztowane; dano mu jednak napój tak gorący, że go mógł skosztować niewolnik, ale nie mogło wypić dziecię; wówczas zimnej wody dolano do czary i w tej wodzie była trucizna.

Była to silna i pewnie urządzona trucizna, bo Brytannikus, bez krzyku, bez żadnej skargi, zamknął oczy i upadł. Kilku mniej roztropnych uciekło!... Najprzezorniejsi zostali wybladli, drżący i domysłający się prawdy. Co do Nerona, który śpiewał w tej chwili,

ten przechylił się na łożu i przypatrując się Brytannikowi, rzekł:

— To nie, za chwilę przyjdzie do siebie!

I śpiewał dalej pieśń rozpoczętą.

A jednak już wszystko sam przygotował do pogrzebu zawczasu, już nawet stał stos na polu Marsowem i tej nocy zanieisono tam trupa, na którego ciało powystępowały plamy fioletowe. Lecz zdało się, jakby bogowie wzdrygali się na zbrodnię bratobójstwa, bo potrzykroć deszcz ulewny gasił stos! Wówczas Neron powlec kazał ciało żywicą i smołą. Czwarty raz usiłowano stos rozpaść: tym razem ogień, trupa trawiący, wzniósł się ku niebu wysoką kolumną, unosząc tam gniewnego ducha Brytannika.

— Lecz Burrus! lecz Seneka!...—zawołała Aktea.

— Burrus, Seneka!... — powtórzyła z goryczą nieznaną — zatkano im dłonie srebrem, a usta złotem i milczeli!...

— Niestety! niestety!—szepnęła Aktea.

— Od dnia tego — mówiła dalej niewiasta, która znać dobrze znała wszystkie tajemnice dworu cesarza — od dnia tego Neron, ów syn szlachetny Aenobardów, stał się godnym potomkiem tego plemienia o brodzie miedzianej, o obliczu z żelaza i sercu z ołowiu; od dnia tego, opuścił Oktawie, której winien był tron, wygnał ją do Kampanii, gdzie ją ściśle mieć kazał na oku, i otoczywszy się woźnicami, histryonami i nierządnicami, zaczął wieść to życie sromotne, które od dwóch lat Rzym trwogą i zgrozą przejmuje.

Twój bowiem kochanek, dziewczyno, twój piękny, olimpijski zwycięzca, ten, którego świat zowie ce-

zarem, którego czezą, jak boga, dworzanie, — gdy noc nadchodzi, opuszcza swój pałac, przebrany za niewolnika i z głową przykrytą czapką wyzwolenca, dąży już to do mostu Milwiusza, już do jakiej szynkowni Saburranu. Tam otoczony sprośną gawiedzią, przy dźwięku cymbałów kapłana Cybeli albo fletu ladaczniczy, przebiega ulice miasta, znieważając kobiety, bijąc przechodzących, rabując domy i dopiero o świcie wraca do Złotego Pałacu, często z obliczem pokrytem znakami kija lub pięści.

— To niepodobna! — zawołała Aktea — ty go spotwarzasz...

— Mylisz się, dziewczyno, mówię zaledwie część prawdy.

— Lecz czy nie lękasz się kary za wyjawianie podobnych tajemnic?

— Być może, że narażam się na zemstę, a zresztą jestem na to przygotowana.

— Jakto... narażasz się świadomie, dobrowolnie?

— Bo ja tylko jedna nie mogę od niej się usunąć...

— Kto zatem jesteś?

— Jego matka!...

— Agrypina! — wykrzyknęła Aktea, porywając się z łoża i padając na kolana — Agrypina! córka Germanika!... siostra, wdowa i matka cesarów!... Agrypina stoi przede mną, biedną dziewczicą Grecyi! O! i czegoż chcesz ode mnie? Mów, rozkazuj, a będę ci posłuszną, jeżeli tylko nie masz zamiaru wymagać, abym go kochać przestała... gdyż, pomimo wszystkiego, coś mi powiedziała, Kocham go i Kochać będę zawsze.

Lecz jeżeli nie zdołam być ci posłuszną, zdołam umrzeć przynajmniej.

— Przeciwnie, moje dziecko — rzecze Agrypina — kochaj zawsze cezara tą miłością wylaną, bez miary, jaką czułaś dla Lucjusza, bo w tej miłości cała moja nadzieja, bo czystość jednej zdoła może zwyciężyć zepsucie drugiej.

— Drugiej! — powtórzyła z przestachem dziewczica. — Miałaby cesarz kochać drugą?

— Ty o tem nie wiesz, moje dziecko?

— Jakżebym wiedzieć mogła!... Gdy poszła za Lucjuszem, co mię obchodzić mógł cesarz? Ukochałam prostego artystę i powierzając mu moje życie, sądziłam, że mi całą szczerością uczucia odplaci! Lecz któż jest ta kobieta?...

— Córka, co się zaparła ojca, — żona, co zdradziła małżonka!... Zbyt piękna, nieszczęściem, kobieta, której bogowie nic więcej nie odmówili jak serca: Sabina Poppea.

— Ach! tak, tak, znane mi to imię. Słyszałam tę ohydłą powieść, nie wiedząc, że mię tak blisko obchodzić będzie. Podśluchałam skrycie, jak ją ojciec mój opowiadał drugiemu starcowi i obaj rumienili się ze wstydu!... Wszak ta kobieta opuściła Kryspina, swego małżonka, dla kochanka Otona?... Prawda? A kochanek sprzedał ją potem, w czasie uczty, za rządu Luzatynii?

— Nie mylisz się — potwierdziła Agrypina.

— I on ją kocha!... kocha jeszcze! — wyszemrała z boleścią Aktea.

— Tak — odpowiedziała Agrypina z wyrazem nienawiści — kocha ją, kocha zawsze, bo w tem tkwi jakaś tajemnica, jakiś napój miłosny, jakaś czarnoksięska zaprawa, coś takiego, jak to, czem Cezonia raczyła Kaligule!...

— Sprawiedliwe bogi — zawołała Aktea — czyliżem niedosyć ukarana, niedosyć nieszczęśliwa?...

— Mniej jesteś nieszczęśliwą i mniej ukaraną, niż ja — rzekła Agrypina — boś mogła odrzucić jego miłość, a mnie go narzucili bogowie na syna. Czy wiesz teraz, co ci czynić wypada?

— Oddalić się od niego, nie oglądać go więcej!...

— Strzeż się tego, moje dziecko. Mówią, że on cię kocha.

— Mówią to? Byłaby to prawda? Czy ty temu wierzysz?

— Wierzę.

— O! bądź błogosławioną!

— Zważ więc: trzeba nadać cel, kierunek tej miłości; trzeba od niego oddalić tego wysłańca piekiel, który go wiedzie do zguby — a może ocalisz Rzym, cezara i mnie także.

— Ciebie! Czyli sądzisz, że śmiałyby...

— Neron waży się na wszystko...

— Lecz mogęż takim podobać zamiarom, ja!...

— Tyś może jedna z kobiet dość czysta, aby im podobać.

— Nie, nie! lepiej będzie, gdy odjadę!... gdy go nigdy już nie ujrzę!

— Boski cesarz pragnie widzieć Akteę — ozwał się głos łagodny młodego niewolnika, który drzwi przed chwilą otworzył.

— Sporus! — zawołała Aktea z zadziwieniem.

— Sporus! — powtórzyła Agrypina, okrywając głowę swą stołą.

— Cesarz czeka — rzekł niewolnik po chwili milczenia.

— Spiesz się! — rzekła Agrypina.

— Idę... — szepnęła Aktea.

### VIII

Okrywszy się zasłoną i płaszczem, Aktea udała się za Sporusem.

Po przejściu licznych części pałacu, których Greczynka jeszcze nie знаła, przewodnik otworzył drzwi kluczem złotym i klucz ten oddał jej, aby mogła sama powrócić.

Znaleźli się teraz w ogrodach Złotego Pałacu. Aktei wydało się, że jest gdzieś za miastem, tak rozległy i wspaniały przed jej oczyma roztoczył się widok. Przez gęstwą drzew ukazywała się wielka przestrzeń wody, podobna do jeziora, a za nią, w niebieskawej, usrebrzonej światłem księżyca dali, wystrzelały kolumnady pałacu. Powietrze było czyste — ani jeden obłok nie plamił niebieskiego przezrocza; jezioro zdawało się wielkiem zwierciadłem, a ostatnie głosy Rzymu, blizkiego uspienia, gasły w przestrzeni. Sporus i młoda dziewczyna, w białych szatach oboje, zda-

wali się dwoma cieniami, błakającymi się po Elizejskich polach.

Nad brzegami jeziora, na przestronnych smugach, lasy opasujących, jakby w afrykańskich samotniach, pasły się stada dzikich gazelek, gdy tymczasem na sztucznie wytworzonych ruinach, przypominających Aktei jej starożytną Ojczyznę, długie ptaki białe, o skrzydłach ognistych, stały nieruchome i poważne, jakby na czatach, wydając w przerwach krzyk chrapliwy i jednotonny.

Zbliżywszy się do brzegu jeziora, Sporus wszedł do łódki i dał znak Aktei, by obok niego usiadła; rozwiniawszy potem mały żagiel purpurowy, zaczęli ślizgać się, jakby mocą czarów, po tej powierzchni, iskrzącej się tu i owdzie złotą łuską ryb najrzadszych morza Indyjskiego. Ta nocna żegluga przypominała Aktei jej podróż po morzu Jońskim, gdy wpatrując się w niewolnicę, dziwiła się nadzwyczajnemu podobieństwu między bratem i siostrą, które już ją uderzyło w Sabinie, a teraz na nowo uderzało w Sporusie. Co do młodzieńca, ten z okiem bojaźliwie spuszczone, zdawał się unikać jej spojrzeń i milcząc sterował łódką. Nakoniec przerwała milczenie Aktea, odzywając się głosem, na którego brzmienie wzdrygnął się młody niewolnik:

— Sabina powiedziała mi, żeś został w Koryncie, Sporusie — dlaczegoż skłamała?

— Sabina mówiła prawdę — odparł Sporus — ale nie mogłem długo być oddalonym od Lucjusza. Na odpływającym do Kalabrii okręcie puściłem się w drogę; gdy zaś zamiast udać przez cieśninę Mes-

syńska, zawiął prosto do Brindes, podążyłem drogą Appijską i chociaż we dwa dni wyjechałem po cezarze, z nim razem stanąłem w Rzymie.

— Była to bezwątpienia wielka radość dla Sabiny, gdyż bardzo musicie się kochać?

— Nie mylisz się — potwierdził Sporus — nie tylko bowiem jesteśmy rodzeństwem, ale nawet bliźniętami.

— Powiedz więc Sabinie, niech przyjdzie do mnie jutrzejszego poranku.

— Sabiny niema już w Rzymie.

— Dlaczegoż go opuściła?

— Taka była wola boskiego cezara.

— Dokądże się udała?

— Nie wiem.

W głosie niewolnika, jakkolwiek pełnym uszanowania, tyle było wahania się i niepewności, że Aktea musiała zaniechać dalszych pytań; zresztą w tej chwili przybili do brzegu i jak tylko Aktea wysiadła, Sporus wyciągnął łódź na brzeg i oboje w dalszą udali się drogę.

Młoda Greczynka szła mileząc, krokiem przyspieszonym, bo przechodzili właśnie las sosen i sykomorów tak gęsty i ciemny, że chciała być blisko niego, chociaż wiedziała, że na pomoc z jego strony w żadnej nie mogła rachować przygodzie. Było tu istotnie ponuro i straszno, a w dodatku jakieś głosy żałosne, jakby wydzierające się z wnętrza ziemi, o uszy jej się objęły; wkrótce, rozległy się już wyraźnie bolesne jęki ludzkie.

Młoda dziewica zadrżała i opierając rękę na ramieniu Sporusa, z przestrawem zawołała:

— Co to znaczy?

— To nic — odparł lekceważąco Sporus.

— Zdaje mi się jednak, że słyszała...

— Jęki. Nieinaczej, przechodziemy bowiem blisko więzień.

— Któż są ci więźniowie?

— Chrześcijanie, przeznaczeni dla cyrku.

Aktea szybkim krokiem zaczęła uchodzić, bo mijając kratę podziemi więzień, usłyszała znów tak żałosne i przejmujące jęki, że uczuła się wstrząśniętą do głębi. Zawsze wprawdzie przedstawiano jej chrześcijan jako sektę występłą i bezbożną, kalającą się w wyuzdanej rozpuszczeniu i najohydniejszych zbrodniach, w tej chwili jednak obudziło się w jej sercu współczucie, jakie nawet najwięksi przestępcy, na śmierć okropną skazani, w sercach tkliwych obudzać zwykli. Pospieszała więc, aby jak najprędzej las ponury opuścić, a stanąwszy u jego kresu, ujrzała pałac wspaniale oświetlony, usłyszała słodkie dźwięki muzyki. Światło i harmonijne brzmienia orzeźwiły ją, pewniejszym przeto już krokiem, chociaż wolniej, weszła do przysionka.

Tu stanęła na chwilę olśniona niemal oślepiającym przepychem. Nigdy nie marzyła o podobnych wspaniałościach. Ten przysionek, jaśniejący bronzami, kością słoniową i złotem, był tak rozległy, że go otaczał potrójny rząd kolumn, tworząc portyki o tysiącach kroków długości i tak zarazem wysoki, że pośrodku stał posąg, mierzący stóp sto dwadzieścia, dzieło Zenodosa, przedstawiające cezara jako boga. Aktea

ze drzeniem przeszła około tego posągu. Jakże potężna i straszna musiała być władza tego człowieka, który kazał rzeźbić swe wizerunki trzykroć wynioslejsze niż Jowisza Olimpijskiego; który dla swych przechadzek miał ogrody podobne do lasów, a dla rozrywki tysiące więźniów, rzucanych na łup lwów i tygrysów?

Z uczuciem głębokiej trwogi a nawet przerażenia, Aktea weszła na schody, wiodące do komnat Lucyusza; obawa jej, w miarę zbliżania się do celu, tak wzrosła, że gdy spostrzegła, iż Sporus wydobywa klucz, aby drzwi ostatnie otworzyć, musiała przystanąć, jedną ręką wsparła się na jego ramieniu, a drugą usiłowała przytłumić gwałtowne uderzenia serca. Dopiero po chwili zdołała się uspokoić i dała znak Sporusowi, aby drzwi otworzył. Niewolnik spełnił rozkaz. Aktea weszła do komnaty i spostrzegła Lucyusza w prostej tunice białej, uwienieczonego gałęzią oliwną, wół leżącego na łożu. Na widok ukochanego, lica jej rozpogodziły się, dręczące obawy znikły. Cezar, pan świata, przejmował ją trwogą i grozą; ale w tej chwili miała przed sobą Lucyusza, pięknego złoto-brodego młodzieńca, którego wiodła do domu ojca swojego; odzyskała swego zwycięzcę olimpijskiego: nie było cezara. Chciała biedz ku niemu, lecz w połowie drogi siły ją opuściły: przyklękła na jedno kolano, wyciągając ręce ku kochankowi i zdołała zaledwie wyszeptać:

— Lucyusz... zawsze Lucyusz... nieprawdaż?...

— Tak, tak, moja piękna Koryntyanko, bądź spokojna! — rzekł cesarz głosem łagodnym, dając znak,

aby się do niego zbliżyła.—Zawsze Lucyusz! Nieprawdaż, żeś mnie pod tem ukochała imieniem, ukochała dla mnie, a nie dla mojej wielkości, jak wszystkie te, co mnie tu otaczają?... Zbliż się, moja Akteo! powstań! Świat u nóg moich, ale ty w moich objęciach!

— O wiedziałam o tem! — zawołała Aktea, rzucając się na szyję kochanka—byłam pewną, iż oszczerstwa rozsiewają ci, którzy głoszą, iż Lucyusz mój jest okrutnikiem!

— Okrutnikiem — powtórzył Lucyusz. — I któż to ci powiedział?...

— Przebacz — podchwyciła Aktea — oni tak nie mówią, lecz raczej mniemają, że lew, pan zwierząt, równie szlachetny i nieustraszony, jak ty, pan ludzi, jest okrutny, ponieważ nie znając swej siły zabija, gdy chce tylko pogłaskać. O mój lwie! bądź ostrożnym z twoją gazelą!...

— Nie lękaj, Akteo — rzekł cesarz z uśmiechem — lew ma szpony i zęby na tych tylko, którzy ośmielają się stawać przeciw niemu... Patrz, u nóg twoich kładzie się jak baranek kornie!

— Ja się też nie Lucyusza obawiam. O! dla mnie Lucyusz to mój gość, mój kochanek, to ten, co mnie zabrał Ojczyznę i ojcu, i ma odpłacić miłością za miłość... Ale obawiam się...

Tu przerwała, widocznie strwożona tem, co miała na myśli, lecz gdy Lucyusz ośmielił ją gestem dobrotliwym, dokończyła:

— Obawiam się cezara, który wygnał Oktawię... Nerona, przyszłego męża Poppei!...



— Tyś widziała moją matkę! — zawołał Lucyusz, zrywając się gwałtownie i wpatrując się w twarz Aktei. — Widziałas moją matkę?!

— Tak jest — wyszeptala młoda dziewczica, drząc cała.

— Tak — odezwał się po chwili Neron z goryczą — widziałas ją i ona to powiedziała ci, żeś okrutny, nieprawdaż? żeś dusił w uściśnieniu? żeś tylko piorunami podobny do Jowisza? Ona to durzyła cię bajką o Oktawii, którą sama proteguje, a której ja nienawidzę, którą mi narzuciła, a którą zaledwie zdołałem odepchnąć!... Zaiste, mylą się ci, co mniemają, że cośkolwiek wymódz na mnie można przymusem lub groźbą. Chciałem zapomnieć o tej kobiecie, ostatniej z przeklętego plemienia! Niechże mi jej więc nie przywodzą na pamięć!...

Lucyusz spostrzegł, że słowa jego przeraziły Koryntyankę. Pobladła, oczy jej zasły łzami, drżenie ją przejęło pod wrażeniem gniewu kochanka, którego pierwszy raz w takim roznamiętnieniu widziała.

W samej rzeczy, głos jego tak dotąd słodki, poruszający najskrytsze jej serca tajniki, w jednej chwili przybrał wyraz złowieszczy i straszny, a oczy, w których dotąd miłość tylko widziała, miały owemi groźnemi błyskawicami, przed którymi Rzym truchlał i marciał prawie.

— O mój ojeze! mój ojeze! — zawołała, wybuchając łkaniem — o mój ojeze przebac mi!...

— Rozumiem! — podchwycił Neron — tak mówisz, bo powiedziała ci Agrypina, że za twą miłość dosyć ukarana zostałaś moją miłością; bo ci dała uczuć,

że srogie i dzikie ukochałaś zwierzę; bo ci opowiedziała śmierć Brytannika! śmierć Juliusza Montana! i nie wiem co jeszcze więcej. Ale nie powiedziała ci przecież tego, że jeden z nich chciał pozbawić mnie władzy, a drugi mnie kijem po twarzy uderzył. Pojmuję to łącno: życie mojej matki jest tak czyste! tak szlachetne! tak cnotliwe!...

— Lucyuszu! Lucyuszu! — przerwała z krzykiem Aktea — zamilcz! W imię bogów, zamilcz!

— W połowie tylko wprowadziła cię do tajemnic naszej rodziny, posłuchaj więc i reszty — mówił cesarz, nie zważając na jęki Koryntyanki. — Ta kobieta, co mi wyrzuca śmierć dziecka i nędznika, wygnaną została za wyuzdaną rozpustę przez Kaligulę, jej brata, który przecież surowością obyczajów wcale się nie odznaczał. Przywołana z wygnania, gdy Klaudyusz objął władzę, zaślubiła Kryspina Passiena, patrycyusza znakomitego rodu, który był tak niebaczny, że zapisał jej niezliczone skarby, a ona kazała go zamordować, ponieważ osądziła, iż żył za długo dla jej chciwości. Wówczas rozpoczęła się walka pomiędzy nią a Messaliną. Messalina upadła. Klaudyusz był nagrodą zwycięstwa, Agrypina została jego kochanką. Teraz powzięła myśl panowania pod moim imieniem. Oktawia, córka cesarza, była zaręczoną z Sylanusem. Agrypina porywa go od stóp ołtarzy i znajduje świadków fałszywych, którzy go oskarżają o zbrodnię. Zabija się Sylanus. Oktawia jest wdową. Rzucają ją wtedy w moje objęcia i pojąć ją musiałem, chociaż serce moje inną przejęte było miłością! Wkrótce potem pewna kobieta usiłuje wydrzeć jej niedołęzne-

go kochanka. Świadkowie, którzy oskarżyli Sylanusa o zbrodnię, oskarżają Lollię Paulinę o czary—i Lollia Paulina, która uchodziła za najpiękniejszą swego czasu kobietę, którą zaślubił Kuligala uroczyście, którą ukazywał Rzymianom mającą na sobie za czterdzieści milionów sestercyj szmaragdów i pereł, — Paulina umiera powoli na torturach. Wówczas Agrypiny nie już nie dzieli od tronu. Synowica zaślubia stryja. Zostałem przysposobiony przez Klaudyusza i Senat mianuje Agrypinę *Augustą*.

— To nie wszystko — mówił dalej Neron, chwytając za ręce Akteę, która usiłowała zasłonić sobie uszy, aby nie słyszeć, jak syn oskarżał swą matkę. — Dnia pewnego Klaudyusz skazał na śmierć cudzołożnicę. Wyrok ten przejął trwogą Agrypinę i Pallasa. Nazajutrz cesarz obiadował w Kapitolium z kapłanami. Jego niewolnik, Halotus, zastawił mu półmisek grzybów, zaprawionych przez Lokustę; lecz gdy doza trucizny nie była dość silną i Klaudyusz, powalony na łożo, pasował się ze śmiercią, lekarz jego, Ksenofon, pod pozorem sprawienia mu ulgi, wprowadził do gardła jego pióro zatrute i po raz trzeci owdowiała Agrypina. Wszak zamilczała o tej pierwszej części swoich dzieł, swoich szlachetnych czynów, nieprawdaż? Zamilczała i zaczęła odtąd, jak mnie wyniosła do władzy sądząc, że sama pod mojem panować będzie imieniem, że będzie ciałem a ja cieniem, rzeczywistością a ja marą. Jakoż odtąd miała straż pretoryańską, przewodniczyła w Senacie, wydawała wyroki, skazała na śmierć wyzwolenca Narcyssa, na otrucie prokonsula Juliusza Sylana. Gdy dnia pewnego uskarżałem się,

że mię zupełnie od władzy usuwa, oświadczyła, że za wiele mam władzy jak na przybłądę, na dziecko przysposobione i że, szczęściem, ona i bogowie zachowali życie Brytannika!... Przysięgam ci, że gdy to mi mówiła, nie myślałem wtedy wcale o tem dziecku, jak dziś daleką ode mnie była myśl o Oktawii. Właśnie ta pogroźka, a nie trucizna, stała się dlań ciosem zabójczym.

— O! zamilez! zamilez! — powtórzyła przerażona Aktea.

— Nieprawdaż, że dziwnym jest nasz ród? — ciągnął szyderczo Neron, jakby naigrawając się z jej trwogi. — Dziwny ród... To też czynią nas bogami, nie uznając za właściwe, byśmy za ludzi byli uważani. Mój wuj udusił swego opiekuna w poduszce, a swego teścia w kąpieli. Mój ojciec, na Forum, wysadził łaską oko patrycyuszowi; na drodze Appijskiej zgruchotał pod kołami wozu młodego Rzymianina, który niedosyć szybko ustąpił mu z drogi; a raz, u stołu, przy młodym cesarzu, któremu towarzyszył na Wschód, zamordował nożem do krajania potraw swego wyzwolenca, który pić nie chciał. Jużem ci powiedział, co uczyniła moja matka: zabiła Passiena, zabiła Sylanusa, zabiła Lollię Paulinę, zabiła Klaudyusza, ja zaś, ja ostatni, na którym gaśnie imię rodu mojego, gdybym był tylko cesarzem, a nie zarazem synem miłującym, zabiłbym moją matkę!...

Aktea wydała krzyk okropny i padła na kolana, wyciągając ręce ku cesarzowi.

— Co czynisz? — rzekł Neron, uśmiechając się z dziwnym wyrazem — bierzesz za prawdę żart. Tak, żart, kilka wierszy, co mi zostały w pamięci

Neron.

z „Oresta“, którego niedawno opiewałem, a które zmieszaly się z moją prozą. Uspokój się, przestań być dzieckiem. Czy przyszedł tu modlić się? Czym cię sprowadził na to abyś ścierała sobie kolana i wykręcała ręce w tej błagalnej postawie? Dalej, podnieś się! Alboż to ja cesarz, Neron? Alboż Agrypina moją matką? Wszystko to śniło się tobie, moja piękna Koryntyanko: jam Lucjusz, atleta, woźnica, śpiewak o tkliwym głosie z lutnią złotą i nie więcej.

— Ach! — westchnęła Aktea, opierając głowę na ramieniu Lucjusza — sądziłabym istotnie, że mi się śni to wszystko i że się zaraz przebudzę w domu mojego ojca, gdybym w głębi serca nie czuła prawdy mojej miłości. O Lucjuszu, Lucjuszu, nie czyni sobie ze mnie igraszki!... Czy nie widzisz, że tylko na wątlej nici zawieszona nad przepaścią piekieł? Ulituj się nad moją słabością, ratuj mieszający się rozum...

— Skądże ta bojaźń, ten niepokój? Czy moja Helena nie jest ze swego Parysa zadowolona? Czy pałac, w którym mieszka, nie zdaje się jej dosyć wspaniałym? Każemy postawić jej inny, o srebrnych kolumnach i złotych kapitelach. Czy jej uchybili niewolnicy? Ma ona nad nimi prawo życia i śmierci. Czego chce? czego pragnie? Wszystko, czem człowiek, cesarz, czem bóg może obdarzyć, na jedno swoje skinienie otrzyma.

— Wiem, żeś potężny; wierzę, że mnie kochasz; wierzę też, że uczynisz wszystko, o co cię tylko poproszę, wszystko,—ale nie napełnisz ukojnym spokojem mej duszy, nie zdołasz uszczęśliwić mnie przekonaniem, że należysz tak wyłącznie do mnie, jak ja do ciebie należę. Wiem teraz, czuję, widzę, że potężna

część twojej istności ulatuje ode mnie, powleka się cieniem i ginie w mrokach. Rzym, państwo, świat, woła ciebie! Jesteś moim tylko na chwilę... Masz tajemnice, które nie mogą być mojemi tajemnicami, nienawiści, których nie mogę podzielać, miłości, których znać nie powinnam. Wśród naszych najczulszych wynurzeń, najśodszych rozmów, drzwi się otworzą, jak się właśnie otwierają w tej chwili i wyzwoleniec z obliczem oniemiałem da ci znak tajemniczy, którego nie będę mogła, nie powinna będę zrozumieć... Patrz, przecucia moje uczynają się spełniać.

Wskazała drzwi, w których stanął wyzwoleniec.

— Czego chcesz Anicetusie? — zapytał, zwracając się do niego, Neron.

— Ta, którą boski cesarz zawezwał, czeka na jego rozkazy.

— Powiedz, że wnet tam idę.

Wyzwoleniec wyszedł.

— Widzisz — szepnęła Aktea, wpatrując się ze smutkiem w kochanka.

— Nie rozumiem cię — rzekł Neron.

— Kobieta czeka na ciebie.

— Nie przeczę.

— Uczułam, że wzdrygnąłeś się, gdy ci ją oznajmiono.

— I podejrzewasz w tem może oznakę miłości?

— Ta kobieta, Lucjuszu...

— Mów... czekam.

— Ta kobieta...

— Cóż więc, ta kobieta?

— Ta kobieta nazywa się Poppea?

— Mylisz się — odpowiedział lodowatym głosem Neron — ta kobieta nazywa się Lokusta...

## IX

Neron wstał i udał się za wyzwoleniec.

Po przebyciu kilku zakrętów tajnymi korytarzami, znanymi tylko cesarowi i jego najzaufanszym niewolnikom, weszli do małej izby bez okien. Światło i powietrze przenikało do niej z góry otworem, który jednak, jak się zdaje, był głównie przeznaczony do usuwania wyziewów, unoszących się z pieców spiżowych, w tej chwili zimnych, ale napełnionych węglami, oczekującymi na rozpalenie za pomocą iskry i mieszka. Przy ścianach stały jakieś narzędzia z gliny i szkła, których kształty dziwaczne, przypominały jakby ryby i ptaki. Rozmaitych rozmiarów naczynia, zamknięte starannie pokrywami, na których widniały napisy, kreślone nieznanymi charakterami, stały na umieszczonych dokoła izby podstawach, opasując tę czarnoksiężką pracownię, nakształt owych pasów tajemniczych, któremi owijano mumie. Nad tem wszystkim wisały na złotych łańcuchach, przytwierdzonych do takichże haków, zioła suche i świeże, zbierane w porze zalecanej przez magów, to jest na początku kanikuly, gdyż wtedy czarodzieje nie są dostępni dla blasku słońca i księżyca. Wisały też przeróżne słoje i puzdra, z których jedno zawierały owe słynne maści, czyniące człowieka niezwyciężonym, sporządzane z wielkim nakładem i trudem z głowy i ogona węża skrzydlatego, z włosów

wyrwanych ze łba tygrysa, ze lwiego szpiku i z piany konia zwycięzcy; w innych mieściły się potężne talizmany ze krwi bazyliuszka, zwanej także krwią Saturna, które zapewniają ziszczenie wszelkich życzeń; w innych nakoniec znajdowały się osobliwości, cenione na wagę dyamentów, a pomiędzy nimi było kilka cząstek tej niezmiernie rzadkiej wonności, którą dotąd jeden tylko Juliusz Cezar posiadał, a którą otrzymywano ze złota, na działanie ognia nigdy nie wystawionego. Między ziołami widniały wieńce ze słoneczników, kwiatu zapewniającego szczęście i sławę; pęki wrzosu afrykańskiego, rwanego ręką lewą z korzeniem i suszone w cieniu, dającego wesołość i radość; gdy skropiono *triclinium* odwarem z kilku liści w ten sposób zerwanej rośliny, nie było tak ponurego biesiadnika, tak surowego filozofa, któryby nie został natychmiast przejętym rozkosznym uczuciem wesołości.

Kobieta w czarnej szacie, z podniesioną z jednej strony do kolana fałdą, za pomocą złotej zapy, przyczepionej do przepaski, trzymająca w lewej ręce różdżkę czarodziejską, która też wskazywała ukryte skarby, czekała na Nerona w tej izbie. Siedziała zamysłona tak głęboko, że nie zauważyła przybycia cesarza. Neron zbliżał się do niej powoli, a na obliczu jego malowała się obawa, wstręt i wzgarda. Stanąwszy przed nią, skinął na Anicetusa, który dotknął ręką ramienia czarnoksiężnicy. Ta podniosła głowę powoli, wstrząsając nią dla odrzucenia włosów, które jakby zasłona twarz jej okrywały, ile razy miała czoło spuszczone. Była to kobieta od lat trzydziestu pięciu do trzydzie-

stu siedmiu, piękna niegdyś, ale uwiedła przed czasem wskutek bezsenności, rozpusty i może wyrzutów sumienia.

Nie podnosząc się z miejsca, siedząc z posągową nieruchomością, zwróciła się do Nerona z zapytaniem:

— Czego chcesz jeszcze ode mnie?

— Przedewszystkiem powiedz mi, czy pamiętasz przeszłość?

— Spytaj Tezeusza, czy pamięta otchłań.

— Wiesz, że cię wydobyłem z podziemnego więzienia, gdzie powolnie konałaś wśród błota, które ci służyło za legowisko i gadów, które się roily na twojem ciełe.

— Było tak zimno, żem tego nie czuła.

— Wiesz, że cię umieściłem w domu, który umyślnie kazałem zbudować dla ciebie, a który ozdobiłem, jak dla kochanki. Przemysł twój nazywano zbrodnią: ja go nazwałem sztuką; przesładowano twóich współników: jam ci dał uczniów.

— A ja ci wzamian oddałam połowę potęgi Jowisza... nagięłam pod twe rozkazy — śmierć, tę ślepa i głuchą córę snu i nocy.

— To dobrze, widzę, że masz pamięć. Wezwałem cię...

— Kto ma umrzeć?

— Musisz to sama odgadnąć, ja ci tego powiedzieć nie mogę. Jest to wróg zbyt niebezpieczny, abym mógł nawet posągowi milczenia imię jego powierzyć. Bądź jednak ostrożną: nie chcę bowiem, aby trucizna była tak powolna, jak dla Klaudyusza, albo, żeby zawiodła w pierwszej próbie, jak na Brytanniku. Musi zabić w mgnieniu oka, nie dając czasu na wyrzeczenie

słowa lub danie znaku. Rozumiesz? Potrzeba mi takiej trucizny, jaką w tem samym miejscu ongi przygotowaliśmy, doświadczając jej siły na dziku.

— O! — rzekła Lokusta głucho — gdyby tylko szło o taką truciznę, a nawet o jeszcze straszniejszą, nie nad to łatwiejszego; lecz gdym ci przyrzadzała tę, o jakiej mówisz, wiedziałam dla kogo jest przeznaczoną; wiedziałam, że ma być zadana dziecku. Ale są ludzie, jak Mitridat, na których najsilniejsza trucizna żadnego nie wywiera wpływu, gdyż stopniami przyzwyczaili swój żołądek do znoszenia soków najjadowitszych, przypraw najśmiertelniejszych. Gdyby sztuka moja miała się spotkać z jedną z tych żelaznych natur, trucizna okazałaby się bezskuteczną, a ty powiedziałabyś, żem cię oszukała.

— I wtrąciłbym cię napowrót — dodał Neron — do więzienia, w którym ongi pozostawałaś, powierzyłbym cię znowu straży Polliona Juliusza. Uczyniłbym to z pewnością. Zastanów się więc.

— Wymień mi ofiarę, a otrzymasz odpowiedź.

— Powtarzam, że nie mogę, nie chcę ci jej wymienić. Czy nie posiadasz sztuki odgadywania? czarów, za pomocą których stawia się przed twemi oczymary w zasłonach, od których możesz się wszystkiego dowiedzieć. Probój. Sam nie chcę wskazać ci ofiary, ale nie wzbraniam ci odgadnąć.

— Nic tu nie mogę uczynić.

— Nie jesteś przecież uwięziona.

— Powrócę za dwie godziny.

— Będę ci towarzyszył

— Nawet na górę Eskwilińską?

- Wszędzie.
- I pójdziesz sam jeden?
- Sam, jeżeli tego potrzeba.
- Pójdź więc.

Neron dał znak Anicetusowi, aby się oddalił i sam udał się za Lokustą, nie mając innej broni prócz swego miecza. Niektórzy jednak utrzymywali, że dniem i nocą nosił na ciele pancerz w karpia łuskę, tak zręcznie wyrobiony, że się naginał do wszystkich poruszeń ciała, miał hart nieprzepuszczający najostrzejszego pocisku, wyrzuconego z najsilniejszej dłoni.

Szli ciemnymi ulicami Rzymu, bez niewolnika i światła, aż do Velobrium, gdzie był dom Lokusty. Czarodziejka zapukała we drzwi trzy razy: otworzyła stara niewiasta, dopomagająca jej w czarodziejskich czynnościach i usunęła się na bok z uśmiechem, widząc pięknego młodziana, który przybywał pewnie, jak wniośła, aby dostać napoju miłosnego. Lokusta otworzyła drzwi swej pracowni i skinęła na cezara, aby wszedł za nią.

Zbiór dziwnych i strasznych przedmiotów uderzył oczy Nerona: mumie egipskie i kościotrupy etruskie stały przy ścianach; krokodyle i ryby kształtów osobliwych wisały pod sufitem na niewidzialnych niciach żelaznych; postacie z wosku rozmaitej wielkości stały na podstawach, z igłami lub sztyletami w sercu. Wśród tego zgrozę i lękiem przejmującego zbiorowiska, latała bez szelestu sowa spłoszona i przysiadła co chwila tu i owdzie, złowrogo klekocząc dziobem i błyskając ślepiami, podobnemi do rozżarzonych węgli; w kącie izby, czarna owca beczała smutnie, jakby przeczuwając

los ją oczekujący. Po nad te ponure głosy wzbijały się dziwnie przejmujące jęki, które zwróciły uwagę Nerona. Zaczął się starannie rozpatrywać i spostrzegł pośrodku izby jakby wyrastający z ziemi jakiś przedmiot, którego kształtów nie mógł zrazu rozróżnić. Była to głowa ludzka. Oczy jej zdradzały życie, szyje zaś opasywał wąż, którego język ruchliwy, czarny, zwracał się co chwila, jakby z obawą, ku Neronowi, potem zatapiał się w misie mleka, stojącej w bliskości. Około tej głowy były ustawione, jakby około Tantala, napoje, potrawy i owoce, widocznie w celu zadania niemogącym dosięgnąć ich ustom straszliwych męczarni. Ta właśnie głowa wydawała owe przejmujące skargi.

Tymczasem Lokusta rozpoczęła swe czarodziejskie czynności. Skropiwszy cały dom wodą z jeziora Awerneńskiego, rozpałała ogień z gałęzi cyprysów i sykomorów, ułamanych z drzew, rosnących na grobach, rzuciła nań pierze sowy, skropione juchą ropuchy i dodała ziół, uzbieranych w Jolkos i w Hibernyi. Nachyliwszy się nad tym ogniem, mruczała wyrazy niezrozumiałe: potem, gdy zaczął gasnąć, rozejrzała się dokoła, jak gdyby czegoś szukając, a nie mogąc znaleźć, świsnęła przenikliwie. Na ten znak, wąż podniósł głowę, wyprężył się do pół ciała; usłyszawszy drugie świnięcie, rozwinął się zwolna; gdy wreszcie czarownica świsnęła po raz trzeci gniewnie i nagle, gad przyczołgał się ku niej zwolna i bojaźliwie. Czarownica ujęła go tuż przy łbie i zbliżyła ku płomieniom ogniska. Gad całym swem ciałem owinał się dokoła ręki czarownicy i zaczął wydawać sykania bolesne; czarownica jednak wciąż go trzymała przy ogniu, dopóki jado-

wita paszcza nie okryła się pianą, której kropel kilka stoczyło się w płomienie. Tego tylko chciała Lokusta; niezwłocznie też puściła węża, który uciekł szybko, opasał piszczel kościotrupa, wpełzł po nim do wnętrza klatki piersiowej, gdzie drżał z bóleści, zadanej przez ogień.

Wówczas Lokusta zebrała popioły ogniska i dotlewające węgle do amiantowej tkaniny, ujęła powróż, do którego była owca czarna przywiązana i zwracając się ku Neronowi, przypatrującemu się tajemniczym praktykom z nieczułością posągu, zapytała go — czy wciąż trwa w postanowieniu towarzyszenia jej na górę Eskwilińską. Neron odpowiedział skinieniem głowy, poczem wyszli zaraz oboje.

Gdy drzwi zamykali, dał się słyszeć głos błagający o litość z taką boleścią, że Neron nawet uczył się wzruszonym i chciał zatrzymać Lokustę; ale czarownica odpowiedziała, że najmniejsze opóźnienie uniemożliwi zamierzone dzieło lub co najmniej znacznie je odwlecze, to zaś jej objaśnienie zniewoliło Nerona do pospieszenia za nią. Domyślał się zresztą Neron, którego praktyki czarodziejskie nie były obce, co znała owa głowa jęcząca. Była to głowa zagrzebanego w ziemię po szyję dziecka, które czarownica udreślała głodem i pragnieniem, zwiększając męczarnie widokiem tuż przy ustach nieszczęsnej ofiary zastawionego jada i napoju, aby po jej śmierci, ze szpiku jej kości i z serca, wyschłego z rozpacz, przygotować ów słynny napój miłosny, który bogaci rozpustnicy rzymscy lub kochanki cesarów opłacali tak drogo, iż za tę cenę całą kupić można było prowincję.

Neron i Lokusta, podobni do dwóch cieniów, szli czas niejaki w milezeniu krętymi ulicami Velobrium; przeszli potem około muru wielkiego cyrku i stanęli u podnóża Eskwilinu. W tej chwili księżyc, w pierwszej swej kwadrze, wychylił się z po za szczytu wzgórza; zaraz też odbiły się na usrebrzonym błękitnie nieba mnogie krzyże, na których wisały, przybite ćwiekami, ciała złodziej, morderców i chrześcijan, jednaką karą dotkniętych. Neron sądził zrazu, że czarownica którego z tych trupów do swych praktyk użyje; ale przeszła koło nich nie zatrzymując się i ukłękawszy na małej wyniosłości, zaczęła, jak hyena, grzebać dół rękami; potem w wykopaną jamę wyspała resztki przyniesionego w amiantowej tkaninie ogniska, przegryzła arterye szyi czarnej owcy i krwią, która popłynęła obficie, przygasiła tlejące jeszcze węgle.

W tej chwili księżyc spowinał się chmurą, jakby nie chcąc być świadkiem ohydnej sceny. Chociaż jednak ciemność górę okryła, Neron widział, jak przed wieszczbiarką zjawił się wyrosły z jamy cień, z którym przez kilka chwil szeptała pocichu; przypomniał sobie wówczas, że właśnie w tem miejscu została pogrzebaną zaduszoną za liczne morderstwa czarownica Kanidya, o której mówią Horacyusz i Owidyusz i nie wątpił, że z jej to cieniem przeklętym rozmawiała Lokusta. Po chwili mara znikła pod ziemią, księżyc znów zajaśniał na niebie i Neron spostrzegł zbliżającą się do niego wybladłą i drżącą Lokustę.

— Cóż więc? — zapytał.

— Cała moja sztuka jest tu bezsilną — odparła czarownica ponuro.

— Jako... więc nie posiadasz trucizn niezawodnie śmiertelnych?

— Na moje trucizny *ona* posiada broń niezwalczoną.

— Znasz więc tę, której śmierć przeznaczyłem?

— To twoja matka.

Neron czoło zmarszczył, milczał przez chwilę, poczem rzekł zimno:

— Wynajdę zatem inny sposób.

Oboje zeszli z góry przeklętej, a po chwili zniknęli w ciemnych i opustoszałych ulicach, wiodących z Velobrium do Palatynu.

Nazajutrz Aktea otrzymała od swego kochanka pismo, polecające jej, aby się udała do Bai, gdzie przybyć miał z Agrypiną, na obchód uroczystości Minerwy.

## X

Ośm dni upłynęło od wycieczki Nerona do Lokusty. Była godzina wieczorna. Księżyc podniósł się zwolna z po za Wezuwiusza i rozlewał swe promienie po całym wybrzeżu neapolitańskim. W srebrzystym jego świetle błyszczała odnoga Puzzoli, którą ciemną linią przerywał ów most niedorzeczny, przerzucony od jednego do drugiego jej brzegu, z porady astrologa Trazyllesa a na rozkaz trzeciego cesarza, Kaja Kaliguli. Na brzegach jej, tworzących doskonale niemal półkole, zatoczone od Pauzylipu do przylądka Mizeńskiego, gaśły jedne po drugich światła miast, wsi i willi

rozkosznych, przeglądających się w tych falach, współzawodniczących z modremi wodami Cyrenaiku. Wśród powszechnego milczenia, ślizgały się jeszcze tu i owdzie łodzie zapóźnione, zmierzające przy pomocy trójkątnego żagla, lub podwójnego wiosła, do portu Oenaryi, Procity albo Bai. Znikła nakoniec ostatnia z tych łodzi, zatoka opustoszała, tylko kilka statków, uwiązanych do brzegu, naprzeciw ogrodów Hortensyusza, między willą Juliusza Cezara i pałacem Bauli, kołysało się sennie na falach wśród ciszy nocnej.

Żaden obłok nie zasnuwał wspaniałego lazuru nieba, żadna fala nie marszczyła zwierciadlanej powierzchni morza, w której przeglądał się księżyc, majestatycznie płynący wśród niebiańskiej przezroczności.

Już zagasty ostatnie światła Puzzolli i tylko latarnia Mizeńskiego przylądka płonęła jeszcze, jak pochodnia w ręku olbrzyma. Była to jedna z owych nocy rozkosznych, podczas których Neapolis, ta piękna córka Grecyi, rozpuszcza na wiatr swe pomarańczowe warkoczki i kapie w wodach marmurowe swe łono. Kiedy niekiedy rozlegało się w powietrzu jedno z tych tajemniczych westchnień, jakie ziemia uspiąca zasyła do nieba, a na widnokręgu wschodnim, dym biały Wezuwiusza podnosił się wśród tak spokojnej atmosfery, że zdawał się alabastrową kolumną, szczytami jakiegoś rozwalonego Babelu.

Nagle, wśród tej ciemności i milczenia, majtkowie spoczywający w łodziach, uwiązanych do brzegu, spostrzegli po za drzewami, przesłaniającymi Bauli, dymiące światła pochodni. Usłyszeli też wesole głosy, zbliżające się ku brzegowi. Po chwili z blizkiego ga-



ju pomarańczowego wyszedł świetny orszak, obłany potokami licznych światel, rozbrzmiewający wrzawą radością i skierował się ku statkom. Sternik najwspanialszego z nich, bogato rzeźbionej i uwienzionej kwiatami triemmy \*), kazał rozesłać purpurowy kobierzec na pomoście, łączącym brzeg ze statkiem, i rzuciwszy się na kolana, oczekiwał w postawie czei i trwogi pełnej, na zbliżających się, a snąc potężnych przybyśzów.

Jakoż na czele orszaku kroczył sam cesarz Neron. Szedł on z Agrypiną, a pierwszy to raz od śmierci Brytanika matka opierała się na ramieniu syna. Oboje, syn i matka, mieli twarze pogodne, rozradowane, rozmawiali serdecznie, zdawali się być w najlepszym porozumieniu. Zbliżywszy się do triemmy, orszak zatrzymał się, a Neron, wobec całego dworu, uściśnął matkę tkliwie, ze łzami w oczach, jak gdyby z wielkim żalem przychodziło mu się z nią rozstać; wreszcie, rzekomo gwałt sobie zadając, wyrwał się z jej objęć i zwracając się do przywódcy triemmy, rzekł:

— Anicetusie, powierzam ci moją matkę, pamiętaj, głową mi za nią odpowiesz!

Agrypina weszła na triemnę, która odplynęła powoli od brzegu. Neron stał czas pewien na brzegu, żegnając matkę czule głosem i znakami, a ta mu odpowiadała z okrętu. Dopiero gdy statek znacznie się już oddalił, Neron wrócił do Bauli, Agrypina zaś zeszła do przygotowanej dla siebie kajuty.

\*) Statek o trzech rzędach wiosel.

Zaledwie się położyła na łożu purpurowem, gdy podniosła się opona i młoda dziewica, blada i drżąca, padła jej do nóg, wołając:

— O moja matko! moja matko! ratuj mnie!

Agrypinę w pierwszej chwili przejęła trwoga, która jednak ustąpiła zdziwieniu, gdy poznała w przybyłej piękną Koryntyankę. Rzekła tedy, wyciągając do niej rękę:

— Aktea! Ty tu, na moim okręcie, błagająca o ratunek... I od kogoż mam ratować ciebie, dziecko drogie? Jesteś przecie zaiste potężną, skoroś mi syna miłość przywrócić zdołała?

— Ratuj mnie i broń od niego, ode mnie samej, od mojej miłości... Od tego dworu, który mnie przeraża; od tego świata, tak dla mnie nowego, niepojętego...

— Biedaczko, uspokój się najprzód — rzekła Agrypina. — Przypominam sobie, żeś znikła w połowie uczty. Neron pytał się o ciebie, kazał cię szukać. Dlaczegożeś uciekła?

— Dlaczego? Ty się o to pytasz? Czy może uczciwa kobieta... ach przebacz!... uczestniczyć w podobnej biesiadzie, na widok której rumieniłyby się ze wstydu same nawet nasze kapłanki Wenery? O moja matko!... Czyś nie słyszała tych pieśni? czyś nie widziała tych nagich niewiast... tych kuglarzy, których każde poruszenie było hańbą, nietyle dla nich, ile dla tych, którzy patrzeć na nich byli zmuszeni! Nie mogłam znieść podobnego widoku, uciekłam do ogrodów. Ale tam... znowu to samo... Te ogrody były za-

ludnione, jak starożytne lasy: przy każdym źródle mieszkała jakaś Nimfa bezwstydną; każdy krzak ukrywał jakiegoś rozpustnego Satyra... I czy dasz temu wiarę, matko? Między tymi mężczyznami i niewiastami, poznawałam matrony i patrycyuszów... Uciekłam więc z ogrodów z równą zgrozą, jak od stołu... Znalazłam się na drodze do morza, rzuciłam się na brzeg... postrzegłam triremę i poznałam, że to twoja. Oznajmiłam, że należę do twego orszaku i mam czekać na ciebie. Wpuszczono mnie, a wśród tych majtków, tych żołnierzy, tych ludzi nieokrzesanych, uczułam się spokojniejszą, zaczęłam oddychać swobodniej, niż u stołu Nerona, który przecież otaczały najznamienitsze postacie Rzymu.

— Biedne dziecię! Czegoż ode mnie żadasz?

— Schroniska w twoim domu przy jeziorze Lukryńskim, miejsca między twemi niewolnicami, zasłony, abym mogła pod nią ukryć wstyd, którym cała płonę...

— Nie chcesz już zatem oglądać cezara?

— O moja matko!...

— Chcesz go więc opuścić zbłąkanego, jak okręt bez sternika, na tem morzu rozpusty?

— O moja matko! gdybym go mniej kochała, mogłabym może przy nim pozostać; lecz czy możesz żądać ode mnie, abym patrzała na to, jak on obdarza miłością inne kobiety, powtarzając im to samo, co ja od niego słyszę? To niepodobna, żebym oddając mu wszystko, otrzymywała w zamian nie prawie... Zginęłabym sama wśród tego zgubionego i ztraconego świata; pozostając wśród tych kobiet, stałabym się do

nich podobną: nosiłabym sztylet u paska, truciznę w pierścieniu, a potem...

— Czego chcesz, Acerronio? — przerwała Agrypina, zwracając się ku młodej niewolnicy, która weszła w tej chwili.

— Czy mogę mówić? — szepnęła zapytana głosem stłumionym.

— Mów.

— Dokąd się udajesz, pani moja?

— Do mojej willi przy jeziorze Lukryńskim, wszakże wiesz o tem.

— Sądziłam, że tam dążymy i istotnie zrazu pływaliśmy w tę stronę, lecz nagle statek zmienił drogę i płynie teraz na pełne morze...

— Na pełne morze! — powtórzyła zaniepokojona Agrypina.

— Patrz — rzekła niewolnica, podnosząc zasłonę okna — latarnia przyładka powinna być już daleko za nami, a oto jest z prawej strony; zamiast zbliżać się ku Puzzoli, oddaliśmy się od niej całą siłą żagłów i wiosel.

— W samej rzeczy — szepnęła Agrypina — cóżby to miało znaczyć? Gallusie! Gallusie!...

Młody patrycyusz rzymski ukazał się we drzwiach — Agrypina zwróciła się do niego z poleceniem:

— Powiedz, Gallusie, Anicetusowi, że mówić z nim pragnę.

Gallus wyszedł z Acerronią.

Naraz kajutę zaległy ciemności.

— Sprawiedliwe bogi! — zawołała Agrypina — latarnie gasną jakby mocą czarów... Akteo, Akteo, coś Neron.

mi tu zgotowano niegodziwego... Ach! ostrzegano mnie, żebym nie jechała do Bauli, ale nie chciałam słuchać nierozsądna!... Cóż więc, Gallusie? — zapytała młodego patrycyusza, który wrócił do kajuty.

— Anicetus nie może stawić się na twe rozkazy: zajęty jest spuszczeniem łodzi na morze.

— Pójdę więc sama do niego... Ach!... co znaczy ten hałas nad nami... Na Jowisza! jesteście skazani... Oto okręt się rozpada!

Jakoż zaledwie Agrypina wyrzekła te słowa, rzucając się w objęcia Aktei, gdy runął z łoskotem unoszący się nad ich głowami pomost, tworzący sufit kajuty...

Agrypina i Aktea uważały się za zgubione; trafem jednak szczęśliwym, podpory baldahinu, wznoszącego się nad łóżem, były tak silne, że utrzymały ciężar walącego się sklepienia, którego drugi koniec zmiażdżył w swym upadku Gallusa, stojącego u wnijścia do kajuty. Agrypina i Aktea ocalały pod baldahinem.

Naraz zgiełk i wielkie krzyki rozległy się na pokładzie statku, jednocześnie pod kajutą dał się słyszeć szmer głuchy i obie kobiety uczuły, że podłoga usuwa się z pod ich stóp... Spód statku rozpadał się, jakby o skałę podwodną strzaskany, woda gwałtownie wdzierала się do wnętrza triremmy.

Agrypina domyśliła się strasznej prawdy: rzekoma katastrofa była wyrokiem cezara, po mistrzowsku obmyślonym i upozorowanym. Obejrzała się wokół: tu sufit zawieszony na włosku i grożący zmiążdżeniem — tam woda, wdzierająca się gwałtownie. Ale

okno było jeszcze otwarte: to jedyna droga ocalenia. Pociągnęła więc ku niemu Akteę, dając znak, aby milczała tem szybkim i nakazującym skinieniem, które mówiło, że tu idzie o życie, i obie, nie patrząc za siebie, bez wahania, bez mitręgi, wyskoczyły przez nie, trzymając się za ręce.

Mniemały w pierwszej chwili, że jakaś piekielna potęga wtrąciła je w najgłębsze morza otchłanie. Strzaskany statek, kołując, szedł na dno, a wir, przez niego tworzony, porwał je za sobą. Zanurzały się tak przez kilka sekund, które im zdawały się wiekiem. Ustała wreszcie ta siła pociągająca; uczuły zrazu, że się już przestają zagłębiać, potem, że płyną w górę, nakoniec, w pół omdlałe, wróciły na powierzchnię.

W tej chwili, jakby przez zasłonę, ujrzały jakąś głowę, ukazującą się przy łodziach, jednocześnie usłyszały rozpaczliwe wołanie:

— Jestem Agrypina, jestem matka cezara, ratujcie mnie!

Aktea także chciała wołać o pomoc, ale Agrypina zasłoniła jej usta dłonią, więc głos jej wydał tylko dźwięki stłumione i niewyraźne. Po chwili, Agrypina, utrzymująca się na wodzie jedną ręką, ukazała jej drugą wiosło, podnoszące się i rozbijające głowę Acerronii, która była tak niebaczna, iż wzywała na ratunek morderców, nasłanych na Agrypinę, mieniając się matką cezara...

Ocalone kobiety płynęły do brzegu, gdy tymczasem Anicetus, sądząc, że wypełnił ohydne zlecenie, zmierzał ku Bauli, gdzie oczekiwał nań cesarz. Niebo wciąż było czyste i morze spokojne; ale tak wielka

była odległość brzegu od miejsca, w którym Agrypina z Akteą rzuciły się do wody, że chociaż już płynęły więcej niż pół godziny, jeszcze się znajdowały o pół mili od lądu. A tu jeszcze Agrypina, wyskakując ze statku, zraniła się w ramię i teraz czuła, że jej prawa ręka drętwieje i staje się bezwładną. Rychle też postrzegła Aktea, że jej towarzyszka płynie z coraz większą trudnością; przesunęła się więc na drugą stronę i wsparłszy rękę Agrypiny na swej szyi, utrzymywała ją w ten sposób na powierzchni wody, chociaż matka cezara błagała ją, aby o sobie tylko myślała, a jej pozwoliła zginąć.

Tymczasem Neron wrócił do pałacu Bauli i zasiadając znów przy stole biesiadnym, przywołał nowe tancerki i nowych kuglarzy. Orgia rozpoczęła się w najlepsze. Po chwili cesarz ujął lirę i deklamował rapsod Homera o oblężeniu Troi. Wzdrygał się jednak raz po raz, czuł, że krew mu w żyłach lodowacieje i pot zimny występuje mu na czoło. Zdawało się mu bowiem, że powiew śmiertelny unosi się wśród rozkosznej atmosfery biesiady i owiewa całą jego postać. Naraz do komnaty wsunął się niewolnik i szepnął mu do ucha słów kilkoro. Poblądł Neron, rzucił lirę, zerwał z głowy wieniec i wybiegł z komnaty, nie rzekłszy słowa nikomu. Ale wszyscy domyślili się odrazu, że musiało się zdarzyć coś strasznego. Rychło też komnata biesiadna opustoszała, goście co do jednego opuścili ją, ogarnięci trwogą i przeczuciem zgrozy.

Neron udał się do swej komnaty i kazał przywołać Anicetusa. Ten, skoro tylko wrócił do portu, zdał zaraz sprawę, w jaki sposób wykonał zlecenie, a ce-

zar, ufając jego wierności, nie wątpił, iż mówi prawdę. Zdumiał się przeto powiernik, gdy Neron rzucił się do niego z wściekłością, wołając:

— Powiedziałeś mi, że nie żyje, a oto w tej chwili przybywa od niej posłaniec... Co to znaczy?!

— Musi więc chyba przybywać z piekieł — odparł, uszom nie wierząc, Anicetus. — Na własne oczy widziałem, jak statek strzaskany tonął, słyszałem też głos, wołający: — Jestem Agrypina, matka cezara, ratujcie! — Widziałem nadto, że wiosła zmiażdżyły głowę tej, co tak niebacznie ratunku wzywała!...

— Źleś widział, to Acerronia zginęła, a moja matka ocalała...

— Kto to powiedział?

— Wyzwoleniec Agerinus.

— Czy go widziałeś, panie?

— Jeszcze nie.

— Co rozkazuje uczynić boski cesarz?

— Mogęż na ciebie rachować?

— Życie moje należy do cezara.

— Udaj się do komnaty przyległej, a gdy zawołam o ratunek, wpadnij żywo, przytrzymaj Agerinusa i świadcz, żeś widział, jak miecz swój na mnie podnosił.

— Słowa twoje są prawem — rzekł Anicetus, zginając się kornie, poczem udał się do przyległej komnaty.

Neron, zostawszy sam, wziął zwierciadło, a widząc zmienioną twarz swoją, pokrył błądź jej różem; poprawiwszy potem pukle włosów na głowie i fałdy togi, jakby miał wystąpić na scenie teatru, poło-

żył się w wyszukanej pozie na łożu i czekał na posłańca Agrypiny.

Goniec ów przybywał z oznajmieniem, że matka cezara ocalała. Opowiedział dziwną katastrofę triremmy i dodał potem, że Augusta Agrypina uratowaną została przez łódź w chwili, gdy tracąc siły, tylko od bogów wyglądała zbawienia... Ta łódź z zatoki Puzzoli zawiozła ją nad jezioro Lukryńskie kanałem wykopanym z rozkazu Klaudyusza. Do willi przeniesiono Agrypinę w lektyce, tam poleciła zawiadomić syna o wypadku, że się znajduje pod strażą bogów, zaklina go przeto, aby wstrzymał swe odwiedziny, chociaż może pragnie ją zobaczyć, jest bowiem wyczerpaną i potrzebuje spoczynku.

Neron słuchał relacji uważnie, udając kolejno przestrah, zadziwienie i radość, stosownie do treści opowiadania; gdy się wreszcie dowiedział o rzeczy dla siebie najważniejszej, to jest o miejscu schronienia swej matki, cisnął miecz obnażony pod nogi wyzwolenca i zaczął wzywać ratunku. Natychmiast przybiegł z komnaty przyległej Anicetus, pochwycił posłańca Agrypiny i podniósł miecz, u nóg jego leżący, oddał go jako dowód rzekomego zamachu wraz z winowajcą pretoriańskiemu centuryonowi, przybyłemu ze swym oddziałem na wołanie cezara, poczem rozgłosił po całym pałacu, że Neron omal nie został zamordowanym z rozkazu swej matki.

Agrypina została uratowaną przez łódź rybacką późno wracającą do portu; ale przypuszczając, że zemsta Nerona może ją dosięgnąć nawet w jej willi ustronnej, nie chcąc przytem narazić na zgubę dziewczki, która

ocaliła jej życie, zapytała Aktei w chwili, gdy już wsiąść miała do łodzi, czy czuła się na siłach dostania się do brzegu, którego ciemna linia majaczyła w oddali. Aktea odgadła myśl Agrypiny, mimo to chciała koniecznie towarzyszyć jej do willi; matka cezara jednak rozkazała stanowczo, aby ją opuściła przyrzekając, że ją do swego orszaku przywoła, gdy się dostatecznie sama zabezpieczy. Usłuchać rozkazu musiała Aktea i lekka jak łabędź, szybko popłynęła ku przeciwnemu brzegowi.

Agrypina zbliżając się do ładu, zauważyła, iż całe wybrzeże dziwnie jest ożywione. Liczne światła snuły się w różnych kierunkach, słychać też było krzyki, których znaczenia trudno było zrozumieć. Zdradzały one jakąś trwożę i zamęt. Jakoż ów zamęt był sprawą Aniceta. Wróciwszy do Bauli, rozpuścił on wieść o rozbiciu się triremmy i zatonięciu matki cezara. Wieść ta poruszyła jej niewolników, klientów i przyjaciół, którzy niezwłocznie rozbiegli się po nad morzem w nadziei, że fale wyrzucą ją, wraz ze szczątkami statku, żywą lub umarłą. Gdy więc ukazał się biały żagiel, cała ta ciżba rzuciła się ku miejscu, w którym łódź miała przybić do ładu, a skoro dowiedziano się, że wiozła ona Agrypinę, żalobne okrzyki zmieniły się w wybuch wrzawy radosnej. Matka cezara, skazana na śmierć okropną w jednej stronie zatoki, wylądowała w drugiej z prawdziwym tryumfem, niesiona na ramionach sług swoich wśród niepohamowanego zapału ludności, która jej towarzyszyła aż do jej willi; potem cała ta ludność pozostała u drzwi, a zwiększając się z każdą chwilą, domagała się wrzaskliwie, iżby

ta, której Senat z rozkazu cezara przyznał tytuł Augusty, ukazać się raczyła raz jeszcze jej oczom.

Te dowody życzliwości nie były na rękę Agrypinie, przeciwnie, przejmowały ją trwoga, wszelką bowiem u ludu popularność Neron poczytywał niejako za występki, za uchybienie jego osobie, a zwłaszcza jeżeli otaczała tych, których on nienawidził lub na zgubę skazał. Wiedziała o tem dobrze Agrypina, dlatego też nie uczyniła zadość domaganiom się tłumy, ukryła się w swej sypialni, najustronniejszej ze wszystkich komnat willi i przywoławszy zaufanego wyzwolenca Agerinusa, rozkazała mu udać się do Nerona z wiadomem już nam zawiadomieniem. Potem kazała opatrzyć swe rany, oddaliła wszystkie kobiety i położyła się, osłaniając głowę płaszczem. Okrzyki wciąż trwały, Agrypinę zaś dręczyły najczarniejsze myśli. Znając syna wiedziała, iż nie poprzestanie on na nieudanym zamachu.

Nagle okrzyki umilkły, ustała wrzawa, zgasły pochodnie, których blask jaskrawy odbijał się w oknach jak luna pożaru. Dreszcz trwogi przebiegł Agrypinę, czoło jej zimnym oblało się potem, wiedziała bowiem, że nie bez przyczyny nastąpiła ta zmiana — coś straszego snąć uciszyło wrzawę i zgasilo światła. Jakoż wkrótce dał się słyszeć odgłos zbrojnej gromady, wkraczającej na podwórzec willi, a następnie do przedsionków i komnat.

Agrypina przysłuchiwała się tym groźnym wiadomościom z zapartym w piersi oddechem. Nie ruszała się z miejsca, nie mogła bowiem nawet marzyć o ukryciu się lub ucieczce. Wreszcie drzwi sypialni rozwarły

się, a w nich stanął wyzwoleniec Anicetus, tetrak Hercules i centuryon morski Olaribus.

Spostrzegłszy Anicetusa, którego znała jako powiernika i niekiedy wykonawcę krwawych rozkazów Nerona, Agrypina zrozumiała, że jest zgubioną. Nie uciekając się tedy do błagań, rzekła spokojnie:

— Jeżeli przybywasz jako posłaniec, oznajm synowi mojemu, żem zdrowa; jeżeli zaś jako kat, czyń twoją powinność.

Za całą odpowiedź Anicetus obnażył miecz, zbliżył się do łoża, Agrypina zaś, zrzucając okrywający ją płaszcz, te tylko słowa rzekła do mordercy:

— Więc uderzaj!

Anicetus wznosił miecz i zadał jej cios niezawodny. Nie zawahał się, nie zadrżała mu ręka — był zaprawiony w rzemiośle siepacza.

Tymczasem Aktea, rozstawszy się z Agrypiną, płynęła ku brzegowi; gdy się już do lądu zbliżała, ujrzała pochodnie i usłyszała krzyki, których znaczenia nie umiała sobie wytłumaczyć. Czując się jeszcze dość silną, postanowiła, przez ostrożność, wyjść na brzeg z drugiej strony Puzzoli. Aby się jeszcze lepiej ukryć, płynęła około mostu Kaliguli, trzymając się w ciemnym pasie cienia, który na powierzchni morza rzucał i chwytając się co chwila za pale, dla wzmocnienia sił przez chwilowy chociaż spoczynek. Znalazłszy się o trzysta kroków od końca mostu, spostrzegła błyszczące w świetle księżyca hełmy wartowników; zwróciła się więc znowu ku morzu, chociaż siły już ją opuszczały, drętwiały ręce, a piersi z trudnością chwytwały powietrze.

Ujrzała nakoniec, nizki, ciemny i samotny brzeg, dogodny do wylądowania, więc chociaż ją jeszcze dolatywały z Bai okrzyki i chociaż widziała migocące w tamtej stronie światła, zwróciła się do owego brzegu. Naraz zaczęło się z nią dziać coś dziwnego. W jej oczach wszystko zaczęło się mącić, przesłaniał je jakiś obłok, wśród którego snuły się błyskawice; uszy jej napełnił szum wzmagający się nieustannie, jak gdyby morskie potwrcy były koło niej morze swemi pletwami; chciała krzyknąć, wołać o pomoc, lecz usta jej napełniły się wodą i bałwan przeleciał przez głowę.

Czuła Aktea, że zginie, jeżeli wszystkich sił swoich nie wyteży; konwulsyjnym rzutem zdołała wychylić się do połowy ciała po nad powierzchnię morza, co jej pozwoliło głębiej odetchnąć i nieco więcej zaczerpnąć powietrza. Spostrzegła teraz upragniony brzeg znacznie bliżej, ostatnim wysiłkiem zwróciła się ku niemu. Po chwili wszakże czuła, że ją ogarnia odrętwienie, myśli bez związku i ładu tłoczyły się do jej głowy, przed oczyma snuł się istny chaos obrazów... Stało przed nią wszystko, co miała najdroższego na świecie, przesunęło się przed nią całe jej życie... Widziała sędziwego ojca, wyciągającego do niej ręce, wzywającego ją na brzeg, ale jakaś siła fatalna odbierała władzę jej członkom, ciągnąc ją w głębię morza. Zabrzmiała potem w jej uszach i zajaśniała świetnym blaskiem biesiada rozpustna. Neron śpiewał bezwstydne strofy, jego ulubieńcy przyklaskiwali mu, tancerki wykonywały ohydne płasy, obrażające jej oczy. Chciała uciekać, ale nogi jej zaplątały się w girlandach kwiatów. W tych usiłowaniach zwróciła oczy ku przedSIONKOWI

i tam ujrzała majestatycznego starca, z obliczem pełnem dobroci, który ją wołał do siebie skinieniem. Dokoła jego skroni błyszczał krąg świetlny, rozjaśniający całą tę postać czcigodną. Aktea nie mogła oczu oderwać od jego oblicza. On powtórzył znak wzywający, Koryntyanka zaś zrozumiała, że zostanie ocaloną, jeżeli się zdoła zbliżyć do niego. Naraz Aktea czuła, że tonie i krzyknęła rozpaczliwie. Wydało jej się, że jakiś głos jej odpowiedział, lecz w tej chwili nowa fala wody rzuciła się na nią. Teraz zdało się jej, że jest niesiona jakby we śnie, potem, że stacza się ze stromej góry. U podnóża tej góry natknęła się na ostry kamień, czuła ból przejmujący, aż wreszcie w zupełną zapadła niepamięć.

Gdy przyszła do siebie, była noc jeszcze; leżała na brzegu owinięta płaszczem szerokim, a człowiek jakiś, klęczący obok, unosił jej głowę. Podniosła oczy ku zbawcy swemu i, rzecz dziwna, poznała starca, którego widziała w przedSIONKU komnaty biesiadnej. Była to ta sama postać łagodna, czcigodna, cicha, tak, iż mniemała, że wciąż jeszcze marzy.

— Mój ojcie! — wyszeptła — zawołałeś mię do siebie — i oto jestem. Ocaliłeś mi życie — wyjaw mi przeto swe imię, abym je mogła błogosławić...

— Imię moje Paweł — rzecze starzec.

— Kto jesteś?

— Apostoł Chrystusa.

— Nie rozumiem cię — rzekła Aktea — ale mniejsza o to — ufam ci, jak ojcu. Prowadź mię, gdzie zechcesz, a pójdę bez wahania.

Starzec wstał i powiodł ją za sobą.

## CZEŚĆ DRUGA.

### I

Neron przepędził resztę nocy bezsennie i w nieustannej obawie; nie był pewny, czy Anicetus potrafi zbliżyć się do jego matki, sądził bowiem, że się tylko na chwilę zatrzymała w swej willi i że to, co mu kazała powiedzieć o potrzebie spoczynku, było tylko środkiem zyskania czasu i udania się bez przeszkody do Rzymu. Już widział w zatrużonej wyobraźni, jak wyniosła i z silnem postanowieniem zemsty wjeżdżała do stolicy, jak przemawiała do ludu, uzbrajała niewolników i rozkazywała zwołać Senat, aby przed nim domagać się sprawiedliwości za potworny zamach na morzu, za swe rany, za swych zamordowanych przyjaciół. Na każdy szelest drżał jak dziecko. Mimo bowiem swej władzy, obawiał się matki bardzo: wiedział dobrze, do czego była zdolną, a biorąc miarę z tego, co uczyniła dla wywyższenia go, przewidywał też, co może uczynić w celach zemsty.

Dopiero nad ranem przybył do pałacu Bauli niewolnik Anicetusa, a stanąwszy przed cezarem, padł

na kolana i oddał mu własny jego pierścień, powierzony mordercy na znak nieograniczonej swobody działania. Zwrót tego pierścienia był znakiem, że krwawe zlecenie wypełnionem zostało. Zobaczywszy pierścień, Neron zerwał się z łoża i zawołał z tryumfem:

— Nareszcie! Teraz dopiero czuję się sobą, czuję się panem i władcą. Zawdzięczam to Anicetusowi, i niech będzie pewny, że nie zapomnę mu tego.

Uznał jednak za rzecz stosowną uprzedzić wieści i omylić domysły, co do przyczyn istotnych śmierci swej matki. Kazał więc napisać do Rzymu, że pochwycono w jego komnacie uzbrojonego sztyletem, dla zadania mu śmierci, Agerinusa, wyzwolenca i powiernika Agrypiny; że ta, dowiedziawszy się o odkryciu jej spisku, w obawie zemstu Senatu, sama pozbawiła się życia; dodał, że oddawna było jej zamiarem pozbawić go władzy i że mniemała, iż po śmierci cezara, zdoła nakłonić lud, pretoryanów i Senat do zaprzysiężenia jej posłuszeństwa; że wszystkie wygnania osób najznakomitszych były jej dziełem, a na dowód przytaczał Waleryusza Kapito i Licynusa Gabolusa, dawnych pretorów, tudzież Junię Kolwinę, siostrę Syllanusa, narzeczonego Oktawii. Mówił także o jej rozbiciu na morzu, jako o zemście bogów, spotwarzając nieba i kłamiąc wobec ziemi. Cały ten list napisał Seneka, Neron bowiem drżał tak silnie, iż zaledwie mógł go podpisać.

Ale po ochłonięciu z pierwszych wrażeń, jak biegły aktor, zajął się bardzo pilnie odegraniem roli zrozupezonego syna. Starł więc róż z twarzy, rozwiązał włosy i rozpuścił je na ramiona, a zamieniwszy białą



tunikę świąteczną na szatę ciemnego koloru, wyszedł ze swej komnaty i ukazywał się pretoryanom, dworzanom, a nawet swym niewolnikom, z obliczem posepnem i zboląłem.

Wyraził potem chęć zobaczenia raz ostatni swej matki; niezwłocznie też kazał sprowadzić łódź właśnie do tego miejsca, w którym dnia poprzedniego pożegnał się z nią tak serdecznie i tkliwie. Przepłynąwszy zatoke, w której ją chciał utopić, przybił do brzegu, na który ona wysiadła raniona i umierająca, i udał się do willi w towarzystwie Seneki, Borrusa, Sporusa i kilku jeszcze dworzan.

Przeszedł schody krokiem poważnym, jak przystało na zboląłego syna, który ma oglądać zwłoki ukochanej swej matki. Zbliżywszy się potem do korytarza, wiodącego do jej komnaty, dał znak ręką, aby nie szli dalej ci, którzy mu towarzyszyli, zatrzymując tylko Sporusa, jak gdyby nie chciał mieć świadków swej rozpaczki. U drzwi stanął na chwilę, wsparł się o ścianę i zasłonił twarz połą od płaszcza, jakby dla ukrycia łez, w istocie zaś dla otarcia potu, spływającego po czole; wreszcie otworzył drzwi nagłym i stanowczym ruchem i wszedł do komnaty.

Agrypina leżała na swem łożu. Musiał zapewne morderca wszelkich użyć starań, aby na twarzy nie było śladów zbrodni: trwogi, przerażenia, przymusu, gdyż zdawało się, że spała; przykrywał ją płaszcz tak, iż tylko odkrytą była głowa, część piersi i ramiona, którym śmierć nadała pozór ciemnego, niebieskawego marmuru.

Neron stanął przy łożu, mając zawsze przy so-

bie Sporusa, którego oczy, więcej jeszcze nieczule i zimne niż jego pana, patrzyły się na trupa z obojętną ciekawością, jak na posąg zwalony z podstawy. Po chwili rozjaśniło się matkobójcy oblicze: wszystkie jego powątpiewania rozwiały się, wszystkie obawy przysły— teraz świat, władza, przyszłość do niego należą wyłącznie. Nikt nie ośmielił się stanąć przeciw jego potędze, bo ta, której się najbardziej lękał, z wszelką pewnością nie żyje.

Z nadejściem dnia, w zatoce i na wybrzeżu rozpoczęło się zwykle życie; każdy wziął się do swoich zajęć codziennych, nie przewidując, jak straszne zaszyły podczas nocy wypadki. Naraz rozeszła się wieść o śmierci Agrypiny, wzbudzając silny niepokój wśród ludności. Mówiono głośno o niebezpieczeństwach, jakich cesarz uniknął i dziękując bogom za jego ocalenie, gromadzono się około stosu, który wyzwoleniec Munster, z pomocą kilku niewolników, układał przy drodze Mizeńskiej, w pobliżu willi Juljusza Cezara.

Wrzawa ta, zgiełk i zamieszanie nie dochodziły schronienia, do którego Paweł zaprowadził Akteę. Był to mały, ustronny domek na wysokości przylądka od strony Nizydy, zamieszkały przez rodzinę rybaka. Choć i Paweł zdawał się obcym tej rodzinie, widoczną jednak władzę nad nią posiadał; ale posłuszeństwo, jakie mu okazywano, nie było bynajmniej niewolnicze, lecz pełne miłości i uszanowania: była to władza ojca nad dziećmi, patriarchy nad służebnikami, apostoła nad uczniami.

Wyczerpana niezwykle przygodami, Aktea potrzebowała wypoczynku; uległa tedy naleganiom przez

los zestanego opiekuna i zasnęła. Ten zaś siadł przy niej, jak ojciec u łóżnicy dziecięcia, i z okiem w niebo wlepionem, zatopił się w głębokich rozmyślaniach; gdy więc otworzyła oczy dziewica, ujrzała go przy sobie i chociaż z chwilą przebudzenia wszystkie bolesne wspomnienia nią owładły, uśmiechnęła się smutnie i szepnęła, wyciągając doń rękę:

— Czuwasz, mój ojciec?

Starzec, obrzuciwszy ją wzrokiem badawczym, zapytał:

— Ty cierpisz?

— Ja kocham — odparła dziewica.

Po chwili milczenia, Paweł zapytał znowu:

— Czego pragniesz?

— Schronienia, w którym mogłabym myśleć o nim i płakać.

— Czy czujesz się na siłach pójść ze mną?

— Idźmy — rzekła Aktea, usiłując powstać.

— Niepodobna w tej chwili, moja córko: jak ty chronisz się przed namiętnością, tak ja przed surowością tych, którzy mnie osądzili; możemy drogę naszą odbywać tylko w ciemnościach. Czyś gotowa pójść ze mną wieczorem?

— Chętnie, mój ojciec.

— I nie zastrasza cię podróż nużąca, długa, ciebie, tak wątła, tak delikatna?

— Dziewczęta mojego kraju są nawykłe biegać za łąnią w najgęstszych lasach i w górach najnieodstępniejszych.

— Tymoteuszu — rzekł starzec, zwracając się do rybaka — zawołaj Sylasa.

Rybak wziął ciemny płaszcz Pawła, przywiązał go do długiej żerdzi, wyszedł przed drzwi swej chaty i utkwił żerdź w ziemi.

Znak ten snąc postrzeżono niezwłocznie, gdyż niebawem człowiek jakiś zszedł z góry Nizydy w nadbrzeżną dolinę, wsiadł do małej łódki i odwiązawszy ją od brzegu, ręczo wiosłował ku przylądkowi; po kwadransie, już przybił do brzegu, o sto kroków od domu, w którym był oczekiwany, a w pięć minut potem ukazał się we drzwiach.

Po miedzianej cerze, po opasującym głowę zawoju, po rysach zresztą wyrazistych, można było poznać w nim odrazu syna piaszczystej Arabii. Wszedł w postawie pełnej uszanowania, niemal kornej i pozdrowił Pawła w języku nieznanym. Ten odpowiedział tym samym językiem słów kilkoro, wyrażających łagodnie jakies polecenie.

Sylas niezwłocznie przymocował do nóg sandały, ścisnął mocniej powróż, opasujący mu biodra, wziął kij podróży, ukląkł przed Pawłem, który go pobłogosławił i wyszedł.

Ze zdziwieniem przypatrywała się Aktea Pawłowi. Kto był ten człowiek, wydający rozkazy tak stanowczym i tak łagodnym głosem zarazem, którego słuchano, jak władcę i szanowano, jak ojca. Przez czas krótki pobytu swego w pałacach Nerona, poznała ona uległość we wszystkich postaciach, ale uległość bojaźliwą i niewolniczą, a nie tę ochoczą, skwapliwą, niemal radosną. Czy zatem dwóch jest na świecie cesarów i czy ten, który się ukrywa przed światem, bez skarbów i niewolników, potężniejszym jest od tamtego, co

posiada wszystkie bogactwa świata i rozkazuje milionom ludzi?

Przejęta temi myślami, Aktea złożyła ręce na piersiach i zapytała nieśmiało tajemniczego starca:

— O panie, kto jesteś, że ci wszyscy kornie ulegają, a jednak bez najmniejszej obawy?

— Jużem ci powiedział, moja córko: nazywam się Paweł, a jestem apostoł.

— Lecz co to znaczy apostoł? Czy to mówca, jak Demostenes? czy filozof, jak Seneka? U nas wymowę przedstawiają przez wizerunek człowieka, któremu z ust wychodzą złote łańcuchy. Czyli więc krępujesz ludzi twem słowem?

— Słowa moje rozwiązują, a nie krępują — odpowiedział Paweł z uśmiechem.

— Nie rozumiem cię, chociaż mówisz moim macierzystym językiem, jak gdybyś był Grekiem.

— Bawiłem przez sześć miesięcy w Atenach, a przez półtora roku w Koryncie.

— W Koryncie — powtórzyła Aktea nie bez drżenia. — Kiedyż to było?

— Przed pięciu laty.

— Cóżes porabiał w Koryncie?

— W dni powszednie szyłem namioty dla żołnierzy, majtków i podróżnych, nie chcąc być ciężarem dla czeigodnego gospodarza, który mnie przyjął; w dni zaś sabbatu, przemawiałem do ludu w synagodze, nauczając, jak należy żyć, aby osiągnąć zbawienie wieczne.

— Przypominam sobie teraz, że o tobie słysza-

— rzekła Aktea. — Mieszkałeś wówczas w bliz-

kości żydowskiej synagogi, w domu szlachetnego starca, nazwiskiem Tytus Justus?

— Czy go znasz? — zapytał Paweł z ożywieniem.

— Jest on przyjacielem mojego ojca — odparła Aktea. — Tak, tak, przypominam sobie teraz dokładnie. Żydzi cię oskarżyli, zaprowadzili do Galliona, brata Seneki, który był prokonsulem Achai. A gdyś przechodził mimo domu naszego, mój ojciec przyprowadził mię do drzwi i rzekł:

— Patrz, moja córko, oto sprawiedliwy.

— Jakże się nazywa twój ojciec? Jak się ty sama nazywasz?

— Mój ojciec nazywa się Amikles, ja zaś Aktea.

— Imię to nie jest mi obce. Lecz dlaczego zostałaś się z ojcem? dlaczego opuściłaś swoją Ojczyznę? Jak się stało, że cię samą i umierającą znalazł na brzegu morskim? Opowiedz mi to wszystko, moje dziecko, moja córko. Jeżeli nie masz już Ojczyzny, ja ci ją przywrócę; jeżeli nie masz ojca, ja ci go oddam.

— O! nigdy, nigdy nie będę śmiała wyznać ci prawdy...

— Jest to więc tak okropne wyznanie?

— Umarłabym ze wstydu w połowie opowiadania.

— Ja cię ośmielę. Opowiem ci, czem byłem, abyś mi mogła powiedzieć, czem jesteś; wyjawię ci moje zbrodnie, abyś mi wyznała twoje błędy.

— Twoje zbrodnie?!

— Tak jest, moje zbrodnie. Odpokutowałem je, dzięki niebu i Pan mi je już odpuścił, jak się tego

spodziewam!... Słuchaj więc bacznie, moje dziecko, mam ci bowiem powiedzieć to, o czym żadnego nie masz wyobrażenia, co zrozumiesz kiedyś i co będziesz czciła, gdy raz zrozumiesz.

Urodziłem się w Tarses w Cylicyi. Cezar August, wynagradzając moje miasto rodzinne za wierność mu okazaną, nadał jego mieszkańcom tytuł rzymskich obywateli, rodzice więc moi, oprócz bogactw, jakie posiadali, cieszyli się nadto znakomitemi przywilejami, związanymi z obywatelstwem stolicy świata. Tam to nauczyłem się greckich umiejętności, które prawie jak w Atenach u nas kwitły. Potem ojeiec mój, który był Żydem z sekty Faryzeuszów, posłał mię do Jeruzalem, abym się tam wyćwiczył w zakonie, pod kierunkiem Gamaliela, znakomitego znawcy prawa mojżeszowego. Wtenczas nie nazywałem się Pawłem, lecz Saulem.

Był w owym czasie w Jeruzalem dwoma laty starszy ode mnie młodzieniec. Zwano Go Jezusem, to jest Zbawicielem, i opowiadano cuda o Jego urodzeniu. Anioł objawił się Jego Matce, pozdrowił Ją Bżem imieniem i zwiastował, że wybraną została między niewiastami do wydania na świat Mesyasza. Wkrótce potem Dziewica ta zaślubiła starca, nazwiskiem Józef, który poznawszy stan Jej, chciał Ją pokryjomu odesłać do domu, aby uniknęła niesławy.

A gdy tak myślał, Anioł Pański ukazał mu się we śnie, mówiąc:

— Józefie, synu dawidowy, nie obawiaj się przyjąć Maryi, Małżonki twej, albowiem co się z Niej narodzi, będzie z Ducha Świętego. I stało się, że w oneż dni wyszedł edykt cezara Augusta, aby popisano

wszystką ludność państwa. Szli tedy wszyscy, aby ich zapisano, każdy do miasta swego. Szedł też i Józef z Galilei z miasta Nazaretu, do Judzkiej Ziemi, do miasta dawidowego, które zowią Betleem, przeto iż był z domu i z pokolenia dawidowego, aby był wpisany z Maryą, poślubioną sobie Małżonką, która była brzemienną. I stało się, gdy tam byli, że porodziła Syna pierworodnego, uwinęła Go w pieluszki i położyła w żłobie stajennym, bo miejsca dla nich nie było w gospodzie. A wówczas pasterze tejże krainy czynili nocne straże nad trzodą swą. I oto Anioł Pański stanął podle nich, jasność Boża zewsząd ich oświeciła. Ułękli się wielką bojaźnią. I rzekł im Anioł:

— Nie trwóźcie się, bo oto opowiadam wam wesele wielkie, iż się narodził światu całemu Zbawiciel, w mieście dawidowem. Idźcie, a znajdziecie Niemowlątko uwinione w pieluszki i położone w żłobie.

Wnet z onym Aniołem przybyło wiele zastępów niebieskich, chwających Boga i mówiących:

— Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli.

I gdy odeszli Aniołowie oni do nieba, pasterze mówili jeden do drugiego:

— Pójdźmy aż do Betleem, a oglądajmy to Słowo, które stało się Ciałem i ktore nam Pan oznajmił.

I przyszli kwapiąc się, i naleźli Maryę, Józefa i Niemowlątko, leżące w żłobie.

Albowiem Pan Niebios pojrzał na ziemię i zobaczył, że czas odnowienia świata już nadszedł. Świat bowiem cały, świat taki przynajmniej, jaki znali poganie, jednej ulegał władzy. Tyr i Sydon runęły na

słowa proroka; Kartago zaległa gruzami piaszczyste doliny swych pustyni; Grecya podbita; Gallia zwyciężona; Aleksandrya zamieniona w kupę popiołów. Jeden człowiek stu rozkazywał prowincjom, przez usta swoich prokonsulów, świat cały bodło ostrze miecza, którego rękojeść była w Rzymie.

Mimo jednak tej pozornej potęgi, chwiały się i trzaskały na swej glinianej podstawie pogańskie budynki: znużenie jakieś powszechne świadczyło, że świat stary nosi w sercu chorobę, że przesilenie nadechodzi, że rychło zajaśnieją rzeczy nieznanne i nowe. Albowiem nie było sprawiedliwości, przemagała potęga; nie było ludzi, przemagali niewolnicy; nie było religii, była mnogość bogów. Owóż, jakem ci już powiedział, poprzedził mnie Człowiek z Jeruzalem, który mawiał do możnych: — Nie czynicie nic nad to, co wam rozkazano. — Do bogaczów mówił: — Kto ma dwie szaty, niech jedną odda temu, który nie ma żadnej. — Do panów: — Dobra ziemskie są dla silnych, ale niebieskie dla słabych. — A do wszystkich: — Bogowie, których czcicie, są fałszywymi bogami, a jest tylko Bóg jedyny i wszechmocny, który stworzył świat. Ten Bóg jest moim Ojcem, albowiem ja jestem Mesyaszem, którego wam pisma zapowiedziały.

Słепy i głuchy, na ten głos święty zamknęły oczy i uszy, albowiem oślepiła mię zawiść; ona to sprawiła, że stałem się żarliwym prześladowcą Boga-Człowieka, którego dziś jestem niegodnym ale wiernym apostołem.

Pewnego razu, dzień cały łowiłem z Piotrem ryby na jeziorze Genezareth, a połów był bezowocny. Wów-

czas Jezus przyszedł nad brzeg, otoczony tłumami ludu, nauki Jego cheiwemi. Ponieważ łódź Piotra była przy brzegu, Jezus wszedł do niej i usiadłszy nauczał lud, który go słuchał uważnie; a gdy skończył, rzekł do Piotra:

— Wypłyn na wielką wodę i zarzuć tam sieci.

Piotr Mu odpowiedział:

— Panie, pracowaliśmy dzień cały bez skutku, jakżebyśmy tym razem mieli być szczęśliwsiymi?

— Czyni, com powiedział — rzekł Jezus.

Piotr zarzucił swe sieci w miejscu wskazanem i złowił taką mnogość ryb, iż sieci omal się nie zerwały. To widząc Piotr, Jakub i Jan, synowie Zebedeusza, upadli na kolana i wyznali, że zaiste cudu dostąpili. Jezus im rzekł:

— Wstańcie i uspokójcie się. Już teraz nie ryby lecz ludzi łowić będziecie.

I wyszedłszy na brzeg, powiódł ich z sobą.

Zostawszy sam, pomyślałem: Dlaczegożbym nie miał znaleźć ryb tam, gdzie je inni znaleźli. — Ale dziesięć razy zarzucałem sieci tam, gdzie je oni zarzucaли i dziesięć razy wyciągałem je puste. Wówczas zamiast uznać, że Jezus istotnie jest posłanikiem Boga, jam pomyślał, iż jest On czarnoksiężnikiem i wielką zawiść w sercu ku Niemu uczułem.

Wkrótce Jezus opuścił Jeruzalem i udał się nauczać po całej Judei. Jużem był o Nim zapomniał, gdy dnia pewnego, kupując podług zwyczaju w kościele, dowiedzieliśmy się, iż wraca, większą jeszcze niż przedtem chwałą okryty. Uleczył On paralityka, przywrócił wzrok ślepemu w Jerycho, wskrzesił mło-

dzieńca w Naim. Wszędzie więc, gdzie przechodził, lud rozścielał Mu płaszcze pod nogi, a uczniowie towarzyszyli Mu, niosąc palmy i chwając głośno Pana za cuda, jakie widzieli.

Wśród tego to orszaku szedł On ku kościołowi Bożemu i wypędził kupeczących zeń mówiąc:

— Napisano jest, że dom mój, domem modlitwy nazwan będzie, a wyście go uczynili jaskinią łotrów.

Chcieliśmy zrazu opierać się, ale wnet postrześliśmy, że to było niepodobieństwem, bo niezliczone rzesze ludu były jakby zawieszane na jego ustach, z uwielbieniem dla tego, co mówił. Wtenczas to ocknęła się dawna moja niechęć ku Jezusowi, którą gniew nowy podzegał; zawiść stała się nienawiścią.

Rychło potem dowiedziałem się, że w wieczór Paschy, którą Jezus pożywał z uczniami, z rozkazu arcypłana, przytrzymała Go rzesza zbrojnych, prowadzona przez Judasza, jednego z uczniów Jego; że został zawiedzion do Piłata, który wybadawszy, iż był z Nazaretu, odesłał Go do Heroda, pod którego władzą była Galilea. Ale Herod, nie znalazłszy nic przeciw Niemu, chyba tylko to, że się nazywał królem żydowskim, zwrócił go Piłatowi, który przyzwawszy kapłanów, doktorów i lud, rzekł im:

— Przedstawiliście mi tego człeka, jako podzeganego lud do rokoszu, lecz ani Herod, ani ja nie znaleźliśmy, by był zbrodni tej winnym. Gdy więc zbrodniarzem nie jest, każę Go tylko ochłostać i puszczyć wolno.

Ale tłuszcza krzychała:

— Dziś święto Paschy, a zwyczaj chce, iżbyś

uwolnił jednego winowajcę. Otóż daj na śmierć tego, a uwolnij nam Barrabasa.

I ja byłem w tej tłuszczy, i ja krzychałem całą siłą mej nienawiści:

— Daj na śmierć tego, a uwolnij nam Barrabasa!

Piłat przemówił znowu do zgrai, domagając się życia Jezusa; ale zgraja odpowiedziała:

— Ukrzyżuj Go! ukrzyżuj!

I ja—mówił starzec, bijąc się w piersi—ja byłem jednym z głosów tej zgrai, krzychałem, ile mi sił stało:

— Ukrzyżuj Go! ukrzyżuj!

Wreszcie Piłat rozkazał wypuścić Barrabasa, a Jezusa na śmierć krzyżową skazał.

Niestety! niestety!—mówił starzec, padając twarzą na ziemię—niestety! O Panie, przebacz mi... Poszedłem za Tobą na Kalwaryę i widziałem, jak Ci ćwiekami przebito ręce i nogi. Widziałem cios włóczni w Twym boku i jak goryczą żółci gasiłeś pragnienie. Widziałem, jak niebo powlekło się ciemnością, jak się słońce zaćmiło, jak zasłona świątyni rozdarła się w połowie. Słyszałem głos Twój, Panie, wołający:

— Ojcze! Ojcze! składam duszę moją w Twe ręce...

Uczulem, jak na ten głos zatrzęsła się ziemia w posadach!... Albo raczej nie nie widziałem, nie słyszałem, nie czulem, gdyż, o Panie, byłem ślepy, głuchy, odrętwiały... O Panie, Panie, przebacz mi—moja wina, moja wina, bardzo ciężka moja wina!

I starzec pozostał czas niejaki leżąc czołem w prochu, modląc się cicho i jęcząc, gdy tymczasem Aktea

przypatrywała się ze zdumieniem tej rozpacz i pokorze człowieka, którego za potężnego uważała.

Powstał nakoniec i rzekł:

— To jeszcze nie wszystko, moja córko. Nienawiść moja ogarnęła także uczniów Proroka. Zajęci opowiadaniem Słowa Bożego, wybrali oni z pomiędzy siebie siedmiu dyakonów dla rozdawania jałmużny. Lud pochwyił jednego z tych dyakonów, nazwiskiem Szczepan i powiódł go przed Radę, gdzie fałszywi świadkowie oskarżyli go o bluźnierstwa przeciw Bogu, Mojżeszowi i jego prawu. Szczepan został osadzony; wnet rzucili się nań prześladowcy, wywlekli za bramy Jeruzalem, aby go tam ukamienować wedle prawa o bluźniercach. Byłem w liczbie tych, którzy domagali się śmierci pierwszego męczennika. Nie rzucałem wprawdzie kamieni, ale pilnowałem płaszczów tych, którzy kamienie rzucali. Ach! i mnie bezwątpienia obejmowała modlitwa świętego męczennika, gdy zawołał w tem najszczytniejszem, a nieznanem aż do Jezusa Chrystusa, zapomnieniu wszelkiej za swą krzywdę urazy:

— O Panie, Panie, odpuść im grzech ten, bo nie wiedza, co czynią!

Już atoli chwila łaski zbliżała się ku mnie. Naczelnicy synagogi, widząc mój zapał w prześladowaniu młodego Kościoła, posłali mię do Syrii, abym tam chwycił chrześcijan i sprowadzał ich do Jeruzalem. Szedłem po nad brzegami Jordanu od rzeki Joher aż Kafarnaum. Ujrzałem znowu brzegi jeziora Geneza-reth, gdzie się odbył polów cudowny. Znalazłem się nakoniec u łańcucha Hermon, zawsze zajadły w swej zemście, gdy dochodząc do wierzchołka góry, z której

rozlega się widok na dolinę Damaszku i dwadzieścia siedm rzek ją skrapiających, uczulem się nagle jakby uderzony i otoczony światłem niebieskiem. Upadłem na ziemię, jak martwy i słyszałem głos mówiący:

— Saulu! Saulu! dlaczego mię prześladujesz?

— O Panie — rzekłem drżący — kto jesteś i czego chcesz ode mnie?

— Jestem — odpowie głos — Jezus, którego prześladujesz i chcę cię użyć do rozszerzania słowa mojego, ciebie, coś je dotąd usiłował przytłumiać.

— Panie — odpowiedziałem bardziej jeszcze drżący i przerażony niż przedtem — Panie, cóż mam czynić?

— Powstań i udaj się do miasta, a tam ci powiedzą, co masz czynić.

Ludzie, którzy mi towarzyszyli, równie jak ja byli przerażeni, bo głos silny uderzał ich uszy, a nie widzieli nikogo; nakoniec, nie już więcej nie słysząc powstałem i otworzyłem oczy. Otaczała mnie noc najczarniejsza. Byłem ślepy. Wyciągnąłem więc ręce i rzekłem do towarzyszy:

— Prowadźcie mię, bo nie widzę.

Jeden z mych służebników wziął mię za rękę i powiódł do Damaszku, gdzie przepędziłem trzy dni nie widząc, nie jedząc i nie pijąc.

Dnia trzeciego zbliżył się do mnie jakiś człowiek, którego nie znałem, wiedziałem jednak, że się nazywa Ananiasz, wziął mnie za rękę i rzekł:

— Saulu, mój bracie, Jezus, Syn Boży, który ci się w drodze ukazał, przysłał mnie do ciebie, abys odzyskał wzrok i został przejęty Duchem Świętym.

Wnet jakby skorupa z oczu mi spadła i przejrzałem. Upadłem na kolana i o chrzest święty prosiłem.

Odtąd tak żarliwy w wierze, jak dawniej żarty w nienawiści, przeszedłem Judeę od Sydonu aż do Arad, od góry Seir aż do potoku Bezer; przebiegłem Azyę, Bitynię, Macedonię; widziałem Ateny i Korynt, byłem na Malcie i w Syrakuzie; stamtąd idąc po nad brzegiem Sycylii, zaszedłem do portu Puzzoli, gdzie bawię od dni piętnastu, oczekując na listy z Rzymu, które wczoraj mię doszły. Listy te są od braci, którzy mię do siebie wzywają. Dzień tryumfu nadchodzi, a Bóg toruje nam drogę, — nadzieja bowiem z jednej strony, szaleństwo z drugiej, podkopują świat stary u podstawy i u szczytu.

— O mój ojcze — zawołała Aktea — widzę, żeś święty, że twa dusza gardzi starożytną wiarą mych ojców, że się wzdrygasz na wspomnienie władcy świata: jakże ci zdołam wyjawić stan serca mojego!

— Cóż mieć możesz wspólnego z tym krwawym człowiekiem? — zapytał Paweł zdziwiony.

— Mój ojcze — mówiła Aktea, ukrywając twarz w dłoniach — tyś mi opowiedział swoje życie i żądasz wzamian zwierzenia ode mnie. Jestem nad wyraz wstępną... Jam kochanka Nerona!

— W tem widzę błąd tylko, moje dziecię — rzekł Paweł.

— Ale ja go kocham — zawołała Aktea — kocham nad wszystko na świecie.

— Zaiste — rzekł starzec z cicha — to grzech ciężki.

Poczem ukląkł i zaczął się modlić.

## II

Gdy noc nadeszła, Paweł narzucił płaszcz, ozuł sandały, wziął kij i zwrócił się ku Aktei. Była już gotową do drogi. Nie pytała się wcale, dokąd ją starzec zaprowadzi, pragnęła tylko jak najdalej usunąć się od Nerona. Okropne przygody i trwoga, jakiej dnia poprzedniego doznała, utwierdziły ją jeszcze w tem postanowieniu. Czowała jednak, że gdyby ujrzała tego człowieka, który tak silnie nad jej sercem zapanował, wszystkoby się skończyło. Jej miłość wzmogłaby się, pochłonęłoby ją to życie burzliwe, jak ocean ciche wody strumienia. Dla niej bowiem, mimo wszelkiej oczywistości, jej kochanek był zawsze Lucyuszem, a nie Neronem: zwycięzca igrzysk i cesarz byli to dwaj ludzie całkiem różni, a jej własne istnienie jakby w dwóch toczyło się sferach, z tych jedną była miłość jej dla Lucyusza, której całą prawdę czuła w swem sercu; drugą miłość Nerona dla niej, a ta snem się jej tylko zdawała.

Wyszędłszy z chaty, oczy jej zwróciły się ku zatoce, w której tak niedawno doznała przygód straszliwych. Wody jej były teraz ciche, a światło mizeńskiej latarni sięgało aż na drugą jej stronę. Aktea spostrzegła ciemną masę drzew, otaczających Bauli i myśląc, że tam znajdował się Lucyusz, zatrzymała się wdychając. Paweł czekał na nią przez chwilę; potem, zbliżając się ku niej, zapytał łagodnie:

— Zostajesz, moja córko?

— Mój ojcze — odparła Aktea, nie śmiać wy-



znać przed starcem uczuć, jakie ją zatrzymywały — wczoraj opuściłam Nerona z Agrypiną, jego matką; okręt, na którym płynęliśmy, rozbił się; ratowałyśmy się obie i rozstałam się z nią w chwili, gdy łódź pospieszyła jej z pomocą. Przed opuszczeniem tych brzegów, chciałam dowiedzieć się, co się z nią stało.

Paweł wyciągnął rękę ku willi Juliusza Cezara i ukazując łunę wielką, jaśniejącą między jej zabudowaniami a drogą Mizeńską, rzekł:

— Czy widzisz ten płomień?

— Widzę — odparła Aktea.

— To jej stos płonie.

I jakby był pewny, że te słowa rozproszą wszelkie wahania dziewczęcia, udał się w drogę nie więcej nie mówiąc. Jakoż Aktea poszła za nim z widoczną rezygnacją.

Szli czas niejaki po nad brzegiem morza, przebyli Puzzoli, potem zwrócili się ku Neapolowi, lecz minęli to miasto, natomiast udali się drogą do Kapui. Około pierwszej z północy, spostrzegli Atellę. Tu oczekiwał ich Sylas. Starzec zamienił z nim słów kilka, poczem wszystko troje ruszyli przez pola i wkrótce przybyli do odosobnionego domu, w którym widocznie na nich oczekiwano, na pierwsze bowiem stukanie Sylasa, drzwi się otworzyły.

Cała rodzina, wraz ze służbą, zgromadzona była w wytwornem atrium. Gdy Paweł ukazał się na progu, wszyscy ukłękli. On wznosił ręce i błogosławił ich. Pani domu powiodła go do triclinium i zanim zasiedli do zastawionej wieczerzy, umyła nogi sama apostołowi. Aktea, nieznaną nową religii, ogar-

nięta najsmutniejszymi myślami, prosiła, aby jej dozwolono oddać się. Zaraz też młode dziewczę, osłonięte jak westalka, powiodło ją do swej komnaty, gdzie jej przyniosło posiłek.

Wszystko tu dziwiło Akteę. W domu jej ojca chrześcijan nazywano sektą szalonych marzycieli, którzy roją o niedoścignionych rzeczach; na dworze zaś cezara utrzymywano, że są to ludzie bezbożni, przewrotni, oddani najohydniejszym praktykom, dla których niema dość surowej kary. Dzień zaledwie upłynął, jak poznała Pawła i chrześcijan, a krótki ten czas obalił te potworne o nich mniemania. Poznała, że są to ludzie pełni miłości i poświęcenia, od razu też poczuła przekonanie dla wiary, nakazującej wspierać biednych, otaczać opieką nieszczęśliwych, nakazującej nadto przebaczać krzywdy i modlić się za krzywdzicieli...

Nazajutrz, również nocą, znowu udali się w podróż. Tym razem droga była dłuższą. Zostawili po prawej ręce Kapuę i zatrzymali się na brzegach Voltornu. Po chwili z małej zatoki wypłynęła łódź. Paweł, porozumiewszy się z prowadzącym ją wiosłarzem, wszedł do niej z Akteą i chciał zapłacić wiosłarzowi, ale ten nie przyjął zapłaty, upadł na kolana, ucałował kraj szaty apostoła i długo jeszcze pozostawał w postawie modlącej, chociaż starzec już się oddalił.

Około trzeciej po północy, do podróźnych przyłączył się ich wczorajszy przewodnik, który i dziś wyszukał dla nich schronienie. Była to chata uboga, w której tylko kęs twardego chleba znaleźli, ale poda-

ny serdecznie i szczerze. Przyjął ich człowiek ze znamiem niewolnictwa na czole, z żelaznymi obręczami na szyi i nogach. Był on pasterzem bogatego właściciela willi, wypędzał w pole tysiące owiec, a nie miał nawet jednej skóry baraniej do okrycia grzbietu od zimna. Powitawszy gości, wskazał im na stole chleb i wodę, potem usłał w kącie izby łoże z trzciny i wrzosu. Gościnność jego więcej z pewnością miała zasługi w oczach Pana nad pany, niż wyszukana i ozdobna gościnność bogacza.

Paweł usiadł przy stole z Aktea, a gospodarz, uczyniwszy dla nich wszystko, na co się mógł zdobyć, udał się do izby przyległej, gdzie się niebawem rozlewały łkania i jęki. Aktea oparła rękę na ramieniu Pawła i rzekła:

— Czy słyszysz, mój ojcze?

— Słyszę, moja córko, płaczą tam łzami gorzkimi, ale zasmucony będzie pocieszon.

Po chwili powrócił gospodarz i nie rzekłszy słowa, usiadł w kącie izby, oparł ręce o kolana, a twarz ukrył w dłoniach.

Aktea widząc go tak przygnębionym, tak smutnym, ukłękła przy nim i szepnęła:

— Niewolniku, dlaczego nie zwierzysz się apostołowi? Znalazłby on może jaką pociechę na twój smutek, jaką ulgę dla twej boleści.

— Naszego smutku, naszej boleści nie można ukoić słowami — odparł niewolnik.

— O człowieku wątpliej wiary — rzekł Paweł wstając — dlaczego wątpisz? Czy nie są ci znane cuda Chrystusa?

— Znam je, ale Chrystus już umarł — westchnął niewolnik, wstrząsając głową. — Żydzi ukrzyżowali Go i jest teraz w niebie, po prawicy Ojca swojego. Niech będzie imię Jego błogosławione!

— Alboż nie wiesz — rzekł Paweł — że On przekazał władzę swą apostołom?

— Moje dziecko, moje biedne dziecko!... — zakała niewolnik, nie odpowiadając starcowi.

Głuchy jęk dał się słyszeć w izbie przyległej, jakby echo tego wybuchu boleści.

— O mój ojcze — rzekła Aktea, zwracając się do Pawła — jeżeli możesz przynieść ulgę tym nieszczęśliwym, uczyn to, błagam cię, bo chociaż niezna-  
ne mi są przyczyny ich rozpacz, ona mi duszę rozdziera. Spytaj się go, co mu jest, może się zwierzy przed tobą.

— Wiem, co go trapi — westchnął starzec — braknie mu wiary.

— Jakże mam wierzyć? — zawołał niewolnik — czego się mam spodziewać? Całe moje życie było jednem pasmem boleści; od najmłodszych lat, aż do siwego włosa nie doznałem chwili radości. Gdym pojął małżonkę, zostałem ojcem dziecięcia kalekiego i niemego. Ale chociaż zostało ono gniewem niebios dotknięte, kochaliśmy je całym sercem. I oto dziecię nasze sprzedano wczoraj tym nیکczemnikom, którzy ludzką frymarchą niedolą; którzy wiedząc, co może przynieść ułomność, wzbogacają się, każąc żebrać dla siebie na placach Rzymu nieszczęśliwym; codziennie otwierają im rany, kaleczą im ciało, aby ono wciąż się jątrzyło... I to jutro, jutro porywają dziecię moje na

te męczarnie, uprowadzają to biedne niewiniątko, które nie ma nawet głosu do uskarżenia się, do wezwania naszej pomocy, naszego przekleństwa na katów krwi naszej!...

— A gdyby Bóg uleczył twe dziecię? — zapytał starzec.

— O! wtenczas zostawionoby je nam — zawołał niewolnik — bo ci nikiemnicy sprzedają i kupują jego nędzę, jego niedolę, jego kalectwo. Gdyby chodziło i mówiło, byłoby to dziecię, jak wszystkie inne dzieci, i miałyby dopiero wartość, zostawszy człowiekiem.

— Zaprowadź mnie do niego — rzekł Paweł.

Niewolnik powstał, spojrzął na apostoła ze zdumieniem, promień nadziei zajaśniał w zażawionych jego oczach. Ulegając rozkazowi, otworzył drzwi i wprowadził starca do sąsiedniej izby. Tam, na słomie na ziemi rozosłanej, siedziało pięcioletnie dziecię głuche i nieme, a obok niego leżała matka, podobna do posągu rozpaczy.

Oblicze apostoła przybrało wyraz skupienia. Wzniósł oczy ku niebu i przez czas pewien w głębokiej pozostawał zatopiony modlitwie. Potem wyciągnął rękę ku dziecięciu i rzekł:

— W imię Boga żywego, który stworzył niebo i ziemię, powstań i mów!

Dziecię wstało i zawołało wyraźnie:

— O Panie! Panie! niech święte imię Twoje będzie błogosławione!

Matka wydała okrzyk radości, ojciec upadł na kolana.

Paweł zaś, zwracając się do Aktei, szepnął:

— Oto rodzina niewolników, której szczęścia pozazdrościłby najmoźniejszy na ziemi.

Nocy następnej udali się znowu w drogę i przybyli do Fondi. Tak to podczas tych nocnych i tajemniczych podróży, Aktea oglądała znowu te wszystkie miejsca, które dawniej przebywała z Neronem. W Fondi, jak wiemy, cezara tak wspaniale przyjmował Galba, ów starzec, któremu wyrocznia obiecywała panowanie; widok jego przypomniawszy Neronowi tę wyrocznę. Natychmiast tedy po powrocie do Rzymu, usunął Galbę z Italii, wysyłając go do Hiszpanii jako wielkorządę. Galba chętnie się tam udał, czując się bezpieczniejszym w oddali od cezara. Przed wyjazdem wyzwolił najwierniejszych swych niewolników i właśnie u jednego z tych wyzwolenców, nawróconego na wiarę chrześcijańską, Sylas przygotował spoczynek dla starca i Aktei.

Niewolnik ten był ogrodnikiem i otrzymał w darze od swego pana w dzień wyzwolenia mały domek, położony we wspaniałych ogrodach. Z okien domku ujrzała Aktea przy blasku księżyca willę, w której z Lucyuszem mieszkała. Jedną z tych dwóch podróży była dla niej sennem marzeniem. Ileż podczas niej poznała rzeczy nowych, ileż przebyła złudzeń, które pierzchły niebawem, ile doświadczyła rozczarowań i boleści... W przeciągu krótkiego czasu wszystko się dokoła niej zmieniło. Kwitnące niedawno ogrody, po których się przechadzała z Neronem, zwiędły i opustoszały: tak samo zwiędło jej życie, rozkosz się

rozwiąła, pozostała tylko w jej sercu miłość zawsze silna i płomienna.

Trzy dni, a raczej trzy noce jeszcze podróżowali bez przerwy, kryjąc się, gdy dzień zajaśniał i udając się znowu w drogę, jak tylko ciemność ziemię okryła; zawsze przewodniczył im Sylas, zawsze zatrzymywali się na spoczynek u chrześcijan, nowa bowiem wiara bujnie się krzewiła, zwłaszcza między niewolnikami i ludem. Trzeciego wieczora opuścili Welletri, tę starożytną stolicę Wolsków, która widziała śmierć Koryolana i rodziny Augusta. Gdy księżyc wypłynął na firmament, stanęli na wierzchołku góry Albano. Tym razem Sylas szedł z nimi, wyprzedzając ich o jakie trzysta do czterystu kroków. Zbliżywszy się do grobu Askaniusza, zatrzymał się, a gdy się z nim połączyli, wyciągnął rękę ku stronie, w której jaśniały światła nieprzeliczone i słyszeć się dawał gwar wielki i rzekł krótko:

— Rzym!...

Paweł upadł na kolana, dziękując Panu, iż go po tylu niebezpieczeństwach przywiódł do kresu podróży. Aktea zaś, na widok stolicy świata, musiała się wesprzeć o grobowiec, nogi się bowiem pod nią zachwiały od nawału wrażeń, jakie ją ogarnęły. Potem zwracając się do Pawła, rzekła:

— Mój ojczel! jam szła za tobą nie pytając, dokąd idziemy; lecz gdybym wiedziała, że do Rzymu... zdaje się, że nie miałabym odwagi.

— Nie idziemy do Rzymu — odparł starzec.

Po chwili ukazała się na drodze Appijskiej gromada jeźdźców. Sylas wtedy zszedł na bok, udając

się prawą stroną doliny, a Paweł i Aktea udali się za nim w milczeniu.

Szli między drogami Latyńską i Appijską, z których pierwsza wiodła do Morina przy jeziorze Albano, druga do świątyni Neptuna przy Antium. Po dwóch godzinach, zostawiwszy po prawej stronie świątynię Fortuny, a po lewej Merkurego, weszli w dolinę Egeryi i postępowali czas niejaki po nad brzegiem rzeczki Almon; potem zwróciwszy się znowu na prawo, mijali rzędy brył skalistych, zdających się oderwanymi od góry j jakimś potężnym wstrząśnieniem i znaleźli się nagle u wnijscia do jaskini.

Sylas wszedł zaraz do niej, wzywając za sobą cichym głosem towarzyszy; ale Aktea wzdrygnęła się mimowoli na widok tego ciemnego otworu, który się zdawał paszczką jakiejś bestyi. Paweł uczuł na swem ramieniu jej rękę, jakby go chciała zatrzymać; zrozumiawszy jej obawę, rzekł:

— Nie lękaj się, moja córko, Pan jest z nami.

Aktea westchnęła, spojrzała raz jeszcze na niebo usiane gwiazdami i weszła do jaskini ze starcem.

Po przejściu kilku kroków w tak głębokiej ciemności, że sam tylko głos Sylasa był wskazówką kierunku drogi, ten ostatni zatrzymał się u podstawy podpierającego sklepienie filaru, wydobył krzesiwo, skrzesał ognia, zapalił od niego pochodnię, wydobyła z wydrążenia w skale i rzekł:

— Jużemy teraz bezpieczni. Chociażby wszyscy żołnierze Nerona nas ścigali, nie odnajdą tej kryjówki.

Aktea, spojrzawszy dokoła, w pierwszej chwili nie dostrzedz nie mogła; płomień pochodni, miotany silnym prądem powietrza, rzucał migotliwe i niepewne światło, które ślizgało się tylko po przedmiotach, nie oświecając ich wyraźnie; dopiero, gdy wiatr ustał i gdy wzrok przyzwyczaił się do zmroku, można było odróżnić nawet sklepienie tej rozległej jaskini, która to się zwęzłała, tworząc ciemny korytarz, to się rozszerzała w przestronne niejako izby. Podróźni nasi szli wciąż za Sylasem, znającym znać doskonale tę miejscowość. Aktea postępowała z obawą, doznając dziwnego przynębienia. Nagle stanęła przerażona, chwytając jedną ręką kraj płaszcza Pawła, a drugą wskazując mu długie rzędy grobów, wykutych w ścianach podziemia. Jednocześnie w głębi tych ponurych ścian ujrzeli kobiety w białych szatach, przesuające się jak widma z pochodniami w rękę i dążące w jedną stronę. Po chwili usłyszeli śpiew chóralny, tak uroczy i słodki, że zdawał się być pieniem aniołów. Tu i owdzie lampy, przytwierdzone do słupów, zaczynały już drogę rozjaśniać; coraz liczniejsze ukazywały się groby, coraz więcej przesuwało się cieniów, coraz wyraźniej wpadały w ucho śpiewy. Zbliżali się do podziemnego miasta, a jego okolice zaczynały się zaludniać żyjącymi i umarłymi. W wielu miejscach leżały rozsypane po ziemi lilie i róże, odpadłe od wieńców i smutnie wędzące zdala od powietrza i słońca. Aktea zbierała te biedne kwiaty, dzieci dnia i światła, jak ona i jak ona żywo zagrzebane w grobie, a łącząc je z sobą, ułożyła bukiet bezwonny i blade, jak na szczytkach szczęścia upłynionego budujemy nadzieję przy-

szłości. Nakoniec, w zakręcie jednej z tysięcy dróg labiryntu, ujrzeli przestrzeń rozległą, jakby podziemną bazylikę, oświeconą lampami i pochodniami, napełnioną tłumem mężczyzn, kobiet i dzieci. Gromada młodych dziewic, okrytych długimi zasłonami białymi, napełniała sklepienia pieśniami, które już Aktea słyszała. Jakiś kapłan przygotowywał się do sprawowania obrzędu Bożych tajemnic, lecz zbliżywszy się do ołtarza, zatrzymał się nagle i obracając się ku wier-nym, rzekł jakby w natchnieniu:

— Jest między nami godniejszy ode mnie do opowiadania wam Słowa Bożego, bo on je słyszał z ust samego Zbawiciela. Pawle, zbliż się i pobłogosław braci.

Wszystek lud, któremu oddawna było zapowiedziane przybycie apostoła, padł na kolana; chociaż była poganką Aktea, uczyniła to samo. Przyszły męczennik postąpił ku ołtarzowi.

Znajdowali się w katakumbach!...

### III

Było to całe miasto pod innym miastem.

Ziemia, narody i pojedyncze jednostki podobne mają istnienie: ziemia ma okresy wstrząśnień, narody rewolucye, człowiek choroby; wszystko ma swe dzieciństwo, dojrzałość i starość; ich wiek różni się tylko rozmiarem czasu; pierwsza swe istnienie liczy na tysiące lat, drugie na wieki, ostatni na dni.

W tym tak rozmiarzonym okresie czasu są epoki przechodnie, a w nich spełniają się rzeczy niesłychane, które wynikając z przeszłości i przysposabiając przyszłość, badaniom wiedzy przedstawiają się pod postacią wypadków naturalnych, a oczom wiary—jak zrządzenia Opatrzności. Rzym znajdował się wówczas w jednej z tych tajemniczych epok i zaczynał doświadczać owych dziwnych wstrząśnień, poprzedzających zgon lub narodzenie mocarstw. Czuł on w sobie to dziecię nieznane, które wydać miał na świat, które już poruszało się głucho w rozległych jego wnętrznościach; dręczyła go śmiertelna omdlałość i jak pasujący się z gorączką, którego odbiegł sen i spoczynek, spędzał ostatnie lata swego pogańskiego istnienia już to w przystępach szału, już w bezwładnej odrętwiałości. Pod tę bowiem drgającą nad ziemią powierzchnią i zewnętrzną cywilizację, wkraść się pierwiastek nowy, podziemny, niewidomy, niosący za sobą zniszczenie i odrodzenie, śmierć i życie, ciemności i światło. Jakoż codziennie pod tym światem pogańskim, nad nim, dokoła niego, spełniały się wypadki, których on nie pojmował w swem zaślepieniu, a które poeci ogłaszali za cuda. Były to głosy podziemne i dziwne, które przypisywano bóstwom piekieł; nagłe znikania mężczyzn, kobiet, całych rodzin; ukazywania się ludzi, których miano za umarłych, a którzy wracali z królestwa cieniów grożąc i przepowiadając. Ów bowiem ogień podziemny wprawiał w stan wrzenia, jakby ołów i złoto, wszystkie złe i dobre namiętności; lecz złoto wsiąkało, a ołów zostawał na powierzchni. Katakumby stały się tem tajemniczem naczyniem zlewu, do

którego kropla po kropli zgromadzał się skarb przyszłości.

Były to, jak wiadomo, rozległe kopalnie opuszczone; cały Rzym, ze swemi domami, pałacami, teatrami, łaźniami, cyrkami, wodociągami, wyrósł z ich kamieni; z tych wnętrzności narodził się gród Romulusa i Scypiona. Lecz od czasów Oktawiusza, to jest od dnia, w którym marmur zastąpił kamień, echa tych przestronnych galeryj już nie powtarzały kroków pracujących robotników. Głaz miejscowy stał się zbyt pospolitym, cesarowie zażądali porfiru od Babilonu, granitu od Teb, miedzi od Koryntu. Zostały więc opuszczone, wyludnione, zapomniane podziemne Rzymu jaskinie, gdy zwolna i tajemniczo zaludnił je znowu rodzący się chrześcijaństwo. Zrazu były kościołem, potem schronieniem i nakoniec miastem.

Gdy zeszli do nich Paweł z Akteę, były jeszcze wtenczas tylko schronieniem: wszystko, co było uciśnionem, nieszczęśliwem, potępionem, tam znajdowało przytułek, pociechę i grób. Całe rodziny kryły się w pieczarach, bo nowa wiara liczyła już tysiące wyznawców. Lecz wśród niezliczonych tłumów, powierzchnię Rzymu zamieszkujących, nikt nie zwracał uwagi na to podziemne wsiąkanie, które nie było jeszcze tak znacznem i tak widocznem, żeby się rzuciło w oczy.

Nie należy jednak mniemać, aby życie pierwszych chrześcijan upływało wyłącznie na chronieniu się od prześladowań, które już ich wtedy straszliwie gnębiło. Żyli oni w ścisłej spójni, połączeni zakonem Chrystusowej miłości, broniąc się, ostrzegając przed niebezpie-

czeństwami i pomagając sobie wzajem. Wyznawcy, zamieszkujący w Rzymie, zmuszeni do tego zajęciem lub stosunkami, często doznawali ratunku od braci, kryjących się w katakumbach. Zdarzało się, że pod nogami zagrożonego przez pogan chrześcijanina otwierało się wejście do tajemnego korytarza, że więźniowie znikali z zamknięcia wraz z dozorcą swoim. Wówczas zaś, gdy na ratunek życia nie pozostawało czasu, gdy chrześcijanin stawał się męczennikiem, bądź przez uduszenie w więzieniu Tullusa, bądź przez ścięcie na placu publicznym, bądź przez strącenie ze skały Tarpejskiej, lub nakoniec przez ukrzyżowanie na Eskwilinie, kilku starców roztropnych, kilku śmiałych młodzieńców, a nawet kilka kobiet odważniejszych, przebywając krętymi ścieżkami górę Przekłątą, na którą wyrzucano trupy ludzi skazanych, aby zostały pożarte przez zwierzęta i ptaki drapieżne, unosiło ciała pokaleczone do katakumb, gdzie się stawały przedmiotem czci i poszanowania braci, którzy wobec ciał męczenników zachęcali się do wytrwania w wierze i przyrzekali tak żyć i umierać, jak żył i umierał na ziemi wybrany, który ich do nieba poprzędził.

Często się także zdarzało, że śmierć, znużona ciosami, wymierzanymi przy blasku słońca, nawiedzała katakumby dla wybrania tam jakiej ofiary; wówczas już nie matka, syn, małżonka traciła ojca lub męża, ale cała rodzina oplakiwała swe dziecię. Obwijano je wtedy całunem. Jeśli to była dziewczica, wieńczono ją różami; jeśli mężczyzna lub starzec, kładziono mu palmę w rękę. Kapłan odmawiał nad ciałem ostatnią modlitwę, potem zwolna umieszczano je w wykutym

zawczasu grobie kamiennym, gdzie miało spoczywać aż do zmartwychwstania wiecznego.

Te to właśnie groby widziała Aktea, wchodząc po raz pierwszy pod nieznane jej sklepienia; wówczas wzbudziły w niej one przestraszyć głęboki, który się rychło zamienił na smutek. Młoda dziewczica, jeszcze poganka sercem, ale już chrześcijanka duszą, przez całe niekiedy godziny wpatrywała się w te groby, na których matka, małżonka albo córka strapiona wryły końcem noża imię ukochanej osoby, wraz z jakimś religijnym godłem, lub jakim zdaniem pobożnym, wyrażającym boleść lub nadzieję. Na wszystkich prawie był krzyż, to znamię poświęcenia się dla ludzi, przypominające im cierpienia Boga-Człowieka; potem jeszcze świecznik o siedmiu ramionach, oświecający kościół jerozolimski, albo też gołębicą arki, ta słodka posłanka miłosierdzia, przynosząca ziemi zerwaną w niebieskich ogrodach gałązkę oliwną; indziej widniał baranek, ryba, okręt, kotwica, palmy i inne godła chrześcijańskie.

Czasem wspomnienia szczęścia wracały do serca Aktei i wówczas szukała promieni światła dziennego, przysłuchiwała się odgłosom świata; siadłszy w miejscu ustronnem, wsparta o słup podziemia, ze złożonymi na krzyż rękami, z głową spuszczoną, okryta długą zasłoną, zdawała się grobowym posagiem i tylko westchnienie bolesne, wydzierające się z jej piersi, tylko drżenia nerwowe, wstrząsające jej ciałem, zdradzały istotę żyjącą. Wtenczas Paweł, który sam jeden tylko wiedział, co się działo w tej duszy, który był świadkiem, jak Chrystus przebaczył Magdalenie, poru-

czał czasowi i Bogu ukojenie jej strapien. Zwracał się też do dzieweczek chrześcijańskich i wskazując im zasmuconą postać Aktei, mówił do nich:

— Módlcie się za tę nieszczęsną, aby jej Pan przebaczył, aby się do was stała podobną i aby również się mogła modlić z wami.

Posłuszne były dziewczeczki i czy to ich modły przenikały do niebios, czy też łzy łagodziły gorycz boleści, zawsze jednak młoda Greczynka doznawała ukojenia i coraz częściej łączyła się ze swemi towarzyszkami.

Gdy ukryci w katakumbach chrześcijanie oczekiwali tryumfu swej wiary, krzepiąc się słodką nauką Mistrza i zaprawiając się nią do bohaterskich zapasów z pogaństwem, wypadki szybko się snuły nad ich głowami. Chwiał się w posiadach swoich cały świat pogański, jak człowiek pijany, a Neron, ów wódz naczelny wyuzdania i rozpusty, nasycił się najohydniejszą rozkoszą, winem i krwią. Śmierć Agrypiny zerwała ostatnie wędzidło, które go hamowało od przebrania w ostatecznej mierze, bo zawsze się jej do pewnego stopnia obawiał; z chwilą więc, jak zgasył płomień jej stosu, zgasył w nim też wszelkie uczucia ludzkie, rozwiął się wszelki ślad sumienia. Z początku nie śmiał opuszczać Bauli, dręczyła go bowiem obawa — jakie skutki wywoła matkobójstwo. Chociaż w nie wierzył i wszystkiem pogardzał, zdało mu się jednak, że taka zbrodnia nie pozostanie bez zemsty, rozsroży na niego bogów i ludzi. Oczekiwał tedy w Bauli na nowiny, które mu mieli przynieść rozesłani gońce. Senat jednak okazał się tak znikczemiałym,

iz wysłał do niego świetną delegację z powinszowaniem, że uniknął nowego niebezpieczeństwa, oznajmując zarazem, iż nietylko Rzym, ale wszystkie miasta Italii składają w świątyniach dzięki bogom i radosne ofiary za cudowne ocalenie cezara.

Co do bogów, jeżeli wierzyć mamy Tacytowi, który mógł im nieco w tym razie swej własnej udzielić surowości, ci mniej się okazali pobłażającymi. Nie mogąc bowiem poruszyć wygasłego w matkobójcy sumienia, zesłali na niego bezsenność, podczas której z wierzełka wzgórz pobliskich dolatywał go nieustannie dźwięk trąby, a od grobu matki dochodziły go jęki i złorzeczenia straszliwe. Opuścił więc Bauli i udał się do Neapolu.

Tam znalazł Poppeę, a ta wzbudziła w nim znów nienawiść ku Oktawii, tej nieszczęśliwej siostrze Brytannika; temu biednemu dziecku, które bez względu na jej miłość dziewczęcią, wydarło narzeczonemu i rzucano w nienawistne jej objęcia Nerona; tej nieszczęśliwej małżonce, której żaloba zaczęła się z dniem wesela; która z pierwszym przestąpieniem progu męzowskiego, widzieć musiała morderstwo ojca i brata, i walczyć bezskutecznie z możniejszą współzalatniczką; która wreszcie, zdala od Rzymu, w dwudziestym roku życia, znosiła bez utyskiwania wygnanie w ustroniach Kampanii, gdzie otoczona centuryonami i żołnierzami, wyczekującymi bezustannie rozkazu, znaku, skinienia, aby z dworzan stać się katami, przecuciem swej doli oswajała się z myślą okropnej śmierci. Życie Oktawii, tak samotne, tak nieszczęśliwe, tak zapomniane, dręczyło jeszcze Poppeę wśród jej władzy nieograniczo-



nej i cudzołożnego przepychu, piękność bowiem, młodość i nieszczęścia Oktawii uczyniły ją popularną. Ubolewali nad nią Rzymianie tem uczuciem wrodzonym człowiekowi dla cierpiącej niewinności; to współczucie, ta litość, była dla niej niebezpieczną, mogła ją raczej zgubić niż ocalić. Nie stała za nią siła, nie stała żadna moc obronna.

A jednak sam nawet Neron, mimo swej nienawiści dla Oktawii i nalegań Poppei, wahał się ze skazaniem jej na śmierć. Aż razu pewnego tłum zaczął się domagać powrotu Oktawii z wygnania. Posągi Poppei wyrócono i unurzano w błocie. Wnet zjawily się strażę, uzbrojne biczami i rozpędziwszy zuchwałych, ustawiły wizerunki Poppei na podstawach. To sztucznie wywołane zaburzenie trwało przez godzinę i kosztowało milion sestercyj; wart był tej summy cel pozbycia się rywalki.

Poppea z Rzymu przybyła do Neapolu, mówiąc, że uciekła od morderców, zapłaconych przez Oktawie. Zachwycająca w zmyślonym przestרחu, padła na kolana przed Neronem, a ten posłał Oktawii rozkaz zadania sobie śmierci.

Napróżno biedna wygnanka chciała się wyrzec wszelkich godności, poprzestając na tytułach wdowy i siostry cesarza; napróżno wzywała imienia Germaników, wspólnych jej i Neronowi naddziadów; napróżno wzywała imienia Agrypiny, która dopóki żyła, nad jej bezpieczeństwem sama troskliwie czuwała. Nic nie ugięło nieludzkiego wyroku. Gdy zaś nie miała odwagi zadania sobie ciosu, związano jej ręce, w czterech miejscach otworzono żyły, potem przecięto wszyst-

kie arterye, a gdy jeszcze nie uchodziła krew, skrzepla z przestרחu, uduszono ją w parze wrzącej kąpieli. Aby zaś rywalka nie przypuszczała, iż ją ludzono wydaniem na śmierć jakiej pod stawionej ofiary, odcięto, zamordowanej głowę od ciała i zaniesiono Poppei, która ją położyła na swych kolanach, otworzyła powieki, a widząc groźbę w tem lodowatym i zmartwiałym spojrzeniu, przekłuła oczy szpilkami złotemi, które tkwiły w jej włosach.

Nakoniec Neron powrócił do Rzymu. Wyuzdane jego szaleństwo doszło do najwyższego stopnia. Odbywały się igrzyska, na których senatorowie walczyli zamiast gladyatorów; zapasy śpiewu, podczas których śmiercią karano tych, co niedosyć przyklaskiwali cesarowi; pożar, który strawił połowę Rzymu, a któremu Neron przypatrywał się, klaszcząc w ręce i śpiewając przy lutni rapsody Homera o zburzeniu Troi. Zrozumiała wreszcie sama Poppea, że czas było powstrzymać szaleństwa kochanka; że tak niesłychane, tak potworne wybryki mogły jej wpływ podkopać i rozwiąć.

Pod pozorem więc ciąży, wymówiła się od udania się do teatru w dniu, w którym miał śpiewać sam Neron. Odmowa do żywego obraziła artystę; prośbę zamienił na rozkaz. Odmówiła znowu ufna w swe wdzięki Poppea, a rozwścieczony Neron zabił ją silnym uderzeniem nogi.

Potem sam wszedł na mównicę i wygłosił mowę żalobną. Nie mogąc chwalić cnót znanej z rozpusty kochanki, chwalił jej piękność. Sam też następnie wymyślił dla niej obrzęd pogrzebowy. Nie kazał ciała

jej palić na stosie, natomiast polecił je zabalsamować wzorem władców Wschodu. Zapewnia Pliniusz naturalista, że przez rok cały nie wydaje tyle kadzidel i mirry Arabia, ile spalił ich cesarz na pogrzebie tej, która kuć złotem kazała swe muły i zużywała codziennie mleka pięciuset oślic na swe kąpiele.

Neron zaś szalał coraz bardziej. Doszło do tego, że oskarżył chrześcijan o własne swe zbrodnie i nowe, niesłychane nastąpiły prześladowania. Ale wraz z niemi gorliwość katechumenów wzrastała, niebezpieczeństwa ją podsycaly. Codziennie nowym wdowom i nowym sierotom nieść trzeba było słowa pociechy; co noc nowe chronić ciała od drapieżnych zwierząt i ptaków. Spostrzegł Neron, że ciała zamordowanych chrześcijan znikają, urządził tedy w bliskości Eskwilinu zasadzkę. Jakoż nocy jednej gdy Paweł wiódł kilku chrześcijan dla zabrania do katakumb zwłok męczenników, został wraz z towarzyszami schwytyany i uwięziony.

Jeden tylko Sylas ocalał i on to przyniósł do katakumb wieść żalosa. Właśnie wierni odprawiali modły. Przyniesiona przez Sylasa wiadomość jak gromem razila wszystkich. Wszyscy też padli na kolana, zwracając się do Pana o ratunek dla świętego apostoła i jego towarzyszy. Aktea tylko nie uklękła, bo Chrystus nie był jeszcze jej Bogiem. W rozgoryczeniu zaczęto ją oskarżać o niewdzięczność. Ona jednak nakazała milczenie, a gdy się uciszono, rzekła:

— Jutro pójdę do Rzymu i będę się starała ocalić Pawła.

— Ja zaś — zawołał Sylas — dziś tam powracam,

aby umrzeć z nim razem, jeśli starania twoje pozostaną bez skutku.

#### IV

Nazajutrz rano, Aktea wyszła z katakumb i udała się do Rzymu, aby spełnić przyrzeczenie. Szła sama, okryta stolą od szyi do nóg, z zasłoną zwaną *rīco* na twarzy; za pasek zatknęła sztylet krótki i ostry, bo chciała być uzbrojoną na wypadek zniewagi jakiego pijanego obywatela, albo grubijaństwa żołnierza. Gdyby nie zdołała wypełnić zamiaru, uwolnić Pawła, postanowiła prosić o pozwolenie odwiedzenia go w więzieniu; wtedy da mu ten sztylet, aby mógł uniknąć kary hańbiącej i srogiej. Była bowiem jeszcze dziewczecią Achai, urodzoną na kapłankę Dyany lub Minerwy, wychowaną w wyobrażeniach i przykładach pogańskich. Miała wciąż przed oczyma czezony przez starożytnych wzór Annibala, wypijającego truciznę, Katona, otwierającego swe żyły i Brutusa, rzucającego się na ostrze miecza. Nie wiedziała, że nowa religia potępiała jako grzech samobójstwo, a podnosiła jako cnotę męczeństwo; że to, co za hańbę poczytywali poganie, było świętością w oczach prawowiernych.

Zbliżywszy się do bramy Metrovii, za którą sięgała aż do Rzymu dolina Egeryi, uczuła drzenie tak silne i serce tak mocno uderzać jej zaczęło, że musiała wesprzeć się o drzewo, aby nie upaść. Miała zobaczyć Nerona, którego nie widziała od owych wspa-

Neron.

niałych uroczystości Minerwy, które zakończyły się tak straszliwie. Czy dziś znajdzie Lucjusza, czy cezara? świętego zwycięzcę igrzysk, czy okrutnego władcę Rzymu? kochanka czy sędziego? Rozważając odrętwienie, w jakie zapadła podczas długiego pobytu w katakumbach, zrozumiała, że było ono skutkiem posepnego otoczenia, ponurej atmosfery, owego zimna, milczenia i ciemności, gdyż teraz, skoro się znalazła wśród gwaru świata, wśród powietrza, nasyconego wonnościami kwiatów, wśród blasków słonecznych, uczuła się jakby odrodzona, jakby budziło się w niej życie i miłość.

Zresztą wszystko, co się działo na powierzchni ziemi, miało w katakumbach odgłos bardzo słaby, niewyraźny, jakby odległego echa. Wiedziała tedy Aktea o zamordowaniu Oktawii i o śmierci Poppei, ale powierzchni. Zbrodnie te nie mogły jej dojść w całej swej okropności, bo znane one były tak jedynie ich wykonawcom, historia dopiero znacznie później miała je we właściwym oświetleniu potomności przekazać. Wiedziała przeto Aktea tylko, że cesarz teraz nie miał żony ani kochanki, a to ją ożywiało nadzieją, iż może znajdzie u niego zakątek w sercu; oddźwięk tej miłości, jaka wypełniała całą jej duszę.

Pod wpływem tych myśli, przyszła do siebie i wkroczyła już śmielej do miasta. Był wtedy piękny i ciepły poranek lipcowy, XV Kalendów, a dzień ten zaliczano do szczęśliwych. Godzina druga ranna, odpowiadająca naszej siódmej, również była szczęśliwą. Ulice miasta przedstawiały niezwykle ożywiony widok. Wypełniały je odświętne przybrane tłumy, dążące

spiesznie ku Forum, jakby na zapowiedziane widowisko lub uroczystość.

Aktea, porwana falą tłumu, szła za wszystkimi, była to bowiem droga prowadząca do Palatynu, a w Palatynie spodziewała się zobaczyć Nerona. Zadowolona w uczuciach, rozbudzonych tem oczekiwanem spotkaniem, szła nie zwracając uwagi na to, co się dokoła niej działo; dażyła długą ulicą, ciągnącą się między Celusem i Awentynem, nie widząc nawet, że rozesłano na niej wzorzyste kobierce i rozsypano kwiaty. Dopiero zbliżając się do Palatynu spostrzegła, że posągi bogów przystrojone były w szaty świąteczne, a ich czoła opasane wiencami z liści dębowych i laurowych. Zwróciwszy się potem na prawo, znalazła się na drodze Świętej, którą przebywała tryumfalnie pierwszy raz wjeżdżając do Rzymu. Ciżba ludu coraz się więcej i skwapliwiej tłoczyła, kierując się ku Kapitolowi, gdzie przygotowywano jakąś wspaniałą uroczystość. Lecz co mógł obchodzić Akteę Kapitol? Ona szukała Lucjusza, a ten mieszkał w Złotym Pałacu. Doszedłszy do świątyni Remusa i Romulusa, skierowała się na lewo, szybko minęła świątynię Vesty i Jowisza Satora, weszła na schody, wiodące do Palatynu i znalazła się pod przysionkiem Złotego Pałacu.

Tu spostrzegła coś niezwykłego. Wspaniałe łożo, okryte purpurą tyryjską, bramowaną złotem, stało przed drzwiami atrium; wspierało się ono na podstawie z kości słoniowej, wysadzanej szylkretem, a draperye atlickich materyj, osłaniając je, tworzyły jakby rozległy namiot. Całem ciałem zadrżała Aktea, krople zimnego potu wystąpiły na jej czoło, ciemny obłok zasłonił jej

oczy. To łoże, wystawione przed oczy ludu, było łożem małżeńskim cezara. Chciała wątpić jeszcze. Zbliżywszy się do niewolnika, spytała się: co znaczyła ta wystawa, ten zaś jej odpowiedział, że to było łoże Nerona, którego zaślubiny odbywały się w tej chwili w świątyni Jowisza Kapitolijnskiego.

Wówczas w duszy młodej dziewczyny z całą siłą odżyła gwałtowna namiętność, która się stała przyczyną jej zguby. Zapomniała o wszystkim: o katakumbach, które jej dały schronienie, o chrześcijanach, którzy w niej położyli nadzieję, o niebezpieczeństwie Pawła, który ją uratował i któremu teraz wywzajemnić się była obowiązana; chwyciła za sztylet, który miał być obroną jej ezei i przebiegłszy schody, z pierśią wezbraną zazdrością, rzuciła się ku Kapitolowi, aby zobaczyć nową rywalkę, która jej wydarła serce kochanka w chwili, gdy je odzyskać miała nadzieję.

Tłok był ogromny, a jednak z tą siłą, jaką daje namiętność, otwierała sobie w ciżbie przejście, bo chociaż nie widać było jej twarzy, okrytej zasłoną, każdy jakby przeczuwał, że ta kobieta, o pewnym i szybkim kroku, zmierzała do celu ważnego i że trzeba ustąpić jej z drogi. Szła więc wciąż drogą Świętą, aż do łuku Scypiona, potem zwracając się krótszem przejściem między więzieniem publicznem i świątynią Zgody, wbiegła do świątyni Jowisza Kapitolijnskiego.

U stóp posągu boga stali narzeczeni. Otaczali ich świadkowie w liczbie dziesięciu, wymaganej przez prawo, wybrani z grona najszlachetniejszych patrycyuszów, siedzący na krzesłach, obitych runem owiec ofiarnych. Ponieważ narzeczeni okryte mieli twarze

zasłoną, nie mogła Aktea zrazu poznać nowej wybranki cezara. Ale w tejże chwili wielki kapłan, współ z flaminem Jowisza, odbywszy libację z mleka i wina miodem osłodzonego, zbliżył się do cezara i rzekł:

— Lucyuszu - Domicyuszu - Klaudyuszu Neronie, daję ci Sabine; bądź jej małżonkiem, przyjacielem, opiekunem i ojcem; czynię cię panem iej majątku i powierzam ją dobrej twej wierze.

To rzekłszy, złączył ręce małżonków i podniósł zasłonę nowozaślubionej, aby każdy mógł powitać żonę cezara.

Aktea słyszała imię Sabiny, wypowiedziane przez areykapłana, nie dowierzała jednak uszom własnym, sądziła, że ją słuch myli, że Neron nie mógł się poniżyć do tego stopnia, iżby miał poślubić niewolnicę; lecz gdy areykapłan odsłonił twarz poślubionej, wszelka wątpliwość znikła. Była to istotnie niewolnica z okrętu i z kąpieli, siostra Sporusa: cesarz ją uroczyście pojął za małżonkę wobec bogów i ludu...

Teraz dopiero zrozumiała Koryntyanka to dziwne uczucie, jakiego zawsze doświadczała dla tej tajemniczej istoty: był to ów wstręt, owe przeczucie nienawiści, których kobiety doznają dla tych, co się stać kiedyś mają ich rywalkami. Neron zaślubiał tę dziewczynę, która jej kiedyś darował, która jej służyła, która była jej niewolnicą — która może nawet i wtenczas dzieliła już z nią miłość kochanka — nad którą miała prawo życia i śmierci, a której nie zdusiła jak węża, co miał kiedyś pożerać jej serce. To niepodobna! Drugi raz zwróciła na nią oczy. Ale nie pomylił się kapłan, nie pomyliła się i ona —

była to niewątpliwie Sabina — Sabina w ubraniu nowozaślubionej: w tunice białej, ozdobionej wstęgami, przepasana paskiem z wełny owczej, który sam tylko małżonek miał prawo rozerwać, mająca we włosach dziuryt złoty na pamiątkę porwania Sabineki, a na ramionach zasłonę płomienistego koloru, ową weselną ozdobę, którą jedynie w dzień ślubu przywdziewały Rzymianki, upatrując w niej wróżbę błogiego pożycia, ponieważ był to strój zwyczajny żon kapłanów, którym prawo nie dozwalało rozwodu.

Nowożeńcy powstałi i wyszli ze świątyni. U drzwi czekało na nich czterech obywateli ze stanu rycerskiego niosący bóstwa, opiekujące się małżeństwami i cztery dostojne patrycyuszki, trzymające w rękach pochodnie z drzewa sosnowego. Tigellin oczekiwał ich na progu z posagiem nowozaślubionej. Neron przyjął go, włożył na głowę Sabiny wieniec, a na jej ramiona płaszcz żon cesarów, wsiadł potem do lektyki otwartej i ucałował żonę w oczach ludu, który na ten widok zaczął klaskać i rozgłośnie życzyć małżonkom liczego potomstwa.

Aktea szła za orszakami ślubnym sądząc, że się udawał do Pałacu Złotego. Ale orszak, opuściwszy Kapitol, skierował się ku Vicus Tuscus, przebył Velabrium, plac Argiletu i przez bramę tryumfalną, udał się na pole Marsowe. Cezar bowiem chciał całemu Rzymowi ukazać nową swoją małżonkę. Prowadził ją na Forum Olitorium, do teatru Pompejusza, do portyków Oktawii, słowem w miejsca najliczniej uczęszczane.

Aktea szła wszędzie za niemi: na place targowe, do świątyni na przechadzki publiczne. Obiad wspa-

niały został zastawiony na wzgórzach ogrodów. Tam stała wsparta o drzewo przez cały czas weselnej uczty. Wracali potem przez Forum Cezara, gdzie Senat oczekiwał nowożeńców. Słuchała mów wygłaszanych ukryta za posagiem dyktatora. Cały dzień szedł podobnie, bo dopiero wieczorem orszak udał się ku Złotemu Pałacowi, więc przez cały dzień była na nogach Aktea, bez żadnego posiłku, nie czując głodu, pragnienia, ani znużenia, płonąć ogniem zazdrości, który całą jej istotę trawił.

Gdy orszak wszedł do pałacu cesarza, Aktea do stała się tam bez trudności, bo Neron, odrzucając przykład Tyberjusza, nie obawiał się ludu. Jego rozrzutność, jego igrzyska, widowiska, jego nawet okrucieństwa, które dosięgały przeważnie tylko głowy dostojne i nieprzyjaciół religii pogańskiej, zjednały mu popularność tego ludu zdemoralizowanego, który żył teraz hasłem: *panem circenses!* Kto jego požądania zadawał, mógł się cieszyć jego względami.

Aktea знаła rozkład pałacu, bo nieraz przebiegała z Lucyuszem jego komnaty. Jej biała zasłona i także suknie, dawały jej pozór uczestniczki orszaku weselnego. Nikt też nie zwrócił na nią uwagi, mogła więc, gdy cesarz udał się z małżonką do triclinium na posiłek wieczorny, dostać się niepostrzeżenie do małżeńskiej komnaty, gdzie zostało odniesione już łożo.

Przebyła tam już dwie godziny, ukryta za draperiami łoża, nieruchoma, niema, tłumiąc oddech w piersi. Nie wiedziała, nie zdawała sobie sprawy, po co tu przyszła, ale przez całe te dwie godziny, jej dłoń ani na chwilę nie opuściła rękojeści sztyletu.

Nakoniec usłyszała lekkie kroki kobiet, zbliżających się ku sypialni, a po chwili drzwi się otworzyły i Sabina, wiedzona przez znakomitą patrycyuszkę, nazwiskiem Kolwia Kryspinella, która jej służyła za matkę, jak Tigellin za ojca, weszła do komnaty w swym weselnym stroju, już jednak bez paska, który Neron zerwał podczas wieszery. Kolwia rozwiązywać zaczęła splety jej warkoczy, utrefionych nad głową w kształcie wieży, a gdy włosy rozplynęły się na ramiona, zdjęła z niej flammeum i rozwiązała zwierzchnią szatę tak, iż Sabina w spodniej tylko została tunice.

Rzecz dziwna: w miarę jak z rywalki znikaly kolejno suknie, zaczęła się ona w oczach Aktei przeobrażać, aż wreszcie Koryntyanka ujrzała przed sobą Sporusa w tej samej postaci, w jakiej go po raz pierwszy zobaczyła, gdy schodził z okrętu i szedł przy Lucyuszu w swej krótkiej, przezrystej tunice, z ramionami nagiemi i rozpuszczonymi włosami. Byłże to sen — czy jawa? Czy brat i siostra jedną stanowili istotę? czy też rozum straciła Aktea?

Kolwia, rozebrawszy zagadkową postać, skłoniła się jej, a gdy patrycyuszce dziękowała za pomoc tamta, Koryntyanka poznała głos Sporusa, jak niedawno poznała głos Sabiny. Nakoniec Kolwia wyszła.

Nowozaślubiona, zostawszy sama, obejrzała się na wszystkie strony, a sądząc, że nikt jej nie widzi, opuściła ręce z wyrazem znużenia, westchnęła, z oczu jej dwa strumienie łez płynąć zaczęły; potem z uczuciem głębokiej odrazy zbliżyła się do łóżnicy. Zaledwie jednak stąpiła na pierwszy stopień nogą, cofnęła się w tył, wydając krzyk przeraźliwy; spostrzegła bowiem,

wśród zwojów purpurowej kotary, wybladła twarz Koryntyanki, która widząc się odkrytą, jednym skokiem, jak tygryscica, do rywalki się rzuciła. Tamta była zbyt słabą istotą, by mogła uciekać lub bronić się; padła więc na kolana, wyciągając ręce i ze drżeniem patrząc na błyszczące ostrze sztyletu; po chwili promień nadziei ożywił jej oczy.

— Czyś to ty, Akteo? ty? — zapytała.

— Tak jest, to ja! — odparła Koryntyanka. — Ale kto ty jesteś? Czyś Sabina, czyś Sporus? Czyś mężczyzna, czy kobieta?... Mów! odpowiadaj...

— Niestety! Niestety! — szepnął eunuch, padając u nóg Aktei — nie jestem ani jednym ani drugim.

I zemdał.

Aktea zdumiona upuściła sztylet.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty weszli niewolnicy, aby ustawić dokoła łóża posągi bóstw małżeńskich. Spostrzegłszy zemdlonego Sporusa, nachyloną nad nim kobietę bladą, z płonącym wzrokiem, a obok niej leżący sztylet, domyślili się snadnie zamachu. Porwali tedy Akteę i wtrącili do lochów pałacu, obok których przechodziła niedawno, gdy ją Lucyusz przywołał do siebie i skąd ją tak żalosne wówczas dochodziły skargi.

Znalazła się tam razem z Pawłem i Sylasem.

— Czekałem na ciebie — rzekł do niej Paweł.

— Mój ojcie — zawołała Aktea — przybyłam do Rzymu, aby cię ratować...

— I nie mogąc tego dokonać, przychodzisz śmierć ze mną podzielić?

— Nie, ojcie — westchnęła zawstydzona — nie,

jam zapomniała o tobie. Jam niegodna, abys mnie swą córką nazywał. Jestem nieszczęsna, szalona istota, nie zasługująca ani na litość, ani na przebaczenie.

— Kochasz go więc zawsze?

— Nie, już go nie kocham, mój ojeze, bo niepodobna, abym go jeszcze kochała. Jestem tylko obłąkana, opętana... Któż mi rozum powróci? Niema takiej mocy, takich zaklęć, któreby zdolne były to uczynić...

— Przypomnij sobie dziecię niewolnika: kto leczy ciało, ma także moc uzdrawiania duszy.

— Zapewne, ale dziecię niewolnika brak wiary zastępowało niewinnością, a ja nie mam jeszcze wiary i nie mam już niewinności.

— A jednak, jeżeli możesz czuć żal i skruchę, nie jesteś jeszcze zgubioną — zauważył apostoł.

— Nie wiem! nie wiem! — szepnęła Aktea z powątpiewaniem.

— Zbliź się do mnie — rzekł Paweł, siadając na wystającym z ziemi głazie — będę ci mówił o twoim ojcu.

Aktea padła na kolana, głowę wsparła na ramieniu starca, on zaś przez całą noc pobudzał ją do skruchy i nauczał. Łkaniem tylko odpowiadała mu pokutnica, lecz gdy ranek zajaśniał, już gotową była do przyjęcia Chrztu Ś-go.

Prawie wszyscy więźniowie, zamknięci z Pawłem i Sylasem, byli to chrześcijanie z katakumb; znali tedy Akteę, widzieli jej enoty, ale jej błędów nie znali. Teraz przez całą noc zasyłali modły do Boga, aby promieniem wiary obdarzył biedną poganę; radość przeto

ich ogarnęła, gdy im apostoł oznajmił, że Bogu przybyła jedna więcej służebnica.

Nie ukrywał Paweł przed Akteą, że tytuł chrześcijanki wielkich od niej wymaga ofiar; musi się zrzec ziemskiej miłości, a w danym razie poświęcić nawet życie. Codziennie z lochu zabierano kilku wężniów, skazanych na śmierć krzyżową lub na arenie cyrku. Uprzedził przeto Paweł Akteę, że wraz z nową wiarą, przyjmuje zobowiązanie męczeństwa.

Aktea zatem wiedziała, co ją czeka, czuła też, że poświęceniem życia okupi niedostateczną znajomość nowej wiary. Już zresztą dawno tę nową wiarę ceniła; przekonywała się bowiem z dniem każdym, że pogaństwo jest źródłem złego, gdy chrześcijaństwo błogosławione krzewi cnoty. Zresztą nie mogąc żyć przy Neronie, pragnęła umrzeć z Pawłem.

Apostoł nie zwlekał z udzieleniem Aktei chrztu. Towarzysze niedoli otoczyli ją kołem, ona zaś uklekła wśród nich, na smudze światła, które przedzierając się przez zakratowane okienko, padało na wilgotną ziemię lochu. Paweł stał nad nią, modląc się z rękami podniesionymi, a Syłas schylony trzymał w ręku naczynie z wodą święconą i pęk zielonego bukszpanu. Gdy Aktea kończyła akt apostołów, to starożytne *credo*, które aż do dni naszych pozostało bez zmiany wyrazem wiary, drzwi się otworzyły z wielkim łoskotem, ukazali się żołnierze, a na ich czele Anicetus, który uderzony dziwnym widokiem więźniów, modlących się na kolanach, stanął milczący i nieruchomy na proggu.

— Czego chcesz? — zapytał go Paweł.

— Przychodzę po tę dziewicę — odparł Anicetus, wskazując Akteę.

— Ona nie pójdzie za tobą — rzekł Paweł — bo nie masz do niej praw żadnych.

— Ona należy do cezara — zawołał Anicetus.

— Mylisz się — zaprzeczył Paweł, który właśnie wylał wodę świętą na głowę Aktei i wymówił słowa obrzędu — ona należy już do Boga.

Aktea wydała krzyk i zemdląła, uczuła bowiem, że Paweł powiedział prawdę i że słowa obrzędu już na wieki rozdzieliły ją z Neronem.

— Ciebie więc zaprowadzę do cezara w jej miejsce — rzekł Anicetus, dając znak żołnierzom, aby pochwycili Pawła.

— Czyni, co ci się podoba — odparł apostoł — jestem gotów na wszystko, bo wiem, że czas nadszedł, abym zdał sprawę w niebie z mego posłanictwa na ziemi.

Paweł, stawiony przed cezara, został skazany na ukrzyżowanie. Powołał się jednak na obywatelstwo rzymskie i gdy się przekonano, że istotnie, jako mieszkaniec miasta Torres w Sycylii, posiada ten przywilej, zmieniono mu karę krzyża na karę miecza i ścięto go na Forum.

Neron był świadkiem wykonania wyroku. Widowisko jednak nie zadowoliło ludu, trwało bowiem krótko, a tłuszcza spodziewała się widoku dłuższych męczarni. Rozległy się więc szemrania. Neron, dbały o swoją popularność, przyrzekł ludowi, że w nadchodzącą rocznicę śmierci Juliusza Cezara, uraczy go walkami gladyatorów i wieloma innymi niespodziankami.

V

Z niecierpliwością oczekiwano zapowiedzianych igrzysk. Ze wszystkich bowiem widowisk, jakimi edytlowie, pretorowie i cesarowie lud zabawiali, do najulubieńszych należały łowy dzikich zwierząt i walki gladyatorów. Ongi były one urządzone oddzielnie, ale Pompejusz powziął myśl połączenia ich z sobą i podczas drugiego konsulatu swojego, z okazji poświęcenia świątyni Wenery Zwycięskiej, urządził walkę dwudziestu słoni dzikich z Getulami, uzbrojonymi w dziury. Wprawdzie znacznie dawniej, jak świadczy Tytus Liwiusz, w dniu jednym zabito sto czterdzieści dwa słonie w cyrku; ale zwierzęta te, zdobyte w bitwie z Kartagińczykami, których Rzym, wówczas przezorny i ubogi, ani chciał karmić, ani oddać sprzymierzeńcom, zostały pozabijane grotami i strzałami przez widzów, siedzących na ławach amfiteatru. W osmdziesiąt lat później, roku 523 od założenia Rzymu, Scypion Nazika i P. Lentulus wystawili w cyrku sześćdziesiąt trzy afrykańskie pantery i już zdawało się, że Rzymianie zubożeli dla tego rodzaju widowisk, gdy Segurus rozbudził ich zajęcie występując z nowością: napelnił wodą amfiteatr i do tego udanego morza wpuścił dwa dziesiątki hippopotamów i trzy dziesiątki krokodyłów. Sylla, pretor, poświęcił na łowy sto lwów grzywiastych, Pompejusz trzysta piętnaście, a Juliusz Cezar czterysta; nakoniec August, który dziedziczył po Oktawiuszu nieco krwawych jego skłonności, kazał zabić na arenie trzy tysiące pięćset lwów, tygrysów i pan-



ter. O niejakiem P. Soewiliuszu to tylko zostało wspomnienie, że urządził widowisko, podczas którego zabito trzysta niedźwiedzi, tyleż panter i lwów, sprowadzonych z pustyni afrykańskich. Z biegiem czasów na arenach zabijano coraz większe ilości dzikich bestyj. Tytus, w czasie jednych łowów, wystawił na zabicie aż pięć tysięcy wszelkiego rodzaju zwierząt.

Ale Neron przeniósł wszystkich przepychem i urozmiačeniem igrzysk. Oprócz piędźniych haraczów, nałożonych na prowincye podbite, Nil i pustynie, woda i piaski, płaciły mu daniny ze lwów i tygrysów, panter i krokodyłów. Co do gladyatorów, jeńcy wojenni i chrześcijanie zastępowali ich dostatecznie; zbywało im wprawdzie na zręczności, jaką się odznaczali szermierze zawodowi, ale przewyższali tych ostatnich odwagą, dochodzącą nieraz do bohaterstwa. Umieć umierać wspianiale, a tego właśnie żądał lud.

Cały więc Rzym zgromadził się w cyrku. Tym razem pełną dłonią zaczerpnięto w pustyniach i więzieniach: tyle było dzikich zwierząt i ofiar ludzkich, że całą dobę trwać miały igrzyska. Neron nadto przyrzekł nowym sposobem oświecić cyrk, za co został powitany grzmiącemi oklaskami. Ukazał się przybrany, jak Apollo, miał więc, jak bóg pityjski, łuk i strzały. W przerwach bowiem zapasów, zapragnął się popisować jako łucznik. Przeniesiono z lasu Albano do Rzymu kilkaset drzew, wyjętych z korzeniami i wkopano wśród areny; na drzewach tych, siedziały pawie i bażanty oswojone, których jaskrawe i błyszczące niby drogic kamienie pióra, stanowiły wyraźny cel dla cezara. Zdarzało się też, że Neron, litując się nad jakim

ranionym lub karząc niedołęznego szermierza bądź niezbyt zajadlc rozszarpującego ofiary zwierza, godził ich śmiertelną strzałą lub włócznią.

Jednocześnie z przybyciem do cyrku cezara, gladyatorowie ukazali się na arenie. Ci, co mieli rozpocząć zapasy, byli własnością bogatych patrycyuszów. Ponieważ jednak igrzyska zapowiedziano jako szczególnie uroczyste, przeto kilku młodych patrycyuszów zmieszalo się z gladyatorami chcąc przez to przypodobać się władcy. Mówiono, że dwaj z nich, przyszedłszy do nędzy przez rozpustę, wynajęli się, jeden za dwieście piędździesiąt, drugi za trzysta tysięcy sestercyj.

Gdy wchodził do cyrku Neron, gladyatorowie znajdowali się już w szrankach, oczekując na znak, a tymczasem próbowali sił swoich, jak gdyby zapasy, które mieli stoczyć, były tylko prostem w sztuce szermierstwa ćwiczeniem. Lecz zaledwie rozległy się wołania: — Cezar! Cezar! — i nowy Apollo zasiadł w swej loży, umieszczonej naprzeciw westalek, przelożeni igrzysk niezwłocznie rozdali wyostrzoną broń gladyatorom zamiast tępej, którą próbne staczali walki. Otrzymawszy oręż, przemaszzerowali przed Neronem, podnosząc swe miecze ku niemu, aby się zapewnić, że były dostatecznie wyostrzone, co mógł łatwo wykonać schylając się, loża bowiem jego o dziesięć stóp tylko była wzniesioną nad szranki.

Przedstawiono teraz cesarowi listę szermierzy, prosząc go, by oznaczył porządek zapasów. Zadecydował on, że *retiarius* i *mirmillo* wystąpią pierwsi; potem walczyć będą dwaj *dimacharij*; nakoniec dwaj *andabates*. Okres pierwszy widowiska zamknąć miało

rzucenie dwóch chrześcijan, mężczyzny i kobiety, na pożarcie dzikim bestyom. Lud oklaskiem przyjął ten program części pierwszej widowiska, która miała trwać do południa i przez drzwi z dwóch przeciwnych stron cyrku wystąpili dwaj pierwsi gladyatorowie.

Byli to, zgodnie z zapowiedzią, *mirmillo* i *retiarius*. Pierwszy, którego zwano także *secutor*, ponieważ częściej mu się zdarzało ścigać niż być ściganym, odziany był w krótką tunikę jasno zielonego koloru w srebrne pręgi poprzeczne, objętą pasem miedzianym z koralową ornamentacją; miał także z niebieskiej skóry koturny, a prawą nogę jego ozdabiał nagolennik spiżowy od kostki aż do kolana; na głowie miał hełm, wyrobiony w kształcie łba zębrego z długimi rogami, u ramienia lewego wielką tarczę okrągłą, a w prawej ręce dzirynt i wykładaną ołowiem maczugę. Było to uzbrojenie Gallów.

*Retiarius* trzymał w prawej ręce sieć, od której brał swą nazwę, a w lewej, bronionej małym puklerzem, długi, ostry trójząb stalowy, osadzony na kiju klonowym; miał tunikę z sukna niebieskiego, nagolennik ze złoczonego spiżu; twarzy nie osłonił; głowę przykrył czapką z wełny niebieskiej, przy której wisiała siatka złota.

Dwaj ci przeciwnicy zbliżali się ku sobie nie w prostej linii lecz kołując. *Retiarius* trzymał sieć przygotowaną, a *mirmillo* potrząsał swoim dziryntem. Gdy *retiarius* spostrzegł się dość blisko zapaśnika, skoczył naprzód i rzucił na niego sieć rozwiniętą; ale żadne z jego poruszeń nie uszło uwagi *mirmillona*, który zrećcznie w tył się cofnął tak, że sieć u nóg jego

upadła, on zaś, zanim *retiarius* zdołał zasłonić się tarczą, cisnął w niego swój dzirynt. Lecz i *retiarius* miał się na baczności, w czas się schylił i pocisk, wymierzony w piersi, zdjął tylko z głowy wytworną jego ozdobę.

Wówczas *retiarius*, chociaż uzbrojony trójzębem, zaczął uciekać, wlokąc sieć za sobą, broni swej mógł bowiem użyć dopiero po oplątaniu nieprzyjaciela siecią. *Mirmillo* pognął za nim, ale pogoń utrudniała mu ciężka maczuga i to jeszcze, że przez małe otwory w przyłbicy hełmu dobrze widzieć nie mógł. *Retiarius* tedy miał czas znów przygotować do rzutu sieć swoją i zarazem osłonić się od przewidywanych ciosów.

Podczas pogoni, *secutor* podjął swój dzirynt i czapkę przeciwnika, którą jako łup zawiesił u pasa. Każdy z walczących znalazł się więc ze swoim orężem. Tym razem walkę rozpoczął *mirmillon*: dzirynt jego, wyrzucony całą siłą prawicy, ugodził w tarczę przeciwnika, przebił pierwszą jej blachę spiżową, potem siedm ją powlekających rzemieni i zranił go w piersi.

Widzowie mniemając, że cios jest śmiertelny, wołać zaczęli:

— *Habet! habet!*

Ale *retiarius*, odejmując od piersi puklerz, w którym tkwił dzirynt, okazał, iż zaledwie lekko został drasnietym. Na ten widok cały amfiteatr zabrzmiał okrzykami radości, obawiano się bowiem zbyt krótkich zapaśców. Gladyatorów, którzy odrazu zadawali ciosy śmiertelne, godząc w głowę przeciwnika—choć to nie było

wzbronionem — nie obdarzano oklaskami, przeciwnie, lżono ich i usuwano z areny wzgardliwie.

Teraz zaczął uciekać mirmillon, bo jego maczuga, oręż straszny, gdy sięgał rozbrojonego ze swej sieci retariususa, stawała się prawie bezużyteczna, gdy tamten miał sieć w gotowości; zbliżając się bowiem tak do przeciwnika, aby go mógł uderzyć, musiał się jednocześnie wystawić na sploty tej zbrodniczej sieci.

Ucieczka odbywała się według wszelkich prawideł, bo i ona była sztuką. Lecz i tym razem wielką dla mirmillona przeszkodą był hełm, a raczej przyłbica, rychło też retarius tak się do niego zbliżył, że rozległy się z ław widowni krzyki, ostrzegające Galla, by się miał na baczności. Spozrzegł on też sam, że będzie zgubionym, jeżeli się jak najprędzej nie pozbędzie hełmu, który teraz był mu tylko zawadą; nie przestając więc biedz, odpiął sprzączkę żelazną i zerwawszy go z głowy, rzucił daleko od siebie. Poznano wówczas ze zdziwieniem w mirmillonie młodzieńca z najszlachetniejszej rodziny rzymskiej, nazwiskiem Festus, który przywdział hełm z przyłbicą więcej dla zamaskowania się niż dla obrony. Odkrycie to sprawiło, iż z nierównie większym zajęciem śledzono teraz przebieg walki.

Otdąd młody patrycyusz widoczną zaczął brać przewagę w pogoni za nieprzyjacielem, któremu również bieg utrudzała tarcza, przebita dziirytem; nie chciał bowiem, wyjmując go z tarczy i odrzucając, dostarczyć tym sposobem rozbrojonemu nieprzyjacielowi oręża. Pobudzony jednak okrzykami widzów i nieustanną ucieczką przeciwnika, cisnął na ziemię tarczę z grotem i również

swobodniej mógł się poruszać. W tej właśnie chwili mirmillon zatrzymał się nagle, odwrócił i wznosił maczugę, rozmachując ją nad głową do ciosu. Retarius ze swej strony sieć przygotował, ale zanim zdążył ją rzucić, już maczuga, jakby siłą machiny wyrzucona, świszcząc złowrogo, opisała łuk w powietrzu i ugodziła go w piersi. Zachwiał się retarius i padł, oplątany zwojami własnej sieci. Festus wówczas wyrwał z tarczy przeciwnika swój dziiryt i przyłożywszy grot onego do gardła leżącego bezbronne na ziemi retariususa, spoglądał na lud, aby się dowiedzieć, czy chce śmierci zwyciężonego, czy też życ mu pozwoli. Wszystkie ręce podniosły się do góry, jedne złożone, inne pojedynczo, z odstawionym wielkim palcem. Niepodobniństwem było wśród takiego chaosu żądania większości rozpoznać, zaczęto przeto wołać: — Do westalek! Do westalek!—gdyż do nich się zwracano w wypadkach tego rodzaju wątpliwości. Festus zwrócił się ku podium. Powstało dwanaście westalek: ośm z nich ukazywało odstawione palce, większość tedy była za śmiercią nieszczęśliwego szermierza. Widząc to, retarius sam ostrze dziirytu przysunął do właściwego miejsca na gardle, Festus zadał mu cios śmiertelny, a on skonał z okrzykiem:

— Cezar jest bogiem!

Lud przyklasnął zwycięzcy i zwyciężonemu, pierwszy bowiem zabił zręcznie, a drugi umarł z wdziękiem. Festus okrążył amfiteatr, dziękując skinieniem za oklaski, a gdy opuszczał arenę przez jedne drzwi, przez drugie wynoszono ciało jego spółzawodnika.

Niewolnicy poślaczanemi grabiami zrównali na

arenie piasek i zatarli ślady krwi, poczem ukazali się nowi zapaśnicy. Byli to dwaj dimacharij.

Ci szermierze walczyli bez hełmów, pancerzy, tarcz i nagolenników; w każdej ręce mieli po mieczu. Zapasy ich przypominają owe pojedynki francuskie na sztylety z czasów Frondy. Wymagały one niezmierniej zręczności i uważane były za szczyt sztuki szermierskiej, a stąd były najbardziej pożądane. Zdarzało się, że sami mistrzowie szermierstwa występowali do popisu. Tym razem walczył nauczyciel z uczniem. Ten ostatni tak się wyćwiczył w zawodzie, że uczył się na siłach zmierzenia się z mistrzem swoim. Złe obejście, jakiego od niego doznawał, zasiało w sercu jego nasiona nienawiści z pragnieniem zemsty, co jednak dotychczas najstaranniej taił. Wyczekując sposobności, wciąż się ćwiczył, aby osiąść wszystkie tajniki trudnej sztuki. I oto sposobność się nadarzyła. Wśród ludu, tak zamięłwanego w szermierstwie, zapasy te wzbudziły niezmiernie zaciekawienie. Szermierze ci walczyć z sobą mieli po raz pierwszy naprawdę, bronią wyostrzoną a nie tępą. To też ukazanie się ich powitano burzliwymi oklaskami, które wtedy dopiero umilkły, gdy na skinienie cezara, przewodniczący igrzyskom dał znak, iż należy walkę rozpocząć.

Przeciwnicy zbliżali się ku sobie przeniknięci tą głęboką zawiścią, jaką każde obudza współzawodnictwo; ale ta sama zawiść, błyskawicami wystrzelająca z ich oczu, zaostrzyła ostrożność walczących, bo nietylko szło im o życie, ale i o rozgłos, którą jeden posiadał oddawna, a drugi ubiegał się o nią w tej chwili.

Starły się ich miecze: dwa igrające węże, dwie krzyżujące się błyskawice łatwiej mogłyby być dostrzeżone w swych zmianach płomienistych ruchów, niż ruchy mieczy, którymi prawą nacierali na się ręką, gdy tymczasem mieczami ręki lewej, jakby tarczą, odbijali wzajem wymierzane ciosy. Przechodząc koleją z ataku do obrony, cofnął zrazu uczeń nauczyciela aż pod łożę cezara; potem nauczyciel aż do podium westalek przyparł ucznia; po chwili znowu obaj wrócili na środek cyrku, obaj nietknięci, chociaż najmniej dwadzieścia razy każdy miecz tak blisko był piersi, że rozdarł tuniki, serca pod nią szukając. Nakoniec odskoczył w tył młodszy—widzowie wykrzyknęli:

— *Habet!*

Krew strumieniem spływała mu z pod tuniki po nodze, mimo to, więcej jeszcze zaciekły, znów rzucił się do walki i po dwóch starciach okazało się, że i nauczyciel uczył ostrze żelaza w swych żyłach. Tym razem jednak żaden okrzyk się nie rozległ z ław amfiteatru; naprężona ciekawość jest niema. Za każdym ciosem, zręcznie wymierzonym lub odpartym, rozlegał się tylko ów szmer głuchy, który objaśnia aktora, iż jeżeli mu publiczność nie przyklaskuje, czyni to dlatego, żeby nie przerywać gry jego.

Zapał walczących wzmagał się, miecze krzyżowały się coraz szybciej; zdawało się, że walka nie będzie rozstrzygnięta i że ją przerwie dopiero wyczerpanie sił. Nauczyciel, cofając się przed uczniem, pośliznął się i upadł: jego noga trafiła na miejsce krwią świeżą zbroczone; uczeń, korzystając z tej przypadkowej przewagi, rzucił się na niego z zajadłością. Ku

wielkiemu zdziwieniu widzów, żaden z nich się nie podnosił. Cały amfiteatr powstał wznosząc w górę złączone dłonie, wołano:

— Wolność i życie!

Zapaśnicy wciąż leżeli nieruchomie. Wówczas wszedł na arenę kierownik igrzysk, niosąc dzielnym szermierzom od cezara palmy zwycięstwa i różdżki wolności. Ofiarował je umarłym, bo zapaśnicy, splótnięszy się rękoma, zadusili się w uścisku.

Wystąpić teraz mieli *andabatae*, zapewne dla urozmaicenia programu. Te zapasy nie wymagały sztuki ani zręczności, szermierze bowiem mieli głowy całkiem osłonięte hełmami, w których znajdowały się tylko otwory przy ustach dla oddychania i przy uszach dla słyszenia — walczyli tedy na ślepo. Lud atoli niezmiernie lubił tę straszną „ślepą babkę“, w której każdy cios był niebezpieczny, bo zapaśnicy nie posiadali nic, coby go odwrócić lub osłabić mogło.

W chwili, gdy te ofiary — tych bowiem zapaśników nie można było uważać za właściwych szermierzy — zostały wprowadzone na arenę wśród wybuchów śmiechu widzów, Anicetus zbliżył się do cezara i wręczył mu listy. Neron czytał je z wielkim niepokojem, a przy ostatnim twarz mu się dziwnie zmieniła. Czas pewien jakby się namyślał, następnie wstał i wyszedł spiesźnie, polecając, aby nie przerywano igrzysk. Nie był to wypadek nadzwyczajny. Owszem, często się zdarzało, że pilne sprawy powoływały cesarów z igrzysk na Forum, do Senatu albo do Pałatynu, co bynajmniej nie trwożyło widzów. I tym więc razem nie zwrócono uwagi na oddalenie się ce-

zara, a nawet z zadowoleniem patrzano na opuszczającego swe miejsce władcę. Lud teraz, pozbywszy się krępującej go obecności pana, uczuł się zupełnie swobodnym i lepiej się bawił.

Igrzyska tedy trwały w dalszym ciągu. *Andabatae*, wprowadzeni na arenę, poruszali się niezgrabnie, usiłując odnaleźć się i zbliżyć do siebie za pomocą słuchu i przy jego też pomocy starając się odgadnąć niebezpieczeństwo.

Wywiązywały się stąd sceny komiczne. Jeszcze byli daleko od siebie, a już wzięli się do oręża, lecz miecze ich siekły tylko powietrze.

Widzowie, śmiejąc się, objaśniali ich fałszywie krzykami:

— Naprzód! Śmiało! Na prawo! Na lewo!

Oni, słuchając tych wskazówek, coraz bardziej się oddalali, aż znaleźli się tyłem odwrócenii do siebie, nie przestając machać mieczami. Szydercze śmiechy wyprowadziły ich z błędu. Po jakimś czasie udało im się zbliżyć wzajem i rozpocząć walkę. Miecze się skrzyżowały, jeden z zapaśników otrzymał cios w udo, drugi w lewe ramię. Znow się potem oddalili, a ponieważ nie mogli się rychle odszukać, jeden położył się na ziemi, aby podsłuchać kroki przeciwnika i cios mu zadać podstępny. Gdy się ów zbliżył, leżący ciał go silnie mieczem. Tamten cofnął się, zaczepił nogą o leżącego i sam upadł w pobliżu. Podniósł się jednak zaraz, przyklęknął i mieczem kreśląc koła po arenie, trafił wreszcie na szyję wciąż leżącego przeciwnika w miejscu przez hełm nieodsloniętem. Zamach był tak silny, że ściał głowę przeciwnika, jak brzy-

twą. Ścięta głowa potoczyła się w swej żelaznej powłoce na bok, kadłub drgał, brocząc krwią i po chwili dopiero znieruchomiał. Pozostały przy życiu gladiator, słysząc okrzyki ludu, zrozumiał, że zadał cios śmiertelny przeciwnikowi. Wstał, a nie wiedząc, co się stało, wciąż się jeszcze bronił, siekąc mieczem powietrze dokoła. Trwało to dopóty, dopóki na arenę nie wszedł przełożony igrzysk i nie zdjął mu hełmu, mówiąc:

— Zwyciężyłeś, jesteś teraz wolnym.

Poczem wyprowadził go przez drzwi, zwane *sana vivaria*, ponieważ tamtędy wychodzili ocaleni szermierze, gdy trupów wynoszono przez *spoliarium*, rodzaj korytarza, biegnącego pod ławami amfiteatru, w którym na rannych oczekiwali lekarze, i przechadzali się poważnie dwaj ludzie, jeden przebrany za Merkurego a drugi za Plutona; Merkury miał obowiązek sprawdzać, czy w ciałach, napozór martwych, nie tleją jeszcze iskry życia, a dokonywał to dotykając je końcem rozpalonego w ogniu kaduceusza; Pluton zaś zabijał młotem tych, których lekarze za nieuleczalnych uznali.

Skoro ślepi szermierze znikli z areny, wielki zgłęb zapanował w cyrku w oczekiwaniu na bestyriów, t. j. zapaśników, walczących z dzikimi zwierzętami. Tym razem zapaśnikami mieli być chrześcijanie. Zwykle przy tych zapasach sympatya ludu była po stronie szermierzy, ale gdy w ich roli występowali znienawidzeni wyznawcy nowej wiary, przerzucą się na stronę zwierząt. Tak samo było i teraz.

Tłum obiecywał sobie obfitą ilość krwawych

wrażeń, więc niecierpliwił się. Lżono niewolników, że zbyt wolno przywracali do porządku krwią obluźaną arenę. Niewolnicy spieszyli się usilnie, wkrótce też zjawiły się nowe ofiary.

Ukazała się najprzód kobieta w szacie białej i takąż okryta zasłoną. Przyprawdzono ją do wkopanego pośrodku drzewa i przywiązano do niego w połowie ciała. Jeden z niewolników zdarł z niej zasłonę, a widzowie ujrzeni twarz wspaniale piękną, bladą, z wyrazem spokojnej rezygnacyi. Tłum zaszemrał. Chociaż młoda dziewczica była chrześcijanka, jednak wzbudziła spótczucie wśród tych rzesz, rzadko się wzruszających i zwykle w nienawiści zajadłych. Po chwili na arenie ukazał się młodzieniec. Zawsze bowiem do walki z dzikimi bestyami stawiano chrześcijanina i chrześcijankę, dając pierwszemu wszelkie środki obrony, a to dlatego, aby usiłowanie ocalenia życia nie tylko własnego lecz i swej towarzyszki, którą była zwykle jego siostra, kochanka lub matka, pobudzając nową odwagę w bracie, kochanku lub synu, przedłużało zapasy, od których się zawsze prawie usuwali chrześcijanie spragnieni męczeństwa, chociaż wiedzieli, że zostaną wolni, jeżeli pokonają trzy pierwsze zwierzęta, jakie na nich wypuszczą.

Młody chrześcijanin, chociaż odrazu można w nim było poznać odwagę, siłę i zręczność, również nie myślał wależyć z żarłocznymi bestyami. Gdy mu niewolnicy podali miecz, dwa oszczepy i przyprowadzili numidyjskiego rumaka, on wstrząsnął głową, przeszedł się po arenie, spojrzął wzrokiem spokojnym po przypatrujących mu się z gorączkowym oczekiwaniem tłumach,

potem dał znak ręką, że nie chce konia ani broni, natomiast upadł na kolana wznosił oczy w niebo i zaczął się modlić. Lud, zawiedziony w oczekiwaniach, zaczął szemrać i grozić. Zgromadził się na widowisko, a nie na męczeństwo. Gdy groźby nie pomogły, zaczęło wołać:

— Na krzyż! Na krzyż!

Ów wrzask napelniał młodzieńca rozkoszą — twarz mu się rozjaśniła, oczy zapały odblaskiem przeczuwanych błogości niebiańskich. Wyciągnął rękę do tłumu, dziękując mu za wyrok śmierci męczeńskiej. W tej chwili usłyszał za sobą głębokie westchnienie dziewczki.

— Wołasz mnie, Akteo? — zapytał.

— Sylasie, zlituj się nade mną — szepnęła błagalnie Aktea — gdym cię ujrzała, promień nadziei wstąpił w me serce... Tyś mężny, silny i nawykły do walki z mieszkańcami lasów i pustyń; gdybyś chciał walczyć, możebyś nas oboje ocalił...

— A męczeństwo? — przerwał Sylas, ukazując na niebo.

— A cierpienie? — rzekła Aktea, zwieszając głowę na piersi. — Niestety! jam nie miała szczęścia urodzić się, jak ty, w mieście świętem; jam nie słuchała słów Prawdy z ust Tego, dla którego mamy umierać. Jestem córką Koryntu, wychowaną w religii mych przodków; dzisiejsza wiara moja jest nowa, a wyraz męczeństwo znany mi jest zaledwo od dnia wczorajszego. Może miałabym odwagę sama umrzeć wśród męczarni, ale nie będę mogła patrzeć na twoje udęczenia... Zlituj się Sylasie...

— Dobrze, stanę do walki — rzekł Sylas — jestem bowiem pewny, że nie minie mnie to szczęście, które mi dzisiaj wydierasz.

To rzekłszy, dał znak rozkazujący niewolnikom i zawołał wyniosłe:

— Konia, miecz i oszczepy!

Usłyszawszy rozkaz Sylasa, tłum grzmiącemi wybuchnął oklaskami, spodziewając się, że ujrzy walki herkulesowe, zdolne wstrząsnąć do głębi najbardziej wygasłe serca.

Sylas zbliżył się do konia: był on także synem Arabii. Dwaj współziomkowie poznali się; człowiek przemówił do konia kilka wyrazów w języku nieznanym, a szlachetne zwierzę zarżało, jakby pojmując ich znaczenie. Wówczas Sylas zrzucił z grzbietu konia siodło, uwolnił go także od wędzidla, a rumak wdzięcznymi skokami okazywał radość z uwolnienia go od tego jarzma, które obrażało jego dumę.

Z kolei Sylas odrzucił te części odzieży, któreby mu swobodę ruchów kępowały, zwinął swój płaszcz czerwony około lewego ramienia, pozostał tylko w tunice i zawoju. Przypasał potem miecz, wziął do ręki oszczepy, przywołał konia, który mu był posłuszny, jak ulaskawiona gazella, dosiadł go, trzykroć okrążył drzewo, do którego była przywiązana Aktea, podobny do Perseusza, występującego w obronie Andromedy. Rumaka kierował tylko głosem i dotknięciem kolan; znać było, że duma Araba zaczęła brać górę nad pokorą chrześcijanina.

Rozwarły się wielkie drzwi pod podium i potężny byk z Korduby, podrażniony przez niewolników,

wpadł rycząc na arenę, przebiegł kilka kroków, a oślepiiony blaskiem i ogłuszony okrzykami tłumów, stanął, usiłując zrozumieć, co się z nim dzieje. Spostrzegłszy Sylasa, zmierzył go krwawym wzrokiem, pochylił olbrzymi łeb i zaczął przednimi nogami miotać piasek pod brzuch, rył ziemię nogami, buchając z nozdrzy parą. Rzuceno mu wtenczas pod nogi wór słomą wypchany, mający podobieństwo postaci ludzkiej. Zwierz poskoczył do niego, aby stratawać kopytami mniemanego wroga. Gdy był tem zajęty, Sylas cisnął włócznię, która utkwiała głęboko w łopatkę olbrzyma. Wstrząsnął się byk, zaryczał z bólu i ze łbem spuszczoneym, znacząc za sobą na piasku ślad krwi strugą, zwrócił się ku nowemu napastnikowi. Ten, pozwoliwszy mu się zbliżyć tuż, uskoczył nagle w bok, a gdy byk w rozpędzie go mijał, Arab drugi dziryt utopił mu w boku. Zwierz stanął, nogi się pod nim zachwiały, lecz po chwili odzyskał siły i natarł na jeźdźca, który szybko uchronić zaczął.

Rozpoczęła się gonitwa dokoła amfiteatru. Zwierz widocznie słabł, biegł coraz wolniej, wreszcie padł na przednie kolana. Po chwili zerwał się, rycząc straszliwie i śnać odstąpiwszy zamiaru dopędzenia Sylasa, rozglądał się dokoła, szukając nowej ofiary, na której mógłby swą wściekłość wyrzucić. Spostrzegł Akteę. Rzucił się ku niej, co widząc Koryntyanka krzyknęła trwożnie. Czuwał jednak nad nią Sylas. Zaraz puścił się za bykiem, dognał go w kilku susach, z konia na jego grzbiet przeskoczył, ująwszy lewą ręką róg, łeb mu na bok przekreślił, a prawą zadał cios śmiertelny, wbijając mu w piersi miecz aż po ręko-

jeść. Zwierz zachwiał się i padł o pół włóczni od Aktei, która wybladła, drżąca, z zamkniętymi oczyma oczekiwała śmierci, była bowiem pewna, że ją byk stratuje i rozszarpie. Okrzyki i oklaski tłumów oznajmiły jej zwycięstwo Sylasa—wtedy dopiero otworzyła oczy.

Trzej niewolnicy weszli na arenę. Dwaj z nich prowadzili konie, które zaprzęgli do byka, aby go wywlec ze szranek, trzeci trzymał w ręku amforę z winem i czarę, którą napełnił i podał Sylasowi. Ten lekko zwilżył w niej usta i innej broni zażądał. Przyniesiono mu łuk, strzały i nowy oszczep, potem wszyscy spiesznie opuścili arenę, bo pod lożą cezara podniosła się krata, i wspaniały lew Atlasu wkroczył majestatem na widownię.

Miał istotnie pozór króla zwierząt. Znalazłszy się wśród potoków światła, zaryczał tak donośnie, że wzdrygnęli się widzowie, a i rumak numidyjski zarżał z przestachu. Sam tylko Sylas, oswojony z tym głosem potężnym, który tyle razy słyszał w pustyniach swej Ojczyzny, rozścielających się od jeziora Asfaltyny do źródeł Mojżesza, spokojnie przygotowywał się do walki, ukryty za drzewem, wkopany blisko tego, do którego przywiązana była Aktea. Tam przyczajony kładł na cięciwę najostrzejszą ze strzał swoich.

Tymczasem lew, nie przewidując niebezpieczeństwa, kroczył po arenie z dawnym majestatem; niekiedy zatrzymywał się, poziewał i piasek areny kiciastym ogonem zamiatął. Niewolnicy zaczęli go jątrzyć z ukrycia, miotając na niego chorągiewki o jaskrawych barwach. Zwierz nie wychodził jeszcze



z równowagi. Naraz świsnęła strzała Sylasa i utkwiała w łopalcę króla pustyni. Lew zatrzymał się, okazując więcej zadziwienia niż bólu, i jakby nie wierząc, aby mogła się znaleźć tak zuchwała istota, któraby go śmiała do walki wezwać. Lecz gdy ból się zwiększył, zwierz wstrząsnął się, ślepia krwią mu nabiegły, otworzył paszczę i wydał ryk, podobny do grzmotu, wybiegającego z pieczary podziemnej; potem wyrwał strzałę z rany, skruszył ją w zębach, rzucając dookoła spojrzenie tak straszne, że widzowie, chociaż odgradzeni od areny kratą żelazną, cofnęli się w tył z przerażeniem. Lew widocznie szukał przedmiotu, na którymby swój gniew królewski mógł wyrzucić. W tej chwili spostrzegł konia, który porzucony przez swego jeźdźcę, drżał, jak gdyby wyszedł z lodowatej kąpieli, chociaż był okryty potem i pianą. Na widok ofiary, lew, wydawszy kilka krótkich, ostrych ryków, odsadził się i potężnym skokiem zbliżył się do niej o dwadzieścia kroków.

Zaczęła się wówczas druga gonitwa, jeszcze ciekawsza od pierwszej, bo tym razem umiejętność człowieka nie tamowała zwierzęcych instynktów; siła i szybkość mierzyły się z całą swą dziką energią, a oczy dwustu tysięcy widzów odwróciły się na chwilę od dwojga chrześcijan, śledząc za tą fantastyczną pogonią z namiętnem rozciekawieniem. Drugi skok znów znacznie zbliżył lwa do konia, który wparty w głąb cyrku, nie śmiąc zwrócić się w prawo ani w lewo, przeskoczył przez głowę swego nieprzyjaciela, a ten ścigał go nierównymi skokami, jeząc grzywę i wydając co chwila ostre gruchanie, na które koń odpowia-

dał pełnem trwogi rżeniem. Trzy razy jeszcze rumak przesunął się po arenie z szybkością błyskawicy, podobny do mitycznego zjawiska, do piekielnego bieguna, odprężonego od rydwanu Plutona, a za każdym razem lew zbliżał się do niego bez widocznych wysiłków, biegnąc z nim już teraz niemal równolegle. Wreszcie koń widząc, iż ująć nie zdoła swemu wrogowi, stanął przy kracie słupiąc się i bijąc konwulsyjnie powietrze przednimi nogami. Wówczas lew zaczął zbliżać się zwolna, jak zwycięzca, pewny, że mu już ująć nie zdoła ofiara; chwilami przystawał, ryknął, grzywą wstrząsnął, szarpnął piasek szponami i znowu się zbliżał. Rumak stał czas pewien, jakby odrętwiały, jakby przybity do miejsca straszny wzrokiem wroga, potem padł i rzucał się rozpaczliwie po piasku. W tej chwili druga strzała wyleciała z łuku Sylasa i utkwiała głęboko między żebrami lwa. Człowiek przychodził w pomoc koniowi i zwracał na siebie wściekłość, którą ten niedawno od niego odwrócił.

Lew zachnął się zrozumiałwszy, że w pobliżu znajduje się wróg niebezpieczniejszy od tego, którego samym wzrokiem pokonał, spostrzegł Sylasa, gdy ten, dobywszy z za pasa trzecią strzałę, kładł ją szybko na cięciwę. Zwierz stał przez chwilę, jakby badając człowieka, a korzystając z tego, Sylas wyrzucił nowy pocisk, raniąc nim kark zwierza. To, co potem nastąpiło, wydało się jakby zwrotami huraganu. Lew rzucił się na człowieka, człowiek przyjął go na swój oszczep, potem człowiek i lew potoczyli się razem na ziemię. Ujrzano wylatujące w powietrze szmaty ciała

żywego, a widzowie najbliżsi zostali deszczem krwawym oblani.

Aktea jękiem rozpaczonym pożegnała Sylasa. Nie miała już obrońcy, ale nie miała i nieprzyjaciela; lew tyle tylko przeżył człowieka, ile do jego zemsty było potrzeba: śmierć kata nastąpiła jednocześnie ze zgonem jego ofiary. Co do konia, ten nie żył, chociaż go lew nie dotknął.

Niewolnicy usunęli z areny, wśród wrzasków szalonych, przepłatanych oklaskami, trupy człowieka i zwierząt.

Wszystkie teraz oczy zwróciły się ku Aktei, którą śmierć Sylasa pozbawiła obrony. Dopóki widziała go żyjącym, dopóty nie traciła nadziei ocalenia. Zrozumiała, że z jego śmiercią wszystko się dla niej skończyło, usiłowała więc za niego i za siebie nieść modły, które jednak gasły w niewyraźnych dźwiękach na jej ustach pobladyłych i zmartwiałych. Była wprawdzie chwila, że się zaczęło objawiać dla niej współczucie wśród tłumu, który wziął ją zrazu za Żydówkę, teraz zaś poznał, że była Greczynką. Kobiety zwłaszcza i młodzież zaczęli szemrać, a niektórzy powstali, chcąc się domagać dla niej łaski. Lecz oto na ławach wyższych rozległy się krzyki: — Siedzieć! Siedzieć! — bo podniosła się krata, a z pod niej wysunęła się tygrysica.

Ujrawszy się wolną, przypadła do ziemi i ogłądała się dokoła groźnie, ale spokojnie i bez zdziwienia; wciągając potem w nozdrza powietrze, czołgać się zaczęła jak wąż ku miejscu, gdzie zginął koń: tu wspięła się i wsparła o kratę, gryząc pręty, których

on dotykał, potem zaryczała lekko, obwąchując żelazo, piasek, powietrze i usiłując zbadać, gdzie się podział łup, który zwęszyła. Teraz poczuła też zapach krwi cieplej i wyziewy świeżo rozszarpanego ciała, gdyż niewolnicy jeszcze piasku nie zrównali. Wciąż węższąc, skierowała się ku drzewu, przy którym odbyła się walka Sylasa ze lwem, pożerając po drodze strzępy rozszarpanego ciała. Zatrzymawszy się przy kałuży krwi, zaczęła ją chleptać, porykując z ożywieniem. Wypiwszy krew, znów się rozglądała już ze ślepiami roziskrzonymi i wtenczas dopiero ujrzała Akteę, która, zamknawszy oczy, oczekiwała na śmierć.

Spostrzegłszy ofiarę, bestya przypadła brzuchem do ziemi i zaczęła się czołgać ku niej ukosem, a gdy się o dziesięć kroków od niej znalazła, podniosła nozdrza i weszła z dziwną uwagą; nakoniec jednym skokiem przesadziła przestrzeń, dzielącą ją od chrześcijanki i znalazła się tuż przy niej. Wszyscy myśleli, że Aktea zostanie w oka mgnieniu rozszarpana na sztuki. Tymczasem stała się rzecz nadzwyczajna. Tygrysica pokornie i pieszczośliwie łąsiła się u stóp chrześcijanki, wydając przyjazne mruczenie. Zdumiona Aktea otworzyła oczy i poznała swą niedawną przyjaciółkę, a Feba również poznała swoją panią. Była to bowiem ulubiona tygrysica Nerona.

Tłum, nieznający stosunku, jaki zachodził pomiędzy chrześcijanką a tygrysicą, oniemiał z podziwu. Zaczęto szeptać, iż wola bogów ukróciła srogość bestyi i oto ze wszystkich stron ozwały się wołania:

— Łaski! Łaski!

Neron.

Aktei zreszta, po wytrzymaniu trzech prób, z prawa należała się łaska. Tłum rozgłośnie przypominał to prawo, a przechodząc, jak zwykle, od okrucieństwa do litości, rzucał ocalonej dziewicy złote łańcuchy, wstęgi, kwiaty i wieńce.

Spełniając żądanie ludu, na arenę wszedł Libikus, czarny dozorca tygryscy i przeciął sznury, ktermi Aktea była przywiązana do drzewa. Ocalona dziewica upadła na ziemię, nie mogąc się utrzymać na nogach, tak ją wyczerpały przebyte wrażenia. Widząc to, Libikus podniósł ją i prowadził ku drzwiom *sana vivaria*, przeznaczone dla zwyciężkich gladiatorów. Tam oczekiwały na nią niezliczone tłumy, bo heroldowie już oznajmili zawieszenie igrzysk, aż do godziny piątej wieczorem.

Na widok [ocalonej, rozległy się znów oklaski i okrzyki, chciano ją w tryumfie obnosić po mieście na rękach. Ale ona złożyła dłonie błagalnie, prosząc, by ją zostawiono w spokoju. Zastosowano się do jej woli. Lud rozstał się przed nią, a ona udała się do świątyni Dyany i usiadła za kolumną przysionka lży lejąc rzesiste, bo była samą na świecie, bez ojca, kochanka, obrońcy i przyjaciela: ojca porzuciła sama, kochanek o niej zapomniał, a Paweł i Sylas ponieśli śmierć męczeńską.

Gdy noc nadeszła, przypomniała sobie, że jeszcze jej pozostała wielka rodzina chrześcijan, udała się przeto do katakumb.

Wieczorem, o godzinie zapowiedzianej, rozpoczęła się druga część widowiska w cyrku. Przybył i cesarz, zasiadł w swej loży, zabawa odbywała się według

programu. Gdy zmrok zapadł, Neron przypomniał sobie, iż przyrzekł ludowi dać widowisko przy blasku pochodni. Przyrzeczenia dotrzymał. Do dwunastu wiec słupów żelaznych przywiązano dwunastu chrześcijan, owiniętych płachtami, napuszczonemi smołą i siarką, i te żywe pochodnie zapalono. A przy ich blasku ukazali się na arenie nowi zapaśnicy i nowe bestye...

Nazajutrz rozeszła się w Rzymie wiadomość, że listy, które odebrał cesarz podczas widowiska, a które tak silnie go poruszyły, oznajmiały o buncie legii hiszpańskich i galijskich, pod dowództwem Galby i Winklesa.

## VI

W trzy miesiące po wypadkach opowiedzianych, przy schyłku dnia dżdżystego, pięciu jeźdźców wyjechało z Rzymu przez bramę Nomentańską i udało się drogą tejże nazwy. Jadący przodem nie miał na nogach obuwia, odziany był w tunikę niebieską, na którą narzucił wielki płaszcz ciemny, a głowę osłonił tak szczelnie, że twarzy nie można było dostrzedz. Uczynił to może z powodu ulewnego deszczu, a może też dlatego, żeby nie być poznany.

Deszcz padał coraz rzesistszy, wkrótce zaś połączył się z nim huragan, ze straszliwemi grzmotami i błyskawicami. Lecz na burzę nie zwracano uwagi, bo na ziemi dziwne się działy rzeczy. Tu również burza szalała. W ogrodach cesarza słyhać było krzyki,

podobne do wrzawy rozhukanego oceanu. Po drogach snuły się tajemnicze gromady, a żołnierze pretoryańscy, opuściwszy swe koszary w obrębie Rzymu, obozowali po za miastem, za bramami Salaryjską i Nomentańską, gdyż tu czuli się bezpieczniejszymi. Słowem była to jedna z tych złowrogich nocy, podczas których odbywają się przewroty na niebie i ziemi.

Gromadka jeźdźnych, dążąca drogą Nomentańską, miała pozór ludzi strwożonych, uchodzących przed niebezpieczeństwem. Jej przywódca snąc był przedmiotem szczególnego gniewu bogów i ludzi, bo gdy opuszczał Rzym, ziemia zadrżała w swoich posadach. Wstrząśnienie to było bardzo silne, a objęło przestrzeń od krańca Appenin do podnóża Alp. Powtórzyło się ono kilkakrotnie, przyczem ziemia tak się kołysała, że konie tajemniczych jeźdźców przypadły na kolana. Gdy jeźdźcy owi przebywali most, rzucony przez Tyber, zauważyli, iż rzeka, zamiast płynąć normalnie ku morzu, zwróciła się burzliwie ku źródłom swoim, co się raz tylko zdarzyło, a mianowicie w chwili, gdy Juliusz Cezar został zamordowany. Niebawem jeźdźcy znaleźli się na wzgórzu, z którego można było objąć wzrokiem Rzym cały. Stał tam cyprys tak stary, jak Rzym. Sędziwego drzewa nie tknęły największe huragany, oszczędziły go też najburzliwsze przewroty społeczne, a oto teraz strzaskał go piorun, jednocześnie zaś tajemniczą gromadkę owionął jakby obłok płomienny.

Przywódca gromady, za każdą groźbą żywiołów, wydawał głuche jęki i mimo ostrzeżeń towarzyszy, naglił swego konia do pośpiechu. O pół mili od miasta,

sposprzeżono gromadę wieśniaków, którzy nie zważając na burzę, dążyli do Rzymu i to w świątecznych szatach, z czapkami wyzwolenców na głowach. Na ten widok, człowiek z zasłoniętą twarzą chciał zwrócić w bok i uchodzić przez pole; ale towarzysz ujął konia jego za uzdę i zmusił do pozostania na drodze. Gdy się zbliżyli wieśniacy, jeden z nich zapytał tajemniczych jeźdźców:

— Czy jedziecie z Rzymu?

— Tak jest — odpowiedział towarzysz jeźdźca zasłoniętego.

— Cóż tam słyhać o Aenobarbie?

Człowiek osłonięty zadrżał.

— Podobno uciekł — rzekł jego towarzysz.

— A czy wiadomo dokąd?

— Ku Neapolowi. Mówią, że go widziano na drodze Appijskiej.

— Dzięki wam — rzekli wieśniacy i udali się dalej, wznosząc okrzyki:

— Niech żyje Galba! Śmierć Neronowi!

Okrzykom tym zawtórowały głosy obozujących za miastem pretoryanów.

Tajemniczy jeźdźcy spotkali o pół mili cały oddział żołnierzy.

— Coście za jedni? — zapytał jeden hastatus, zagradzając im drogę swą włócznią.

— Stronicy Galby, szukamy Nerona — odparł jeździec.

— Życzę wam lepszego szczęścia niż nasze — rzekł dekuryon.

— Jak to?

— Powiedziano nam, że Neron uchodzi tą drogą, spostrzegłszy przeto człowieka, pędzącego galopem, mniemaliśmy, że to był on.

— I cóż?... — zapytał głosem drżącym osłonięty.

— Zabiliśmy go — odparł dekuryon — lecz obejrawszy trupa, przekonaliśmy się, żeśmy się pomylili; bądźcie więc szczęśliwsiymi i niech was Jowisz prowadzi!

Oslonięty chciał znów pędzić galopem, lecz towarzysze znów mu konia zatrzymali. Jechał zatem dalej wolno. O pięćset kroków, koń jego potknął się o trupa, leżącego na ziemi i tak gwałtownie w bok uskoczył, że zasłona opadła z twarzy jeźdźca. W tej chwili nadjechał żołnierz pretoryański, wracający z urlopu.

— Witaj cesarze! — zawołał, spostrzegłszy jadącego naprzeciw.

Poznał Nerona przy blasku błyskawicy.

Był to istotnie Neron — on to się potknął o trupa człowieka, którego wzięto za niego. Neron, którego wszystko w tej chwili trwożyło, którego zmienne koleje losu ze szczytu potęgi wtrąciły w to oplakane położenie. Neron, kryjący się, zbiegły, szukający ratunku od śmierci, której nie miał odwagi sam zadać sobie lub z innej ją ręki przyjąć.

Cofnijmy się teraz wstecz, aby się dowiedzieć, co go przywiodło do takiej niedoli.

Właśnie wówczas, gdy wchodził do cyrku, gdzie go witały okrzyki: — Niech żyje Neron Olimpijski! Neron Herkules! Neron Apollo! Neron August! zwycięzca całego świata! Chwała jego głosowi boskiemu! Szczęśliwi ci, którzy napawać się mogą jego niebiańskimi

dźwiękami — wtedy właśnie goniec z Galii wpadł do miasta bramą Flamińską na koniu potem i pianą okrytym, przebiegł pole Marsowe, przebył łuk Klaudyusza, okrążył Kapitol, wpadł do cyrku i straży czuwającej przy łożu cezara oddał listy, które z tak daleka i tak skwapliwie przywoził. Te to były listy, po odczytaniu których Neron cyrk tak spiesznie opuścił.

Oznajmiały one, iż bunt groźny w Galii wybuchnął.

Państwo Rzymskie było wówczas zagrożone na wszystkich niemal swoich kresach. W Germanii niższej Fontejus Kapiton, w Gallii Windeks, w Hiszpanii Galba, w Luzytanii Oton, w Afryce Klaudyusz Macer, w Syrii Wespazyan — wszyscy oni z legiami swemi tworzyli groźny łańcuch, który za lada skinieniem opasać mógł stolicę. Małej tylko do zapalenia pożaru potrzeba było iskierki, a tę iskierkę zatlił Juliusz Windeks.

Pretor ów, rodem z Akwitanii, pochodzący ze krwi królewskiej, człowiek z dzielnym sercem i mądrą głową, pojął, że czas już nadszedł upadku rodu cezarów. Bez żadnych względem samego siebie widoków, szukał człowieka, któryby mógł liczyć na sympatyę ogólną. Z drugiej strony Pireneów sąsiadem jego był Sulpicyusz Galba, słynny z licznych w Afryce i Germanii zwycięstw. Oddawna już go powoływały do władzy legendy gminu i wyrocznie bogów. Windeks wyprawił do niego potajemne listy, żądając, ażeby wystąpił otwarcie jako kandydat do władzy i ofiarując mu pomoc stu tysięcy Gallów.

Zawsze lekliwy i chwiejny Galba, tym razem

również usposobienia nie zmienił; otrzymane listy spalił, aby żadnego nie zostawić ich śladu, ale całą ich osnowę zachował w pamięci.

Windeks zrozumiał, że Galba chciał być silniej popehniętym: nie przyjął przymierza, ale też nie zdradził tego, co mu je ofiarował. Przygotował więc wszystko już pewnie i po raz drugi do niego napisał.

Po przybyciu na rozkaz Nerona do Hiszpanii, Galba wszelkimi siłami starał się zaskarbić sobie popularność. Nikt nie mógł powiedzieć, żeby upoważniał prokuratorów do gwałtów, natomiast wiadano, że starał się ich nadużycia powściągnąć i głośno ubolewał nad krzywdzonymi. Wszyscy, co go otaczali, znali dokładnie jego zamiary, ale nigdy on sam nie zwierzał się z nich nikomu. Gdy odebrał listy Windeksa, zaprosił przyjaciół na wspaniałą ucztę, podczas której oznajmił im o wrzeniu w Galii i odczytał powtórne wezwanie Windeksa, żadnych o niem od siebie nie czyniąc uwag, natomiast na ich radę się zdając. Zdumienie ogarnęło wszystkich. Długo panowało milczenie. Wreszcie Venius, energiczniejszy od innych, zwrócił się ku Galbie i patrząc mu w oczy przenikliwie, rzekł:

— Według mnie, Galbo, tu niema się co namyślać. Pozostają tylko dwie drogi: albo przyjąć propozycję Windeksa, zawrzeć z nim sojusz i tem samem wystąpić przeciw Neronowi; albo oskarżyć go przed cezarem i wypowiedzieć mu wojnę. Co do ostatniego, nie uważałbym tego za słuszne. Czy można bowiem potępiać Windeksa za to, że chce, aby Rzymianie mieli tak dobrego władcę, jak ty?

Galba zaś rzekł wymijająco:

— W dniu piątym przyszłego miesiąca mam obdążyć w Nowej Kartaginie wolnością kilku niewolników. Jeżeli nie wam nie przeszkodzi, przybądźcie tam.

Przyjaciele oświadczyli, że stawią się z pewnością i zaraz też rozgłosili, iż rozstrzygną się tam losy Państwa Rzymskiego.

Jakoż w dniu oznaczonym zgromadzili się w Nowej Kartaginie wszyscy najznamienitsi obywatele Hiszpanii, a gdy Galba się ukazał, jednomyślnie go ogłosili cezarem.

## VII

Takie wiadomości zawierały listy, które Neronowi doręczono w cyrku. Dowiedział się z nich przytem Neron, że Windeks w swych proklamacyach nazywał go nędznym śpiewakiem i to go najwięcej ubodło. Tej zniewagi nie mogąc mu przebaczyć, zażądał od Senatu, aby surowo ukarał Windeksa, potem znów w dalszym ciągu prowadził dawny, ohydny tryb życia, jakby zapominając o groźnem położeniu. A pogorszało się ono z każdą chwilą. Bunt w Hiszpanii i Galii rozszerzał się coraz bardziej.

Galba zebrał gwardję przyboczną z wyborowego żołnierza i utworzył rodzaj Senatu. Z pomiędzy wszystkich wodzów, prefektów i pretorów, jeden tylko nie przyłączył się do buntu, lecz nie przez sympatję dla Nerona, ale dlatego, że Windeks był cudzoziemcem, Galbę zaś uważał za człowieka chwiejnego umysłu i słabego charakteru, obawiał się przeto, iżby Rzym

nie ucierpiał na tej zmianie. Był nim Wirginiusz. Utrzymał on swoje legie w wierności dla Nerona i powiódł do walki ze zbuntowanymi Gallami, pragnąc ocalić — jak mówił — państwo od hańby poddania się władzy nieprawowitej.

Gallowie dotrzykali swych zobowiązań. Wodzowie trzech najliczniejszych ludów tego kraju: Sekwańczyków, Eduensów i Awernijczyków, zgromadzili się około Windeksa; później przyłączyli się do nich jeszcze Wiedeńczycy. Wirginiusz, z swojej strony, miał pod sobą legie Germanii, posiłkowe wojsko Belgów i jazdę Batawów. Z temi siłami stanął pod miastem Bezanson, które trzymało z Galbą i zaczął je oblegać; lecz zaledwie pierwsze uczyniono przekopy, ukazały się w oddali zastępy Windeksa.

Powoli zbliżali się ku już na nich oczekującym Rzymianom Gallowie i gdy się znaleźli od nich o trzy pociski, zatrzymali się, aby sprawić szyk bojowy. Wówczas Windeks wezwał Wirginiusza na poufną rozmowę. Na przestrzeni, rozdzielającej dwa wojska, rozpięto namiot, do niego udali się obaj wodzowie, a ich strażę czuwały dokoła namiotu.

Rozmowa odbyła się na cztery oczy. Windeks zwierzył się Wirginiuszowi z zamiarów, a ten przekonawszy się, iż działał nie dla siebie, lecz na rzecz Galby, zawarł z nim sojusz. Razem udać się postanowili na Rzym i właśnie mieli oznajmić to wojsku, gdy wielkie krzyki dały się słyszeć na prawem skrzydle armii. Z Bezanson wyszła centurya, z zamiarem połączenia się z Gallami, a gdy ci chcieli zbliżyć się do niej, żołnierze Wirginiusza, sądząc, że zamysłają na nich uderzyć, sami postąpili ku nim, pragnąc uprzędzić napad.

Ten oto był powód wrzasków, które usłyszeli wodzowie. Każdy z nich rzucił się do swych szeregów zaklinając żołnierzy, aby się zatrzymali; ale głos ich stłumiły krzyki Gallów, którzy przytem podnieśli puklerze. Krzyki te wzięto za wrogie oznaki, a nieporozumienie wywołało straszliwe skutki. Obie strony, bez wodzów, bez szyku, wiedzione starą nienawiścią zwyciężonych do zwycięzców, rzuciły się na siebie z zajadłością dzikich bestyj. Rozpoczęła się rzeź obustronna. W przeciągu dwóch godzin padło Gallów 20.000, a Germanów i Batawów 16.000. Wreszcie Gallowie się cofnęły. Nazajutrz w namiocie, gdzie wodzowie wczoraj porozumiewali się poufnie, znaleziono zwłoki Windeksa. Widząc, że szlachetne nadzieje jego jak dym się rozwiały, sam się życia pozbawił, rzucając się na miecz. Żołnierze Wirginiusza, którzy ciało znaleźli, zażądali nagrody utrzymując kłamliwie, iż to oni zabili wodza nieprzyjaciół. Nagrodę otrzymali, lecz dzieląc się nią, poswarzyli się, a jeden, uważając się za pokrzywdzonego przy podziale, wyjawił prawdę.

W Hiszpanii również zaszły pomysły dla Nerona wypadki. Jeden z legionów sprzysiągł się przeciwko Galbie i gdy ten udawał się do kapieli, uderzył na niego w wąskiej uliczce. Galba cudem prawie uniknął niebezpieczeństwa. Ponieważ jednocześnie dowiedział się o klęsce Gallów i śmierci Windeksa, więc zwątpił o sprawie, wszystko za stracone poczytał i już z góry czując się zagrożonym, ukrył się w warownem Klunium. Wkrótce jednak wróżby pomysły przywróciły mu nadzieję. Było ich wiele. Gdy schroniwszy się do Klunium, polecił wzmocnić jego mury, żołnierz jeden, przy pierwszym zagłębieniu rydła w ziemię, wydobyl

kosztowny pierścień starożytny z wyobrażeniem bogini Zwycięstwa. Pierwsza ta wróżba znacznie uspokoiła Galbę. Udawszy się dnia tego na spoczynek, zobaczył we śnie posąg Fortuny, który wznosił tej bogini w willi swej Fondi. Bogini oznajmiła mu, iż zbyt już długo oczekuje na jego przybycie i jeżeli niezwłocznie do niej nie pospieszy, ona innego obdarzy swemi względami. A willa Fondi znajdowała się przy drodze do Rzymu. Gdy się obudził, oznajmiono mu, iż do Derkozy, miasta położonego nad Ebrem, zawinął okręt pełen broni, lecz bez sternika i majtków. Te wróżby i wiele jeszcze innych utwierdziły go w przekonaniu, że zamysłem jego bogowie sprzyjają.

Neron zaś groźne wypadki lekceważył. Bunt ucieszył go nawet, gdyż dawał powód do nałożenia na zbuntowaną ludność nowych podatków tytułem kary. Zadowolił się więc posłaniem Senatowi odezwę Windeksa, domagając się, jak już nadmieniliśmy, ukarania go surowo za to zwłaszcza, że śmiał go nazwać nędznym śpiewakiem. Poleciał następnie najcelniejszym obywatelom Rzymu, aby jak najspieszniej stawili się u niego. Wezwani sądząc, iż tu idzie o radę w sprawach państwowych, przybyli niezwłocznie. Ale Neron przedstawił im nowo wynaleziony organ wodny, tłumaczył im misterne urządzenie onego, nadmienając złośliwie:

— Pokazałbym to wszystko publicznie w teatrze, gdyby Windeks na to pozwolił.

Dopiero, gdy nowe listy otrzymał donoszące, iż wojsko Gallów liczyło już 100,000 ludzi, zaczął myśleć o przygotowaniach do wojny. Wydawał najdziwniejsze rozporządzenia. Kazał sprowadzić wozy do teatru

i swego pałacu, a na nie ułożyć instrumenty muzyczne. Następnie powołał pod broń ludność miejską, a gdy nikt się nie stawiał, polecił obywatelom wolnym dostarczyć pewną liczbę niewolników, sam odwiedzał ich domy, wybierając ludzi najmłodszych i najsilniejszych, nie wyłączając nawet rządców dworskich i sekretarzy. Zgromadził potem 400 najpiękniejszych ladacznic, kazał im włosy ostrzyżć, a uzbroiwszy je w topory i amazońskie puklerze, przeznaczył ten oddział do straży przy swej osobie. Udał się z kolei na ucztę, a wracając z niej, wsparty na ramionach Faona i Sporusa, rzekł do oczekujących na niego obywateli, iż nie ma wcale powodów do obawy, gdyż dość mu będzie ukazać się Gallom, przemówić do nich, a uznają się za zwyciężonych, on zaś hymn tryumfu zanuci i zaraz go nawet układać pocznie.

W kilka dni nowy goniec przybył z Galii. Tym razem przynosił dobre wieści: oznajmiał o spotkaniu się legij rzymskich z Gallami, o porażce tych ostatnich i o śmierci Windeksa. Neron wydał okrzyk radości, jak szalony biegał po komnatach i ogrodach pałacu, nakazał nowe igrzyska i widowiska, zapowiadając, iż sam śpiewać będzie w teatrze wieczorem i zapraszając celniejszych obywateli na wielką ucztę nazajutrz.

Jakoż udał się do gimnazjum wieczorem, ale po drodze zauważył, iż w mieście coś dziwnego się dzieje. Spostrzegł tedy jeden ze swych posągów nakryty worem, a w wory zaszywano wówczas ojco- i matkobójców, wraz z małpą, kotem, żmiją i w Tybrze topiono. Dalej nieco, na jednej kolumnie spostrzegł napis następujący: „Neron śpiewał tak wiele,



że obudził *koguty*<sup>1)</sup>. Dalej jeszcze usłyszał, że jakiś patrycyusz grozi i złorzeczy swoim niewolnikom, a gdy posłał dowiedzieć się, co ci ludzie panu swemu zawinili, odpowiedziano mu:

— Zdradzili jego zaufanie, przeto domaga się on na nich *vindexa*<sup>2)</sup>.

Widowisko rozpoczęło się sztuką, w której grał aktor Eatus. Rola jego zaczynała się od tych wyrazów:

— Pozdrowienie memu ojcu, pozdrowienie mej matce.

Gdy to mówił, zwrócił się ku Neronowi i uczynił gest picia i pływania, co przyjęto jednomyślnym oklaskiem, zrozumiano bowiem, że aktor przypomina morderstwo Klaudyusza i Agrypiny. Neron też śmiał się i przyklaskiwał z innymi, czując, że gdyby okazał urazę, przyznałby się niejako do morderstwa.

Gdy przyszła kolej na niego, opuścił łożę, aby się ukazać na scenie, lecz gdy się ubierał do wystąpienia, rozeszła się między widzami wiadomość, że uszły laury Liwii i że wszystkie jej kury pozdychały.

Wiadomość ta niemałe wywarła wrażenie. Trzeba bowiem wiedzieć, że gdy Liwia Druzilla, małżonka Oktawiusza cezara, siedziała razu pewnego przed willą swoją w Wejach, orzeł ze szczytu obłoków upuścił na jej kolana białą kurę, która nie tylko nie była zranioną, ale nie zdawała się być przeleknioną. Zdziwiona Liwia, oglądając kurę spostrzegła, iż trzyma ona w dziobie gałązkę lauru. Wieszczykarze uznali to za znak bogów i polecili Liwii, aby zasadziła laur i hodowała kurę, nadmieniając, że dopóki trwać będą rozmnożone

<sup>1)</sup> *Galli* — koguty. <sup>2)</sup> *Vindex* — mściciel.

z tej kury ptaki i rozwinięte z gałęzi drzewa, dopóty ród jej istnieć będzie i trwać przy władzy najwyższej. Usłuchała Liwia. Jakoż z gałęzi lauru wyrósł cały gaj, a kura tak się rozmnożyła, że miejscowość nad Tybrem, o dziesięć mil od Rzymu, otrzymała nazwę *ad Gallinas*, t. j.: kurzej. Otóż nagle wyschnięcie owego gaju laurowego i wyginięcie potomstwa kury Liwii wzięto za nieomylną przepowiednię upadku Nerona i jego rodu.

Złowroga wiadomość silnie poruszyła Nerona. Ukazał się jednak na scenie, ale tu nowy czekał go omen. Mimo, że rolę swoją poprzedził pokorną do widzów przemową, w której zapewniał ich, że wszelkich sił użyje, aby zasłużyć na ich względy, nie mógł wywołać zajęcia. Słuchano go obojętnie, w głębokim milczeniu, nie zachęcając oklaskami, co się nigdy nie zdarzało. On, zawsze pewny siebie, teraz drżał i jękał się. Dopiero gdy wypowiedział ten wiersz:

— Małżonka moja, mój ojciec i moja matka, wszyscy pragną mej śmierci.

— wtedy dopiero huczne zagrzmiały oklaski, a ich znaczenia było oczywiste. Zrozumiał je i Neron. Szybko tedy opuścił scenę, lecz na schodach, zaplątawszy się w powłóczystej szacie, upadł i zranił się w policzek. Podniesiono go bez zmysłów, ocucono i przeniesiono do pałacu.

Tam zamknął się w swej komnacie, drżąc z trwogi i gniewu. Uspokoiwszy się nieco, wziął do rąk tabliczki i skreślił na nich cały szereg straszliwych projektów, którym brakło tylko jego podpisu, aby się stały rozkazami. Zamierzał tedy oddać Gallów na rabunek żołnierstwu; wytruć cały Senat, zaprosiwszy

senatorów na ucztę; podpalić Rzym ze wszystkich stron i jednocześnie wypuścić wszystkie dzikie bestye, aby ów lud niewdzięczny, który tak widocznie żądał jego śmierci, został zgładzony ze szczerem... Po chwili odsunął tabliczki i rzucił się na łożo, ażeby we śnie nowych doznać udręczeń.

Śniło mu się bowiem, że się zbląkał wśród nocy na wzburzonym morzu, że mu ktoś z rąk wydierał ster okrętu, którym kierował. Potem został nagle przeniesiony do teatru Pompejusza, gdzie czternaście posągów Koporiusza, wyobrażających narody Rzymowi podległe, zeszło ze swych podstaw i gdy jeden z nich zagradzał mu drogę, inne otoczyły go kołem, które wciąż się zmniejszając, zaczęło go dusić marmurowym uściskiem. Z trudem zdołał się wyrwać z objęć posągów i biegł blady, zdyszany, bez głosu przez pole Marsowe, a gdy mijał mauzoleum Augusta, drzwi grobowca roztwały się same i z głębi dało się słyszeć trzykrotne wołanie. W tej chwili ocknął się, powstał z łoża drżący, z włosem najeżonym, z czołem potem oblanym, zwołał ludzi, rozpytywał się, co słycać w mieście, a gdy go zapewniono, że spokój panuje zupełny, kazał sprowadzić Sporusa, z którym resztę nocy spędził.

Z nadejściem dnia, znikły trwogi nocne, ale nie ustąpiła obawa, lęk, niepewność, tak, że wzdrygał się co chwila. Kazał przywołać gońca, który przywiózł wiadomość o śmierci Windeksa. Był to jeździec bawarski, świadek stoczony pod Bezanson walki. Neron pokilkakroć powtarzał sobie kazał szczegóły tej bitwy, a nadewszystko śmierci Windeksa i uspokoił się dopiero, gdy mu żołnierz przysięgł na Jowisza, iż na

własne oczy widział trupa, okrytego ranami i przygotowanego do grobu; wówczas cesarz kazał mu wyliczyć sto tysięcy sestercyj i własny darował pierścieni.

Nadeszła godzina obiadu. Goście cesarza zgromadzili się w Palatynie; przed ucztą, zaprowadzono ich, podług zwyczaju, do łaźni, a gdy wychodzili z kąpieli, niewolnicy przynieśli każdemu białą togę i wieniec kwiatów. Neron czekał na nich w triclinium, odziany również w białą togę, z wieniec na głowie. Położono się na łożach przy dźwięku rozkosznej muzyki.

Obiad był urządzony z całym przepychem uczt rzymskich: przy nogach każdego biesiadnika leżał niewolnik, gotów na każde jego skinienie; przy stole oddzielnym jadł parazyta, rodzaj błazna, a w głębi sali, na wzniesieniu, tancerki wschodnie z nieporównanym wdziękiem i lekkością, odtwarzały swawolne gonytwy Zefira i Flory.

W miarę spełniania czar, ożywiała się biesiada, stawała się też coraz rozwiązlejszą. Tancerki zastąpione zostały przez kuglarzy, a gdy oszołomienie doszło do rozpasania, Neron ujął cytrę i śpiewał strofy, wyszydające Windeksa, przyczem wykonywał gesty i ruchy ohydne. Biesiadnicy przyklaskiwali mu z zapalem. Wtedy właśnie zjawił się nowy posianiec z listami z Hiszpanii, oznajmującymi o wyniesieniu Galby na godność cesarza.

Neron oczom nie wierzył; kilkakroć odczytywał listy, to blednąc, to czerwieniejąc. Naraz porwał dwie wspaniałe wazy, które bardzo cenił i nazywał home-rycznymi, ponieważ były ozdobione malowidłami, wy-

Neron.

brażającymi epizody z „Iliady“, rzuciwszy je o ziemię, strzaskał na drobne czerepy, potem upadł na łożo, szarpał odzież na sobie, tłukł głową o krawędź stołu, wołając, iż spotyka go niesłychane, nieznane na świecie nieszczęście, bo czy słyszana jest rzeczą, aby cesarz tracił władzę za życia... Na te krzyki szalone, przybiegła mamka jego, Auclage, objęła go rękami jak dziecko, starając się uspokoić. Ale słowa pociechy drażniły zrozpaczonego i wkrótce wyrzekania zmieniły się w wybuch niepohamowanego gniewu. Kazał sobie podać trzcinę i papyrus, na którym skreślił rozkazy do wodza pretoryanów. Podpisawszy je, szukał swego pierścienia, aby wycisnąć nim swój znak monarszy, zapomniawszy, że kleynot ten darował gońcowi z Galii. Nie mogąc znaleźć pierścienia, zażądał innego od Sporusa, który podał mu swój własny. Neron, nie obejrawszy kleynotu, przycisnął go do wosku, lecz gdy rzucił okiem na odcisk, zadrżał, spostrzegł bowiem, że pieczęć wyobrażała zejście Prozerpiny do piekieł. Była to nowa przepowiednia, a w danej chwili zaiste straszliwa. Czy to posądzając Sporusa, że mu podał taki pierścień umyślnie, czy w przystępie szału, gdy się zbliżył do niego ulubieniec, pragnąc się o przyczynie nagłego gniewu pana dowiedzieć Neron, nie zwracając uwagi na liczne zgromadzenie, uderzył go pięścią w twarz tak silnie, że Sporus krwią się zalał i upadł zemdlony.

Potem Neron zerwał się z łoża nagle i nie zęgnając się z nikim, udał się do swej komnaty, rozkazując przywołać Lokustę.

## VIII

Tym razem dla siebie samego cesarz odwoływał się do tajemniczej sztuki starej swej przyjaciółki. Przepędzili z sobą noc całą, a Lokusta w jego obecności przyrządziła wiele subtelnej trucizny. Neron, umieścił ją w złotej puszcze, którą ukrył w sprzęcie drewnianym, z tak kunsztownym zamknięciem, że go tylko on sam i Sporus umiał otworzyć.

Tymczasem wiadomość o zamiarach Galby z szybkością piorunową rozchodziła się po wszystkich prowincjach państwa. Nie była to już groźba odległa i niepewna, rozpaczliwy zamiysł cudzoziemca, ale poważnie obrachowany i już w czyn się przyoblekający zamiysł patrycyusza, którego ród od wieków był w Rzymie znany i poważany; który był wnukiem Kwintusa Katulusa Kapitolina, obywatela wstawionego w dziejach Ojczyzny świetnymi cnotami i zasługami; który wreszcie sam też cieszył się ogólną sympatją i popularnością.

Sympatya zaś owa wzrastała tembardziej, im więcej się mnożyły powody niechęci dla Nerona. Ten ostatni, zajęty swemi igrzyskami i orgiami, zapomniał wydać rozkazów, które wydać był powinien jako prefekt Annony, wskutek czego okręty, mające przywieźć zboże z Sycylii i Aleksandryi, wypłynęły wtenczas za ledwie, gdy już wrócić były powinny. Opóźnienie to spowodowało w przeciągu dni kilku niesłychane podrożenie zboża i głód. Rzym cały miał oczy nieustannie zwrócone ku południowi, a ilekroć jaki okręt zbliżał się do portu Ostyi, wylegał na brzeg Tybru. Naza jutrz też po dojściu nowin o obwołaniu Galby ceza-

rem, lud zgłodniały i zniechęcony napełniał Forum, gdy ujrano z daleka okręt, płynący Tybrem ku Rzymowi. Natychmiast wszystko, co żyło, pobiegło do portu Oelius. Wszyscy mniemali, że statek ten poprzedza okręty, wiozące zboże — wszyscy przeto dążyli na jego spotkanie z okrzykami radości. Ale srode się omylono: statek przywoził piasek z Aleksandryi dla wysypania aren cyrkowych. Gdy się o tem dowiedziano, powstało głośne szemranie i złorzeczenia.

Wśród tłumu rozgoryczonego znajdował się wyzwoleniec Galby, Icelus. Rozszerzał on na wszystkie strony pochwały dla swego pana i jego daleko sięgające obietnice, gdy jakiś młodzieniec, z twarzą osłoniętą palium, wręczył mu ukradkiem tabliczki, wypełnione pismem. Icelus przebiegł je oczyma, a na jego twarzy zajaśniał wyraz tryumfu. Były to bowiem tabliczki, na których Neron nocy ubiegłej kreślił niedoszłe rozkazy spalenia po raz drugi Rzymu, który nie chciał przyklaskiwać jego popisom aktorskim, i wypuszczenia zwierząt drapieżnych, aby Rzymianie nie mogli ognia ugasić. Icelus tedy przeczytał głośno otrzymane pismo, ale zemsta podobna tak się wydawała ohydną i wprost szaloną, że nikt jej nie chciał uwierzyć, a nawet zaczęto krzyżeć, że pismo odczytane przez Iceliusa było wymyśloną potwarzą. Lecz Nimphidus Sabinus wziął z rąk wyzwolenca tabliczkę i przyjrawszy się jej bacznie oświadczył, że nie tylko poznaje doskonale pismo Nerona, ale nadto jemu wyłącznie właściwy sposób mazania, przekreślania i dopisywania. Takie mu świadectwu nie można było przeczyć, bo Nimphidus Sabinus, jako prefekt pretoryatu, miał często sposobność oglądania pisma własnoręcznego Nerona.

W tej chwili ukazali się senatorowie w ubiorze zaniedbanym, bez płaszczów; szli do Kapitolu, dokąd ich powoływał przewodniczący Senatu, który również tajemniczą drogą otrzymał tabliczkę z pismem Nerona, wyjawiającem zamiar wytrucia wszystkich senatorów podczas uczty proznej.

Neron z wierzchołka tarasu pałatyńskiego przypatrywał się czas pewien wzburzonym tłumom, potem zeszedłszy do ogrodów Serwiliusza, posłał wyzwolenca Faona do naczelnika pretoryanów. Ale posłaniec Galby uprzedził w obozie posłańca cezara. Nimphidus Sabinus przyrzekł w imieniu nowego cezara siedm tysięcy pięćset drachm na każdą głowę załogi rzymskiej, a dla każdego żołnierza wojsk, znajdujących się w prowincjach, po tysiąc dwieście pięćdziesiąt drachm. Odpowiedział więc naczelnik pretoryanów Faonowi, że może tylko za taką samą sumę dać Neronowi pierwszeństwo. Faon przyniósł to oświadczenie cesarowi. Ale suma żądana wynosiła czterysta dwadzieścia siedm milionów, siedmset czterdzieści trzy tysiące pięćset złotych na naszą monetę, a skarb państwa był wyczerpany rozrzutnością cezara bez miary tak, iż Neron nie posiadał ani dwudziestej części tej sumy. Jednak nie stracił nadziei. Noc się zbliżała, mógł więc osłonięty ciemnością udać się do swych starych przyjaciół i przy ich pomocy, zgromadzić sumę potrzebną.

Wyszedł tedy z ogrodów Serwiliusza, przywdziałszy odzież człowieka z gminu; lecz napróżno chodził z domu do domu, napróżno wzywał i błagał, serca i drzwi były przed nim zamknięte. Zrozumiał wówczas, że ani jednej chwili już nie miał do stracenia i nie wracając już do ogrodów Serwiliusza, skierował

się ku Palatynowi, dla zabrania złota i kilku kosztownych klejnotów. Okrążywszy fontannę Jowisza i świątynię Westy, przekradł się chyłkiem, pod zasloną cienia pałaców Tyberysza i Kaliguli, do swych wspaniałych ogrodów, które miał za chwil kilka opuścić na zawsze, stamtąd zaś wszedł do Złotego Pałacu i przez skryte korytarze, dotarł do swoich komnat. Stanąwszy na progu, osłupiał...

Podczas jego nieobecności, rozbiegły się strażnicy Palatynu, unosząc z sobą wszystko, co tylko znalazły pod ręką: kołdry atalickie, naczynia srebrne, sprzęty najkosztowniejsze. Pobiegł do szkatułki, w której schował truciznę Lokusty — ale nie było już tam puszki złotej, a z nią znikła ostatnia jego ucieczka. Rzucił się wtedy twarzą na ziemię i wołał z całej siły o ratunek.

Trzy osoby przybiegły: Sporus, Epafroditos, jego sekretarz, i Faon, jego wyzwoleniec. Na ich widok, Neron podniósł się na jedno kolano, a wyczytując z ich twarzy smutnych i ponurych, że już nie było nadziei, rozkazał Epafroditowi przywołać gladyatora Spikulusa, lub kogokolwiek innego, aby go zabił. Prosił potem Sporusa i Faona, którzy przy nim zostali, aby zanucili hymn rozpacyjny, który śpiewać zwykły najmowane do płaczu przy pogrzebach kobiety. Zabrał tedy hymn żałobny, a jeszcze go nie skończyli, gdy wrócił Epafroditos. Ani Spikulus, ani też nikt inny przyjść nie chciał. Wówczas Neron opuścił ręce, wołając:

— Niestety! Niestety!... nie mam więc ani przyjaciół, ani wrogów!

Chciał potem wyjść z Palatynu, biedz do Tybru

i utopić się. Ale zatrzymał go Faon, ofiarując mu swój dom wiejski, położony o cztery mile od Rzymu, między drogami Salaryjską i Nomentańską. Neron przyjął ofiarę. Przygotowano pięć koni. Dosiadł jednego, twarz okrył zasloną i w towarzystwie Sporusa, który go ani na krok jeden nie odstępował, zostawiwszy Faona w Palatynie, aby mu przyniósł nowiny, przez bramę Nomentańską wyjechał drogą, na której opuściliśmy go w chwili, gdy został poznany przez żołnierza przy blasku błyskawicy.

Mała gromada zbliżyła się nakoniec ku willi Faona, położonej tam, gdzie dzisiaj Serpentara. Ta wioska, ukryta za górą Świętą, mogła służyć za schronienie Neronowi przynajmniej do czasu, dopóki nie zdoła zadać sobie śmierci, gdy go już wszystkie środki ocalenia ominą. Epafroditos, który znał drogę, stanął na czele i zboczył na pole. Neron udał się za nim, dwaj zaś wyzwolenicy i Sporus tworzyli straż tylną. Po chwili usłyszeli szmer jakiś na drodze: Neron tedy i Epafroditos więcej jeszcze zboczyli, gdy Sporus i dwaj wyzwolenicy jechali około góry Świętej. Szmer był spowodowany przez patrol, wysłany, pod dowództwem centuryona, w pościgu za cezarem. Sporus i wyzwolenicy zostali zatrzymani, lecz gdy między nimi nie znaleziono Nerona, pozwolono im udać się w swoją drogę.

Tymczasem Neron i Epafroditos zmuszeni byli zsiąść z koni, gdyż dolina zarzucona była odłamami skał i bryłami ziemi, wyrwanymi z łóżysk podczas trzęsienia, które dało się uczuć w chwili, gdy mała gromadka wyjeżdżała z Rzymu. Ciernie i chwasty do krwi kalczyły gołe nogi Nerona i płaszczy na nim szarpały.

Ujrzeni nakoniec czarną jakąś masę w cieniu. Pies zaczął szczekać po za murem, przy którym znaleźli się zbiegi. Idąc przy murze, dotarli do jaskini, z której wydobywano piasek. Otwór jej był niski i ciasny. Neron, przejęty trwogą, położył się na brzuchu i wpełznął do środka. Wówczas szepnął mu Epafrodites, że obejdzie mur dokoła, zakradnie się do willi i dowie się, czy będzie mógł cesarz udać się tam bezpiecznie.

Neron, zostawszy sam w jaskini, uczuł strach wielki, zdało mu się, że jest już w grobie, którego drzwi zamknięto na zawsze. Wyszedł tedy z jaskini pospiesznie. O kilka kroków ujrzał kałużę. Tak silne go pożerało pragnienie, iż nie mógł się powstrzymać od zwilżenia choć ust. Podłożywszy więc płaszcz pod nogi dla uchronienia się od ostrych kamieni i cierni, zawlókł się do kałuży, zaczerpnął z niej dłonią owej wstrętliwej wody, którą połknął cheiwie, poczem spoglądając w niebo, rzekł z wyrzutem:

— Takież to ostatni napój Nerona!

Przez czas pewien siedział nad brzegiem kałuży zamysłony, ponury, wyjmując ciernie, uwięzłe w płaszczu, gdy nagle ozwał się głos, wołający go po imieniu. Zadrżał z przestachu. Obróciwszy się, spostrzegł Epafroditesa z pochodnią w ręku. Sekretarz dotrzymał słowa. Dostawszy się przez drzwi główne do willi i wskazawszy wyzwolencom miejsce, gdzie był cesarz, wspólnymi siłami przebili mur stary i skruszały, aby mógł się tą drogą dostać z jaskini do willi. Neron, tak skwapliwie pobiegł za przewodnikiem, że zapomniawszy nad brzegiem kałuży. Wrócił do jaskini, a z tej przeszedł do małej izdebki niewolnika,

słabo oświetlonej małą lampą glinianą, w której znajdował się barłóg ze szmat i stara opończa do przykrycia.

Neron usiadł na barłogu i oparł się grzbietem o ścianę; będąc spragnionym i głodnym, prosił o pokarm i napój. Przyniesiono mu kęs czerstwego chleba i czarę z wodą. Spojrzawszy na chleb, odrzucił go ze wstrętem, a wodę uznał za zbyt zimną, prosił więc, żeby mu ją ogrzano. Udano się spełnić to żądanie, on zaś, znów sam zostawszy, wsparł głowę o kolana i w tej postawie siedział nieruchomy. Drzwi się otworzyły. Mniemając, że mu przynoszą wodę, Neron uniósł głowę i ujrzał Sporusa z listem w ręku.

Na bladej twarzy eunucha, zwykle znużonej i smutnej, malowała się tak okrutna, dzika radość, że Neron wpatrywał się w nią ze zdumieniem, jak gdyby jej nie poznawał. Sporus postąpił ku niemu i podał mu pargamin. Domyślił się Neron, że w piśmie tem niepomysłna dla niego mieściła się nowina. Nie biorąc przeto listu do ręki, zapytał:

— Od kogo mi to przynosisz?

— Od Faona — odparł Sporus.

Pobladł Neron i zagadnął po chwili:

— A wiadoma ci treść pisma?

— Senat uznał cię za zdrajcę, kazał cię odnaleźć i przyprowadzić na plac kaźni...

— Mnie, na plac kaźni! — zawołał Neron, przypadając na jedno kolano — na plac kaźni mnie! Klaudyusza cesarza!...

— Nie jesteś już Klaudyuszem cesarzem — odparł zimno Sporus — jesteś Domitius Oenobarbus, uznany za zdrajcę i skazany na śmierć!...

— Zdrajca... na śmierć... — zawołał Neron, porywając się na nogi.—Ale mogę jeszcze uciekać, mam jeszcze czas do ucieczki, mogę się schronić w lesie Larycyi, w bagniskach Minturnijskich, stamtąd dostanę się na jaki okręt, ukryję się w Syeylii lub w Egipcie...

— Uciekać! — powtórzył Sporus dziwnym tonem. — Uciekać? A którą?

— Tędy!—zawołał Neron, rzucając się ku otworowi, przez który się dostał z jaskini—mogę wyjść tędy, ponieważ tą drogą wszedłem.

— Wszedłeś, to prawda, ale nie wiesz, iż zaraz potem zawalono otwór jaskini tak silnie, że chociaż doskonałym jesteś atleta, wątpię, czybyś mógł odepchnąć skałę, którą otwór zamknięto.

— Na Jowisza, to prawda! — jęknął Neron, na próżno wyczerpując wszystkie siły do odepchnięcia głazów. — Kto zamknął tę jaskinię? Kto przytoczył tę skałę?

— Ja i wyzwolenicy — odparł Sporus.

— Dlaczegoż to uczynił? — dlaczegoś mnie zamknął, jak Kakusa w pieczarze?

— Żebyś w niej umarł, jak on! — rzekł Sporus z wyrazem strasznej nienawiści.

— Umrzeć! umrzeć! — jęczał Neron, uderzając się w głowę — czy cały świat chce mojej śmierci? czy już wszyscy mnie opuścili?

— Tak zaiste — potwierdził Sporus — cały świat chce, żebyś umarł, ale nie wszyscy cię opuścili. Wiesz przecież, że ja tu jestem i umrzeć chcę z tobą.

— Tak, tak — mruknął Neron, padając znowu na barłóg — tak, to wierność.

— Mylisz się cesarze — rzekł Sporus, krzyżując

ręce na piersiach i wpatrując się dziwnie przenikliwie w Nerona — to nie wierność, to zemsta.

— Zemsta! — zawołał Neron zdumiony — zemsta! I cóżem ci uczynił, Sporusie?...

— Coś mi uczynił? — powtórzył Sporus, zbliżając się tuż do niego i roześmiewszy się gorzko, począł mówić gwałtownie: — Oto z dziecka, które życie zaczęło, aby zostać człowiekiem, aby mieć udział w uczuciach ziemi i w rozkoszach nieba, uczyniłeś najnieszczęśliwszą istotę, która do niczego nie miała prawa, dla której zgasły wszystkie radości świata... Przykuty do mej nicości i niedołęztwa, widziałem przed sobą wszystkie ponęty życia, wszystko, co się nazywa uszczęśliwieniem, patrzałem na to wszystko, jak Tantal na owoce i wodę, których nie mógł dosięgnąć. To niedosyć. Gdybym mógł cierpieć i płakać w szatach żałoby, w milezeniu i samotności, możebym ci jeszcze przebaczył; ale jak możni tego świata, musiałem przywdziewać purpurę, uśmiechać się, jak szczęśliwi, żyć między ludźmi, jak ci, co żyją prawdziwie, ja, biedny cień, biedna mara, biedne widziadło!

— Czegóż więc chciałeś? — rzekł Neron lekko. — Dzieliłem z tobą moje bogactwa, moje rozkosze moją potęgę; byłeś uczestnikiem wszystkich moich tryumfów, jak ja sam, miałeś pochlebców i dworzaków. A gdy już nie wiedział, co ci dać jeszcze, obdarzyłem cię mojem imieniem...

— Właśnie za to cię nienawidzę, Neronie! Gdybyś kazał mię otruć, jak Brytannika, zamordować, jak Agrypinę, otworzyć żyły, jak Senece, — mógłbym ci przebaczyć teraz, gdy śmierć nad tobą wisi... Ale nie uważałeś mię ani za mężczyznę, ani za kobietę; ob-

chodziłeś się ze mną, jak z cackiem, z którym można uczynić wszystko, co się podoba; jak z marmurowym posągami, ślepy, niemy, bez serca i uczucia. Te ła-ski, o których prawisz mi teraz, były to tylko ozłocone upokorzenia; im większą okrywałeś mię sromotą, im wyżej wynosiłeś mię nad innych, tem snadniej każdy zmierzyć mógł moję hańbę. I to jeszcze nie wszystko. Kiedym ci podał przedwczoraj ów pierścień, ty, zamiast mnie zabić sztyletem, przez cobyś wzbudził mniemanie w tych wszystkich, którzy przy tem byli, że wart był śmiertelnego ciosu, tyś uderzył mię pięścią, jak służalca, jak niewolnika, jak psa!

— Tak, tak — rzekł Neron — zbłądziłem w samej rzeczy. Przebac mi, mój dobry Sporusie...

— A jednak — mówił dalej Sporus — ta istota bez imienia, bez nazwiska, bez przyjaciół, bez serca, jeżeli nie mogła czynić dobrze, mogła szkodzić przynajmniej; mogła dostać się nocą do twej komnaty, wykraść twoje tabliczki, skazujące na śmierć Senat i lud i rozrzucić je, jakby siłą wiatru i burzy, na Forum i Kapitolu, a to dlatego, żebyś ani od Senatu, ani od ludu nie mógł spodziewać się przebaczenia; mogła również ukryć puszkę z trucizną Lokusty, abys! bez żadnej obrony wpadł w ręce tych, którzy cię szukają dla zadania ci hańbiącej śmierci.

— Mylisz się! — zawołał Neron, wydobywając z pod sukni sztylet — mylisz się! Zostaje mi jeszcze to żelazo.

— Tak, ale nie odważysz się użyć go ani dla siebie, ani dla drugih.

— W każdym razie, jestem tu tak dobrze ukryty, iż mię nie znajdą — rzekł Neron.

— Możebyś istotnie zdołał ukryć się przed poszukiwaniami, gdybym przed chwilą nie spotkał centuryona i nie powiedział mu, gdzie cię znajdzie. On już jest tutaj... słyszysz... to jego kroki!

— Nie będę nań czekał — rzekł Neron, przykładając ostrze sztyletu do serca — uderzę... i skończę z życiem...

— Nie odważysz się — powtórzył Sporus.

— A jednak — mruczał Neron po grecku, szukając ostrzem sztyletu miejsca właściwego do zadania ciosu, przyczem dłoń mu dygotała konwulsyjnie — jednak nie godzi się, żeby Neron nie umiał umrzeć... O świecie... jak wielkiego tracisz we mnie artystę...

Nagle zatrzymał się, wyciągnął szyję, najeżyły mu się włosy, krople potu wystąpiły na czoło, bo rozległ się nowy hałas u drzwi; słuchał przez chwilę, potem zacytował wiersz Homera:

„Już słyszę tentent szybkonożnych rumaków...“

W tej chwili wpadł do izby Epafrodites.

Nie omylił się Neron—przybyła pogoń szukająca go.

Ani chwili czasu nie było do stracenia, jeżeli chciał uniknąć hańbiącego zgonu. Odprowadził Epafrodita na stronę, kazał mu przysiądź na Styks, że nie wyda jego głowy nikomu, raczej go spali całego, potem wyciągając sztylet powtórnie, oparł ostrze jego na szyi.

Znowu rozległ się hałas, ale tym razem bliższy, groźniejszy. Wówczas Epafrodites uchwycił rękę Nerona, uzbrojoną sztyletem i pechnął ją tak, że żelazo aż po rękojeść utkwilo w szyi, potem wybiegł ze Sporusiem z izdebki, drzwi zamykając za sobą.



Neron krzyknął przeraźliwie, wyrwał z rany i daleko rzucił od siebie sztylet, przypadł na jedno kolano, potem na drugie; wsparłszy się lewą ręką o ziemię, usiłował prawą zatamować krew, która mu bluzgała przez palce; obejrzał się po raz ostatni dokoła z wyrazem niewysłowionego przerażenia, a widząc się samotnym, upadł na ziemię z jękiem przeciągłym.

W tej chwili we drzwiach ukazał się centuryon. Spostrzegłszy leżącego nieruchomie Nerona, rzucił się do niego i usiłował zatrzymać płynącą z rany krew połą od płaszcza. Lecz Neron, zbierając ostatek sił, odepchnął go od siebie, spojrzął na niego groźnie i skonał.

Wieczorem przybyła do willi jakaś kobieta, poważna, blada, smutna, choć młoda i piękna. Otrzymała ona od powiernika Galby, Icelusa, który do czasu przybycia swego pana, wydawał w Rzymie rozkazy, pozwolenie oddania ostatniej posługi Neronowi. Rozebrała zmarłego, obmyła krew, którą ciało jego było zbroczone, uwinęła w płaszcz biały, szyty złotem, który jej darował, gdy się po raz ostatni z sobą widzieli, potem przewiozła zwłoki, na wozie zakrytym, do Rzymu i tam je złożyła w grobowcu Domicjana, wśród ogrodów. Uczyniwszy to, dzień cały pozostawała w tem miejscu żałoby, gdy zaś nadszedł wieczór, wstała i udała się do katakumb.

Epatrodita i Sporusa znaleziono w willi niezwykłych; leżeli obok siebie, a pomiędzy nimi opróżniona puszka złota. Przygotowana przez Lokustę trucizna dla Nerona wystarczyła na obu.

\* \* \*

Tak umarł Neron w trzydziestym drugim roku życia, właśnie w rocznicę dnia, w którym kazał zamordować Oktawię. Ponieważ zginął w miejscu ustronnem, niemal bez świadków, a do grobu złożony został również tajemniczo, bez wymaganej zwyczajem pompy, więc w umyśle ludu rzymskiego, najłatwowierniejszego ze wszystkich ludów na świecie, powstały wątpliwości co do jego śmierci. Utrzymywano, że dostał się do portu Ostyi, a stamtąd uciekł na okręcie do Syrii, więc też go z dnia na dzień w Rzymie oczekiwano. Przez lat piętnaście ręka nieznana zdobyła grób jego kwiatami. Również przez długie lata wystawiano niekiedy na mównicach jego wizerunki i czytano jego proklamacye, jak gdyby żył jeszcze i miał wrócić potężny na zgubę swych nieprzyjaciół. Jeszcze po upływie lat dwudziestu pięciu od jego śmierci — według opowieści Swetoniusza — zjawił się jakiś człowiek u wojowniczych Partów, który mienił się Neronem i długo znajdował wiarę u tego ludu, który cześć szczególną dla pamięci Nerona przechowywał.

Legenda przeszła do chrześcijan. Ś-ty Hieronim, opierając się na kilku wyrazach Ś-go Pawła, przedstawił Nerona, jako Antychrysta, a przynajmniej jako jego poprzednika. Sulpicyusz Sewerus twierdzi, że Ś-ty Marcin przepowiedział w swych dyalogach, iż przed końcem świata, Neron ukaże się na Zachodzie, gdzie przywróci cześć bałwanów, a Antychryst na Wschodzie, gdzie odbuduje kościół i miasto Jeruzalem, które ma być stolicą jego państwa. Ten ostatni ma potem ogłosić się Mesyaszem, wydać wojnę Neronowi, pozbawić go życia i władzy. Wreszcie Ś-ty Augustyn zapewnia, że za jego życia, to jest na po-

czątku V wieku, utrzymywano jeszcze, że Neron wcale nie umarł, ale ukrywa się w miejscu niedostępnem, skąd ma kiedyś powrócić z całą swą siłą i okrucieństwem, dla odzyskania władzy straconej.

Dziś jeszcze, w całym tym długim szeregu cesarów, z których każdy przyczynił się do wzbogacenia zbioru pomników Rzymu, najpopularniejszym jest Neron. Istnieje dom Nerona, łaźnia Nerona, wieża Nerona. W Bauli pewien winiarz pokazywał mi willę Nerona.

Pośrodku odnogi Bai, majtkowie moi zatrzymali się właśnie w tem miejscu, gdzie zatonać miała przygotowana przez Nerona dla Agrypiny triemna. Gdym wracał do Rzymu drogą Nomentańską, wieśniak pokazywał mi miejsce, przez które przebywał Neron, udając się do Serpentary; wśród zwalisk, rozrzuconych po tej wspaniałej dolinie, pokazał mi ruiny willi, w której zabił się Neron. Gdym jechał z Florencyi, woźnica mój ukazał mi jakieś gruzy, leżące z prawej strony sklepienia de la Storta w Rzymie, mówiąc:

— To grobowiec Nerona.

Niechże teraz kto wytłumaczy zapomnienie w tychże miejscach imion Tytusa i Marka-Aureliusza.

Neron tyran, Neron okrutnik, Neron morderca, rozpustnik, szatan wcielony, żyje wciąż w pamięci ludu — a czcigodne imiona Tytusa i Marka Aureliusza są zapomniane.

Czem to wytłumaczyć?

K O N I E C.



173532

173532

ROK XXXV ISTNIENIA.

NAJTAŃSZA I NAJOBFITSZA ILUSTRACYA POLSKA

## „BIESIADA LITERACKA“

PREMIUM NADZWYCZAJNE:

≡ 12 dużych tomów ≡

wyborowych powieści i romansów

NAJZNAKOMITSZYCH AUTORÓW POLSKICH I OBCYCH

REDAKTR I WYDAWCA

**Michał Synoradzki.**

„Biesiada Literacka“ obejmuje wszystkie rodzaje literatury pięknej z powieścią na czele, historję, pamiętniki, podróże, wiedzę gruntowną w formie popularnej, wychowanie, politykę, chwilę bieżącą wszechświatową—słowem wszystko, co stanowi potrzebę umysłu inteligentnego. **Szczególniej uwzględnia dzieje ojczyste i pamiętki narodowe.**

WARUNKI PRENUMERATY:

| w Warszawie:   |              | na prowincyi:             |        |
|----------------|--------------|---------------------------|--------|
| Rocznie . . .  | rb. 6        | Rocznie . . . . .         | rb. 8. |
| Półrocznie . . | „ 3          | Półrocznie . . . . .      | „ 4.   |
| Kwartalnie . . | „ 1 kop. 50. | Kwartalnie . . . . .      | „ 2.   |
|                |              | Zagranicą rocznie rb. 10. |        |

Wytworna oprawa powieści, z wyciskami złożonemi na tle barwnem: 3 tomów kop. 50; 6 tomów rs. 1; 12 tomów rs. 2.

*Na żądanie administracya wysyła numer okazowy bezpłatnie.*

Adres redakcyi i administracyi: **Warszawa, plac Warecki 4.**

№ telefonu 78-26.